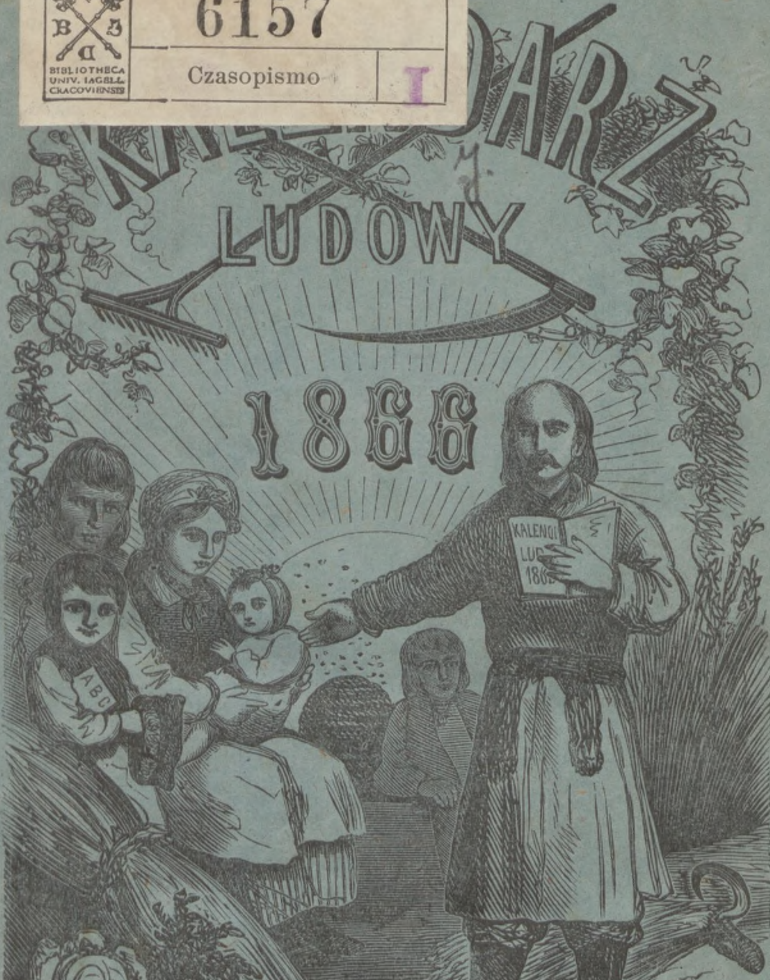


Cena egz. gr. pol. 20 (czyli kop. 10).

Nakładem i drukiem S. Lewentala, Typografa i Nakładcy.

Skład Główny w Księgarni Michała Glücksberga przy ulicy Krakowskie-Przedmieście Nr 411.

LEWENTALA

KALENDARZ
LUDOWY
OBRĄZKOWY

na rok zwyczajny

1866.

„Nie pogardzaj ubogiego,
„Szanuj wszystkie stany,
„Poznaj w chłopku brata swego,
„A będziesz kochany!"

ROK PIĄTY.

WARSZAWA,

ULICA MAZOWIECKA Nr 1352.

1866.

ŚWIĘTA RUCHOME.

Rzymskie.

Niedziela Starozapustna. dnia	28 Stycznia.
Niedziela Mięsopustna „	4 Lutego.
Niedziela Zapustna . . „	11 Lutego.
Popielec . . . . . . „	14 Lutego.
Wielkanoc . . . . . „	1 Kwietnia.
Krzyżowe dni dnia 7, 8 i	9 Maja.
Wniebowstąpienie Pańs. dnia	10 Maja.
Zielone Świątki . . „	20 Maja.
Swiętéj Trójcy . . . „	27 Maja.
Boże Ciało . . . . „	31 Maja.
Niedziela 1 Adwentu . „	2 Grudnia.

Kościoła Wschodniego.

Miasopust	30 Janvara.
Syropust.	6 Fewrala.
1 deń Welik. Posta. . .	7 Fewrala.
Werbnaja Nedela . .	20 Marta.
Woskresenie Christowo .	27 Marta.
Woznesenie Hospod. . .	5 Maja.
Soszestwie św. Ducha . .	15 Maja.
1 deń Petrowa Posta . .	23 Maja.

Mięsopustu rachując od Nowego Roku do Popielca tygodni 6 i dni 3.

Cztery Pory Roku Astronomiczne.

Wiosna zaczyna się d.	21 Marca.
Lato „	22 Czerwca.
Jesień „	23 Września.
Zima „	22 Grudnia.

Suche dni.

Pierwsze, dnia 21, 23 i 24 Lutego.
Drugie dnia 23, 25 i 26 Maja.
Trzecie, dnia 19, 21 i 22 Września.
Czwarte, dnia 19, 21 i 22 Grudnia.

ZAĆMIENIA.

W roku 1866 przypadają trzy zaćmienia słońca i dwa księżyca; z tych połowa tylko pierwszego zaćmienia księżyca w naszych stronach widzialną będzie.

I. *Zaćmienie słońca cząstkowe* dnia 16 marca. To małe zaćmienie (2,7 cali wielkości) widziane będzie w północnéj części Azyi, i w małéj części Ameryki północnéj.

II. *Zaćmienie słońca cząstkowe* dnia 15 kwietnia (8,0 cali) widzialne głównie na południowém morzu.

III. *Zaćmienie słońca cząstkowe* dnia 9 października (6,6 cali), widzialne będzie w zachodniéj Europie, mianowicie w Portugalji, Hiszpanji, Francji, Wielkiéj Brytanji, części Włoch, Niemiec i Szwecji, w małéj części północno-zachodniéj Afryki i w północnej części Ameryki Północnéj.

I. *Zaćmienie księżyca całkowite* dnia 31 marca. To zaćmienie w części swego istnienia widzialnem będzie w Europie, Afryce, i zachodniéj Azji, podczas zaś całkowitego zaćmienia w Ameryce. Dla Warszawy początek częściowego zaćmienia o g. 4 m. 1 rano. Początek całkowitego o g. 5 m. 9, środek o g. 5 m. 58 rano, poczém księżyc w większéj połowie zaćmiony zachodzi.

II. *Zaćmienie księżyca całkowite* dnia 24 września. Podczas całkowitego zaćmienia widzialne będzie w południowéj Azji i Australji, przy początku w zachodniéj części Ameryki południowéj, przy końcu w zachodniéj części Europy i Afryki.

EPOKI GŁÓWNE.

Rok	1866	Ery chrześcijańskiéj
	6579	peryodu Juliańskiego.
	7374	ery Byzantyńskiéj.
	1282	ery tureckiéj, którego początek dnia 17 Czerwca 1865 roku, a koniec dnia 5 Czerwca 1866 roku.
	5627	ery żydowskiéj, którego początek dnia 10 Września 1866 roku.
	1866	kalendarza Gregoryańskiego od 283 lat, to jest od roku 1582 dnia 4 Października zaprowadzonego, zaczynający się dnia 1 Stycznia n. s. Rok zaś 1866 podług kalendarza Juliańskiego, zaczyna się we 16 dni późniéj, to jest dnia 13 Stycznia n. s. Nowy kalendarz zaprowadzony został w Polsce w r. 1586.
	901	od zaprowadzenia religii chrześcijańskiéj w Polsce.
	633	od odkrycia zup solnych w Wieliczce.

Wolno drukować z warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury po wydrukowaniu prawém przepisanéj liczby egzemplarzy.

Warszawa dnia 18 (20) Maja 1865 roku.

Cenzor, *J. A. Rogalski.*

DNI GALOWE

W CESARSTWIE ROSSYJSKIÉM I KRÓLESTWIE POLSKIÉM.

PIERWSZEGO RZĘDU.

Styczeń.

Dnia 13 (1), Nowy Rok Ruski, oraz Rocznica Urodzin J. C. W. W. X. *Heleny Pawłównéj* i J. C. W. W. X. *Alexieja Alexandrowicza.*

Marzec.

Dnia 3 (19 Lutego), Pamiątka Wstąpienia na Tron Jego Cesars-Król. Mości N. Alexandra II. Mikołajewicza.

Dnia 10 (26 Lutego), Rocznica Urodzin J. C. W. W. X. Alexandra Alexandrowicza Następcy Tronu.

Kwiecień.

Dnia 29 (17,) Rocznica Urodzin J. Ces. Król. Mości N. Alexandra II. Mikołajewicza i J. C. W. W. X. *Mikołaja Michałowicza.*

Sierpień.

Dnia 3 (22 Lipca), Imieniny Jéj Cesarsko - Królewskiéj Mości N. Maryi Alexandrównéj i J. C. W. W. X. *Maryi Alexandrównéj*, Córki Ich Cesars. Królew. Mości, tudzież J. C. W. W. X. *Maryi Mikołajewnéj*, Wdowy po J. C. W. W. X. *Maxymiljanie* Leuchtenbergskim.

Dnia 8 (27 Lipca), Rocz. Urodzin Jéj Cesars. Król. M. N. Maryi Alexandrównéj, tudzież Rocznica Urodzin i Imieniny J. C. W. W. X. *Mikołaja Mikołajewicza* Starszego, i Imieniny J. C. W. W. X. *Mikołaja Mikołajewicza* Młodszego.

Wrzesień.

Dnia 7 (26 Sierpnia), Rocznica Koronacyi Jego Ces. Król. Mości N. Alexandra II. Mikołajewicza i Jéj Ces. Król. Mości N. Maryi Alexandrównéj.

Dnia 11 (30 Sierpnia), Imieniny Jego Cesar. Król. Mości N. Alexandra II. Mikołajewicza i J. C. W. W. X. Alexandra Alexandrowicza, Następcy Tronu, oraz Rocznica Urodz. J. C. W. W. X. *Olgi Mikołajewnéj*, Małżonki J. K. M. Króla Wirtembergskiego i Święto Orderu Ś. Alexandra Newskiego.

DRUGIEGO RZĘDU.

Styczeń.

Dnia 3 [22 Grudnia], Imieniny J. C. W. W. X. *Anastazyi Michałównéj.*

Dnia 19 [7], Rocznica Urodzin J. K. M. W. X. *Anny Pawłównéj*, Wdowy po Królu Niderlandzkim.

Luty.

Dnia 15 [3] Imieniny J. K. M. W. X. *Anny Pawłównéj*, Wdowy po Królu Niderlandzkim, i Rocznica Urod. J. C. W. W. X. *Mikołaja Konstantynowicza*, oraz Święto Orderu ś. Anny.

Dnia 16 [4], Rocznica Urod. J. C. W. W. X. *Wiary Konstantynównéj.*

Kwiecień.

Dnia 22 [10], Rocz. Ur. J. C. W. W. X. *Włodzimierza Alexandrowicza.*

Maj.

Dnia 5 [23 Kwietnia], Imieniny J. C. W. W. X. *Alexandry Józefównéj*, Mał. J. C. W. W. X *Konstantego Mikołajewicza* i J. C. W. W. X. *Alexandry Petrównéj*, Małżonki J. C. W. W. X. *Mikołaja Mikołajewicza.*

Dnia 11 (29 Kwietnia], Rocz. Urodz. J. C. W. W. X. *Sergiusza Alexandrowicza.*

Czerwiec.

Dnia 1 (20 Maja), Im. J. C. W. W. X. *Alexieja Alexandrowicza.*

Dnia 2 (21 Maja), Im. J. C. W. W. X. *Konstantyna Mikołajewicza,* J. C. W. W. X. *Konstantego Konstantynowicza* i J. C. W. W. X. *Heleny Pawłówněj*, oraz Rocz. Urod. J. C. W. W. X. *Alexandry Petrówněj.*

Lipiec.

Dnia 1 (19 Czerwca), Rocz. Urodz. J. C. W. W. X. *Dymitra Konstantynowicza.*

Dnia 8 (26 Czerwca), Rocz. Ur. J. C. W. W. X. *Alexandry Józefówněj,* Mał. J. C. W. W. X. *Konstantego Mikołajewicza* i Im. J. C. W. W. X. *Dymitra Konstantynowicza.*

Dnia 11 (29 Czerwca), Im. J. C. W. W. X. *Pawła Alexandrowicza.*

Dnia 13 (1), Rocz. Ur. J. C. W. W. X. *Wacława Konstantynowicza.*

Dnia 17 (5), Imieniny J. C. W. W. *Sergiusza Alexandrowicza.*

Dnia 23 (11), Imieniny J. C. W. W. X. *Olgi Mikołajewněj,* Mał. J. K. M. Króla Wirtemberg. i J. C. W. W. X. *Olgi Konstantynówněj* i J. C. W. W. X. *Olgi Fedorówněj.*

Dnia 27 (15), Im. J. C. W. W. X. *Włodzimierza Alexandrowicza* i Rocz. Ur. J. C. W. W. X. *Anastazyi Michałówněj.*

Sierpień.

Dnia 18 (6), Rocz. Urodzin J. C. W. W. X. *Maryi Mikołajewněj,* Wd. po J. C. W. W. X. *Maxymiljanie* Leuchtenbergskim.

Dnia 22 (10) Rocz. Ur. J. C. W. W. X. *Konstantego Konstantynowicza.*

Dnia 23 (11), Rocz. Ur. J. C. W. W. X. *Jerzego Michałowicza.*

Dnia 28 (16), Rocz. Ur. J. C. W. W. X. *Katarzyny Michałówněj.*

Wrzesień.

Dnia 3 (22 Sierpnia), Rocz. Ur. J. C. W. W. X. *Olgi Konstantynówněj.*

Dnia 20 (8), Rocz. Urodzin J. C. W. W. X. *Olgi Fedorówněj.*

Dnia 21 (9) Rocz. Ur. J. C. W. W. X. *Konstantyna Mikołajewicza.*

Dnia 29 (17) Imien. J. C. W. W. X. *Wiary Konstantynówněj.*

Październik.

Dnia 3 (21 Września), Rocz. Ur. J. C. W. W. X. *Pawła Alexandrowicza,* i Imien. J. C. W. W. X. *Dymitra Konstantynowicza.*

Dnia 4 (22 Września), Święto Ord. Ś. Równo Apostolskiego Xięcia Włodzimierza.

Dnia 10 (28 Września), Imien. J. C. W. W. X. *Wacława Konstantynowicza.*

Dnia 17 (5), Rocz. Urod. J. C. W. W. X. *Maryi Alexandrówněj* córki Ich Cesar. Królew. Mości.

Dnia 25 (13), Roczni. Urodzin J. C. W. W. X. *Michała Mikołajewicza,* i Roczn. Urodz. J. C. W. W. X. *Michała Michałowicza.*

Listopad.

Dnia 18 (6) Rocz. Ur. J. C. W. W. X. *Mikołaja Mikołajewicza* Młodszego.

Dnia 20 (8) Imieniny J. C. W. W. X. *Michała Mikołajewicza,* i Jego C. W. W. X. *Michała Michałowicza,* tudzież Święto wszystkich Cesarsko - Rossyjskich Orderów.

Grudzień.

Dnia 6 (24 Listop.), Imieniny J. C. W. W. X. *Katarzyny Michałówněj,* i Święto Orderu Ś. Katarzyny W. Męczenniczki.

Dnia 8 (26 Listop.), Swięto Orderu Ś. Jerzego W. Męczennika.

Dnia 12 (30 List.), Święto Orderu Ś. Andrzeja Apostoła.

Dnia 18 (6), Imieniny J. C. W. W. X. *Mikołaja Konstantynowicza,* i J. C. W. W. X. *Mikołaja Michałowicza.*

Dnia	Wsch. słońca g.	m.
1	8	12
15	8	5
30	7	47



Dnia	Zachód słońca g.	m.
1	3	56
15	4	15
30	4	41

STYCZEŃ ma dni 31.

Dni	Święta Kościoła Rzymsko-Katolickiego	Święta Kościoła Wschod.-Katolickiego
1 P.	**Nowy Rok.** Fulgencjusza.	20 Ihnatja M.
2 W.	Makarego Op. i Marcjana.	21 Juljany M.
3 S.	Daniela i Genowefy P.	22 Anastazja.
4 C.	Tytusa i Grzegorza BB.	23 SS. Mucz w Krit.
5 P.	† Telesfora P. i Emil.	24 † *Naw. R. Chr.*
6 **S.**	**Trzech Króli.**	25 **Rożd. Christ.**
7 **N.**	*1 po 3 Kr.* (In exc. throno).	26 *Po Rożd.* Josipa.
8 P.	Seweryna Opata.	27 Stefana I M.
9 W.	Marcjanny P. M.	28 SS.MM. w Nikom.
10 S.	Agatona P. i Wilhelma B.	29 SS. MM. Mładen.
11 C.	Higina i Teodozjusza W.	30 Anisji M.
12 P.	Arkadjusza.	31 Mełanji Pr.
13 S.	Weroniki P. i Godfryda B	1 *Jan. 1866.* **O. H.**
14 **N.**	*2 po 3 Kr. Im. Jez.* (Omnis	2 *Per. Boh.* Sylw.
15 P.	Pawła I Pust. [terra).	3 Małachja.
16 W.	Marcellego P. i Ottona M.	4 Sob. SS. 70 Ap.
17 S.	Antoniego Opat.	5 † Naw. Bohojaw.
18 C.	Katedry Ś. P. w Rzymie.	6 **Boh. Hosp.**
19 P.	Henryka B. M. i Kanuta K.	7 Sobor S. Joan.
20 S.	Fabjana i Sebestjana MM.	8 Heorhja P.
21 **N.**	*3 po 3 Kr.* (Ado. Deum l).	9 *Po. Boh.* Połyj.
22 P.	Wincentego. i Anast. MM.	10 Hryhorja.
23 W.	*Zaślub. N. M. P.* Ildef. B.	11 Fteodosja Prep.
24 S.	Tymoteusza B. M.	12 Tatjanny M.
25 C.	Nawrócenie Ś. Pawła.	13 Jermyła M.
26 P.	Polikarpa B. M. i Pauli. W.	14 SS. Otec. w Sin.
27 S.	Jana Chryzost. B. i W.	15 Pawła Prepod.
28 **N.**	*Starozapustna* (Circum-	16 *10 pr. W.* Wer.
29 P.	Franciszka S. B. [dederunt.	17 Antonja W.
30 W.	Martyny P. M.	18 Afanasia i Kiryła.
31 S.	Piotra Nolas. W. i Mar. W.	19 Makarja Prep.

Odmiany Księżyca.

Pełnia d. 1 o g. 8 m. 12 rano.
Ostatnia kwadra, dnia 8 o g. 11 m. 1 w.
Nów, d. 16 o g. 10 m. 0 w.
Pierwsza kwadra, d. 23 o g. 10 m, 18 w.
Pełnia, d. 30 o g. 9. m. 53 w.

Święta Żydowskie.

Dnia 17 Roszchodesz czyli 1 Szwat.

Dnia	Wsch. słońca g.	m.
1	7	44
15	7	18
28	6	51



Dnia	Zachód słońca g.	m.
1	4	45
15	5	11
28	5	35

LUTY ma dni 28.

Dni	Swięta Kościoła Rzymsko-Katolickiego	Swięta Kościoła Wschod.-Katolickiego
1 C.	† Ignacego B. M. i Brygd. P.	20 Emfimia Wełyk.
2 **P.**	**Oczyszczenie N. M. P.**	21 Maksyma Prep.
3 S.	Błażeja B. i M.	22 Timofteja Apos.
4 **N.**	*Mięsopu.* Wer. (Ex.Domi.)	23 *9 N.p.W.* Klim.
5 P.	Agaty P. i M.	24 Ksenji Pr.
6 W.	Doroty P. i M.	25 Hryhorja Bohos.
7 S.	Romualda B.	26 Ksenofonta P.
8 C.	Jana z Matty W. *Tł. Czw.*	27 Joanna Złotous.
9 P.	Apolonji P. i M.	28 Jefrema Prep.
10 S.	Scholastyki P.	29 Ihnatja M.
11 **N.**	*Zapus.* Hip. (Esto michi)	30 *Miasop.* Trech Ś.
12 P.	Gaudentego.	31 Kira i Joan.
13 W.	Juljana.	1 *Few.* Trifona.
14 S.	† *Popielec* Walentego.	2 **Srietenje Hosp.**
15 C.	Faustyna i Jowity MM.	3 Symeona Boh.
16 P.	*Pięciu ran Chrystusa P.*	4 Isydora Prep.
17 S.	Sylwina B. i Donata.	5 Aha. M. Otcew.
18 **N.**	*1 Postu* Konstancyi (Invo.)	6 *Syrna* Wukoła
19 P.	Konrada W.	7 *1 deń W P.* Parf.
20 W.	Eucharjusza B.	8 Fteodora Strat.
21 S.	† Eleonory Panny	9 Nikifora Mucz.
22 C.	Katedry Ś. Piotra w Ant.	10 Charałampja M.
23 P.	† Romany P.	11 Własja Jep. i M.
24 S.	† Macieja Apostoła.	12 Fteodora M.
25 N.	*2 P. Sucha* Wikt. (Remi.).	13 *1 P.* Martiniana.
26 P.	Aleksandra B.	14 Awksentja Pr.
27 W.	Anastaz. P. i Leand. B.	15 Onysima A.
28 S.	Romana Op.	16 Pamfyła M.

Odmiany Księżyca.

Ostatnia kwadra d. 7 o g. 9 m. 3 w.
Nów, d. 15 o g. 11 m. 37 r.
Pierwsza kwadra, d. 22 o g. 6 m. 12 r.

Swięta Żydowskie.

Dnia 15 i 16 Roszchodesz czyli 1 Adar. Dnia 28 post Estery.

Dnia	Wsch. słońca g.	m.
1	6	49
15	6	17
30	5	42



Dnia	Zachód słońca g.	m.
1	5	37
15	6	2
30	6	27

MARZEC ma dni 31.

Dni	**Święta Kościoła** Rzymsko-Katolickiego	**Święta Kościoła** Wschod.-Katolickiego
1 C.	Albina Biskupa.	17 Fteodora M.
2 P.	Heleny Cesarzowéj.	18 Lwa Papy. Rym.
3 S.	Kunegundy Cesarz.	19 Archipa Ap.
4 N.	*3 P. Głucha* (Oculi) S. Kaz.	20 *2 Pos.* Lwa E. K.
5 P.	Teofila Bisk.	21 Timofteja Pr.
6 W.	Wiktora i Wiktoryna MM.	22 Obr. Mos. SS. M.
7 S.	Tomasza z Ak. (*Srodop.*)	23 Polikarpa S. W.
8 C.	Jana B.	24 Obr. Hl. S. Joan.
9 P.	*Kor. Ciern. Pana.* Fran.	25 Tarasia Ar. Kon.
10 S.	40 Męczenników.	26 Porfirja Ar.
11 N.	*4 P. Srod.* (Laetare) Kons.	27 *3 Po.* Prok. Pr.
12 P.	Grzegorza.	28 Wasilja P.
13 W.	Katarz. B. Modes. PP.	1 *Mart.* Ewdoksji
14 Ś.	Matyldy Król.	2 Fteodota M.
15 C.	Longina M. i Leont. P.	3 Ewtropja M.
16 P.	Cyrjaka D. i Tacjana.	4 Herasima Prep.
17 S.	Gertrudy Panny.	5 Konona M.
18. N.	*5 P. Cza.* (Dom Pas.). Gabr.	6 *4 Po.* 42 Mucz.
19 P.	*Józefa Oblub. N. M. P.*	7 Wasilja M.
20 W.	Archippa W.	8 Fteofiłakta Pr.
21 S.	Benedykta Opata.	9 SS. 40 M. wSe.
22 C.	Pawła B. i Oktawiana.	10 Kondrata M.
23 P.	*Sied. bol. N. P. M.* Katarz.	11 Sofronja Prep.
24 S.	Marka i Tymoteusza MM.	12 Steofana Prep.
25 N.	*6 P. Pal.* (Dom. Palm ar.).	13 *5 Po.* Nikif. P. C.
26 P.	Ludgera B.	14 Wenedyk. P.
27 W.	Ruperta B.	15 Ahapja M.
28 S.	Syxta P. i Doroteu. M.	16 Sawina M.
29 C.	*Wiecz. Pań.* (Coena Dom.)	17 Alekseja Prep.
30 P.	*Wielki* (Parasceve).	18 Kiryła Arch. Jer.
31 S.	*Wielka* (Sabatum Sanct.)	19 Chryzanfta.

Odmiany księżyca.

Pełnia, d. 1 o g. 1 m. 16 w.
Ostatnia kwadra, d. 9 o g. 5 m. 17 w.
Nów, d. 16 o g. 11 m. 1 w.
Pierwsza kwadra, d. 23 o g. 2 m. 27 w.
Pełnia, d. 31 o g. 5 m. 56 r.

Święta Żydowskie.

Dnia 1 Purim. Dnia 2 Szuszan-Purim. Dnia 17 Roszchodesz czyli 1 Nisan. Dnia 31 Pesach, pierwszy dzień świąt Wielkanocnych.

Dnia	Wsch. słońca g.	m.
1	5	37
15	5	5
30	4	34



Dnia	Zachód słońca g.	m.
1	6	31
15	6	56
30	7	21

KWIECIEŃ ma dni 30.

Dni	Swięta Kościoła Rzymsko-Katolickiego.	Swięta Kościoła Wschod.-Katolickiego
1 **N.**	**Wielkanoc**. Teodory M.	20 SS. Otec. w Obs.
2 **P.**	**Wielkanoc**. Fran. à Paul.	21 Jakowa P.
3 W.	Ryszarda Biskupa.	22 Wasylja Jep.
4 S.	Izydora Biskupa.	23 Nykona Prep.
5 C.	Wincentego Fer. Wyz.	24 *Welik.* Zacharji.
6 P.	Wilhelma i Celestyna.	25 **W. Błah. Pr. Boh.**
7 S.	† Epifanjusza B.	26 **W.** Sob. S. Hawr.
8 **N.**	*Przewod.* (Qua.mo.) Dyoni.	27 **Wos. Chr.** Mart.
9 **P.**	**Zwiastowanie N. M. P.**	28 **Swiet.** Ilariona.
10 W.	Ezechjela Pror.	29 **Swiet.** Marka.
11 S.	Leona Papieża.	30 Joanna Prep.
12 C.	Juljusza P. i Damja. B.	31 Ipatja Ep.
13 P.	Hermenegilda Kr.	1 *Apr.* S. Marji.
14 S.	Tyburcjusza M.	2 S. Tita.
15 **N.**	*2po W.* (Pastor bo.). Anast.	3 *Antypas.* Nikity.
16 P.	Lamberta M.	4 S. Josifa
17 W.	Rudolfa B.	5 S. Fteoduła.
18 S.	Apolonjusza M.	6 S. Eftichja.
19 C.	Hermogenesa M.	7 Heorhia Prep.
20 P.	Sulpicyusza i Jer. MM.	8 Irydiona Ap.
21 S.	Anzelma Biskupa.	9 Ewpsychia M.
22 **N.**	*3po W. Op. S. Józ.* (Jubila.)	10 *Mir.* Terentia.
23 P.	Wojciecha B. M.	11 Antipy M.
24 W.	Bony Panny.	12 Wasylja Prep.
25 S.	Marka Ewangelisty.	13 Artemona Jep.
26 C.	Marcelego i Kleta.	14 Martyna Pap.
27 P.	Teofila B.	15 Arystarchja. Ap.
28 S.	Witalisa Męczennika.	16 Ahapji i Ireny.
29 **N.**	*4po W.* (Cantate) Piotra M.	17 *Chore.* Simeona.
30 P.	Katarzyny Seneń. P.	18 Joanna P.

Odmiany księżyca.

Ostatnia kwadra, d. 8 o g. 10 r.
Nów, d. 15 o g. 8 m. 27 r.
Pierwsza kwadra d. 21 o g. 11 m. 55 w.
Pełnia d. 29 o g. 10 m. 47 w.

Swięta Żydowskie.

Dnia 1 drugi dzień świąt Wielkanocnych. Dnia 2, 3, 4 i 5 wolne święta. Dnia 6 i 7 ostatnie święta uroczyste. Dnia 15 i 16 Rosschodess czyli 1 Ijar

Dnia	Wsch. słońca g.	m.
1	4	32
15	4	8
30	3	49



Dnia	Zachód słońca g.	m.
1	7	23
15	7	45
30	8	6

MAJ ma dni 31.

Dni		Święta Kościoła Rzymsko-Katolickiego	Święta Kościoła Wschod.-Katolickiego
1	W.	Filipa i Jakóba Apost.	19 Joanna P.
2	S.	Anastazego B. i Zygmunta.	20 Fteodora (Prep.)
3	C.	Znalez. Ś. Krz. i Ś. Alex. P.	21 Januaria Ep. M.
4	P.	Florjana M. i Moniki W.	22 Fteodora Syk.
5	S.	Piusa V P.	23 Heorhia M.
6	**N.**	*5po W.* (Rog.) N.M.Ł. Jana.	24 *Samar.* Saw. M.
7	P.	† Domicelli Panny.	25 Marka E.
8	**W.**	† **Stanisława B. i M.**	26 Wasilia Ep. Am.
9	S.	† Grzegorza B.	27 Simeona Jep.
10	**C.**	**Wniebowst. Pańskie.**	28 Maxima M.
11	P.	Mamerta Biskupa.	29 SS. 9 Mucz.
12	S.	Pankracego M.	30 Jakowa Ap.
13	**N.**	*6 po W.* (Exaudi). Serwac	1 *Maj. Slepe.* Jere.
14	P.	Bonifacego M.	2 Borysa i Gleba.
15	W.	Zofii z 3 córkami.	3 Fteodozja Pecz.
16	S.	Jana Nepomucena M.	4 Pełabii M.
17	C.	Paschalisa W. Weroni.	5 **Woznes. Hosp.**
18	P.	Felixa Kap.	6 Jowa Mnohos.
19	S.	† Piotra Celestyna.	7 Wosp. Kr. Hos.
20	**N.**	**Zesłanie Duch. S.** Bernar.	8 *SS. Otc.* Joa. i Ar.
21	P.	**Świąteczny.** Donata i Wik.	9 **Nik. Cz.** wBarze.
22	W.	Julji P. M.	10 Symeona Ap.
23	S.	† Dezyderjusza B.	11 Mokia M.
24	C.	Joanny Wdowy.	12 Epifania Ep.
25	P.	† Grzeg. VII i Urb. PP.	13 Hlikerji M.
26	S.	† Filipa Nerjusza W.	14 Isid. M. (Dz. Za.)
27	**N.**	**S. Trój.** (Dom. in Sua). Mag.	15 **Soszes. S. Duch.**
28	P.	*Krwi Św. Pan. Jez.* Germ.	16 **S. Trójcy.**
29	W.	Teodozji M.	17 Andronika Ap.
30	S.	Felixa P.	18 Fteodota M.
31	**C.**	**Boże Ciało.** S. Petroneli.	19 Patrikia Je.

Odmiany Księżyca.
Ostatnia kwadra, d. 7 o g. 11 m. 6 w.
Nów, d. 14 o g. 4 m. 22 w.
Pierwsza kwadra, d. 21 o g. 11 m. 22 r.
Pełnia, d. 29 o g. 2 m. 42 w.

Święta Żydowskie.
Dnia 3 Lag-Beomer. Dnia 15 Roszchodesz czyli 1 Siwan. Dnia 20 i 21 Szwuos czyli Zielone Święta.

Dnia	Wsch. słońca g.	m.
1	3	47
15	3	40
30	3	43



Dnia	Zachód słońca g.	m
1	8	9
15	8	20
30	8	22

CZERWIEC ma dni 30.

Dni	**Święta Kościoła** Rzymsko-Katolickiego	**Święta Kościoła** Wschod.-Katolickiego
1 P.	Fortun. K. Proku. M.	20 Ftałałeja M.
2 S.	Blandyny P. i M.	21 Konstantina Jeł.
3 **N.**	*2 po S.* (Factus est Domin)	22 *1 po S.* Jsaakia.
4 P.	Saturnina. [Klotyldy.	23 Michaiła.
5 W.	Bonifa. B.	24 Simeona.
6 S.	Norberta B.	25 Obr.Hł.Sw.Joan.
7 C.	Roberta B.	26 **Tyło Chr.** Karpa
8 P.	*SercaP. Jezusa.* Medarda	27 Fteraponta Jep.
9 S.	Pryma i Felicjana MM.	28 Nikity Prep.
10 **N.**	*3 poS.*(Res. in me)Małgor.	29 *2.poS.* Fteodos.
11 P.	Barnaby Ap.	30 Isaakja Pr.
12 W.	Onufrego Pustelnika.	31 Jermija Ap.
13 S.	Antoniego z Padwy.	1 *Juni.* Justina.
14 C.	Bazylego B.	2 Nikifora.
15 P.	Wita i Modesta.	3 Sostradanje.Łuk.
16 S.	Benona B. i Justyny P. M.	4 Mitrofana.
17 **N.**	*4 po S.* (Dom. illu.) Adolfa.	5 *.3 poS.*Doroftea.
18 P.	Marka i Marcelin.	6 Wisarojna C.
19 W.	Gerwazego i Protazego.	7 Fteodota Jep.
20 S.	Sylwerjusza P. i M.	8 Fteodora M.
21 C.	Aloizego Gonzagi W.	9 Kiryła Arch.
22 P.	Paulina B.	10 Timofteja M.
23 S.	Agryp. P. M.	11 Warftołom. Ap.
24 **N.**	*5 po S.* Narodz. Jana Chr.	12 *4 po S.* Onufria.
25 P.	Prospera B.	13 Akiliny M.
26 W.	Jana i Pawła MM.	14 Jeliseja Pror.
27 S.	Władysława Kr. Wyz.	15 Amosa Pror.
28 C.	† Ireneusza B.	16 Tychona Prep.
29 P.	**Piotra i Pawła Apost.**	17 Manuiła M.
30 S.	Emilji i Lucyny PP.	18 Leontja M.

Odmiany księżyca.
Ostatnia kwadra, d. 6 o g. 8 m. 36 r.
Nów, d. 12 o g. 11 m. 31 w.
Pierwsza kwadra, d. 20 o g. 1 m. 9 r.
Pełnia, d. 28 o g. 4 m. 59 r.

Święta Żydowskie.
Dnia 13 i 14 Roszchodesz czyli 1 Tamuz.

Dnia	Wsch. słońca g.	m.
1	3	44
15	3	57
30	4	18



Dnia	Zachód słońca g.	m.
1	8	22
15	8	13
30	7	53

LIPIEC ma dni 31.

Dni		Swięta Kościoła Rzymsko-Katolickiego	Swięta Kościoła Wschod.-Katolickiego
1	**N.**	*6 po Sw.* (D.for.). Teod. K.	19 *5 po S.* J. Ftad. A.
2	P.	*Nawie. N. M. P.*	20 Meftodja J.
3	W.	Heliodora i Anatolego BB.	21 Juljana Mucz.
4	S.	Józefa Kalasantego W.	22 Jewsewia M.
5	C.	Filomeny P. M. Cyr. D.	23 Ahripiny M.
6	P.	Dominiki P. i M.	24 **Rożd. S. Joan.**
7	S.	Apoloniusza i Pulch. P.	25 Febronii Prep.
8	**N.**	*7 po Sw.* (Óm.gen.). Elżb.	26 *6 po S.* Daw. Pr.
9	P.	Cyryla Biskupa.	27 Samsona P.
10	W.	7 Braci syn. Felicyty MM.	28 Kira i Joan. Cz.
11	S.	Sabina W. i Pelagii P. M.	29 **SS. Petra i Paw.**
12	C.	Jana Gwalberta Op.	30 Sobor SS. 12 Ap.
13	P.	Małgorzaty P. i M.	1 *Jul.* Kos. i Dam.
14	S.	Bonawentury Bisk.	2 Położ. R. P. Boh.
15	**N.**	*8 po Sw.* (Suscep.). Henr.	3 *7 po S.* Jakin. M.
16	P.	*N. M. P. Szkap.*	4 Andreja Ar.
17	W.	Alexego W.	5 Aftanasja Afron.
18	S.	Szymona z Lipnicy i Kam.	6 Sisoja Prep.
19	C.	Wincentego a Paulo.	7 Ftomy Prep.
20	P.	Eliasza Pr. i Czesława W.	8 Prokopia W. M.
21	S.	Daniela Pr. i Praxe. P.	9 Pankratia Jen.
22	**N.**	*9 po S.* (Ec. De. adj.). Mar.	10 *8 po S.* SS. 45 M.
23	P.	Apolinarego B. M.	11 Jeftimji M.
24	W.	Krystyny P. M.	12 Prokła i Iłarsja.
25	S.	Jakóba Apost.	13 Sob. Arch. Haw.
26	C.	Anny Matki N. M. P.	14 Akiły Apost.
27	P.	Natalji P. i M.	15 Wład. (Bazyli).
28	S.	Innocent. Pap. i Celsa M.	16 Maryny M.
29	**N.**	*10 po* S. Kunegundy.	17 *9 po S. P. SS. Ot.*
30	P.	Abdona i Seneny MM.	18 Jemiljana M.
31	W.	Ignacego Lojoli W.	19 Makryny Pr.

Odmiany Księżyca.

Ostatnia kwadra d. 5 o g. 3 m. 28 w.
Nów d. 12 o g. 6 m. 59 r.
Pierwsza kwadra, d. 19 o g. 5 m. 7 w.
Pełnia, d. 27 o g. 5 m. 37 w.

Święta Żydowskie.

Dnia 1 Szywo-Ozor Betamus czyli post oblężenia Jerozolimy. Dnia 13 Rosschodesz czyli 1 Aw. Dnia 22 Tysze Beaw czyli post zburzenia Jerozolimy.

Dnia	Wsch. słońca g.	m.
1	4	21
15	4	43
30	5	8



Dnia	Zachód słońca g.	m.
1	7	50
15	7	24
30	6	52

SIERPIEŃ ma dni 31.

Dni		**Swięta Kościoła** Rzymsko-Katolickiego	**Swięta Kościoła** Wschod.-Katolickiego
1	S.	Piotra w Okowach.	20 Julji Pr.
2	C.	*N. M. P. Anielskiéj.*	21 Symeona P.
3	P.	Znalez. ś. Szczepana M.	22 Maryi Mahdal.
4	S.	Dominika Wyz.	23 Trofima M.
5	**N**.	*11poS.*(De.in lo.S.)Grzeg.	24 *10poS.*Bor i Hl.
6	P.	*Przemienienie Pańskie.*	25 Uspień. S. An.
7	W.	Kajetana Wyznawcy.	26 Jerm. P. M.
8	S.	Cyryaka Lar. i Smar. MM.	27 Pantalajmona.
9	C.	Romana Męcz.	28 Prohora Ap.
10	P.	Wawrzyńca M.	29 Kallinika M.
11	S.	Zuzanny i Dygny PP.	30 Siły i Siłuana A.
12	**N**.	*12poS.*(Deus in adj.)Klary.	31 *11poS.* Jewd. P.
13	P.	Hipolita i Kasjana MM.	1 *Awg.N.S.Kres.*
14	W.	† Euzebjusza Męczen.	2 Stefana Ar.
15	**S**.	**Wniebowzięcie N. M. P.**	3 Isaakia Prep.
16	C.	Rocha W.	4 7 Otrok. w Efez.
17	P.	Anastazjusza B.	5 Ewsihnija M.
18	S.	Agapita M. Bronisławy.	6 **Preobr. Hosp.**
19	**N**.	*13poSw.* Jacka, Sebalda.	7 *12poS.* Dometja.
20	P.	Bernarda Op.	8 Jemił. Ed.
21	W.	Joanny Fremiot Wd.	9 Matfija M.
22	S.	Symforiana M.	10 Ławrentja M.
23	C.	Filipa Benicjusza W.	11 Jewpła. M.
24	P.	Bartłomieja Ap.	12 Fotja M.
25	S.	Ludwika Króla.	13 Maksyma Prep.
26	**N**.	*14poS.* (Pr. nos.) Zefiryna.	14 *3poS.*Micheja P.
27	P.	Przeniesienie ś. Kazimier.	15 **Uspen. Boh.**
28	W.	Augustyna B. Dok. Kos.	16 Cuh.Obr. Hospo.
29	S.	Ścięcie ś. Jana Chrzci.	17 Mirona M.
30	C.	Joach. O. Róży Liman.	18 Flora i Ławra.
31	P.	Rajmunda W. i Rufiny P.	19 Andreja Strati.

Odmiany księżyca.
Ostatnia kwadra, d. 3 o g. 8 m. 40 w.
Nów, d. 10 o g. 4 m. 0 w.
Pierwsza kwadra, d. 18 o g. 11 m. 40 r.
Pełnia, d. 26 o g. 4 m. 58 r.

Święta Żydowskie.
Dnia 11 i 12 Roszchodesz czyli 1 Elul.

Dnia	Wsch. słońca g.	m.
1	5	11
15	5	35
30	6	—



Dnia	Zachód słońca g.	m.
1	6	47
15	6	13
30	5	40

WRZESIEŃ ma dni 30.

Dni		Święta Kościoła Rzymsko-Katolickiego.	Święta Kościoła Wschod.-Katolickiego
1	S.	Idziego Opata.	20 Samuiła Pr.
2	N.	*15 po S.* S. Joachima.	21 *14 po S.* Ftad. A.
3	P.	Eufrozyny.	22 Ahafto M.
4	W.	Rozalji Panor. P.	23 Łupa M.
5	S.	Wawrzyńca i Justyn.	24 Ewticha M.
6	C.	Zacharjasza Pr.	25 Warftołom. Ap.
7	P.	† Reginy P. i M.	26 Adrijana i Nat.
8	S.	**Narodzenie N. P. M.**	27 Pimena Prep.
9	N.	*16 po S.* Imienia N. M. P.	28 *15 po S.* Mois. M.
10	P.	Mikołaja z Tol.	29 *Usiek. Hł. S. J.*
11	W.	Teodory Pok.	30 Alexandra Patr.
12	S.	Walerjana i Salez. MM.	31 Poł. Pojas. P. Boh
13	C.	Mauryljusza B.	1 *Sent.* Sym. Stol.
14	P.	*Podwyższen. S. Krzyża.*	2 Mamanta M.
15	S.	Nikodema Kap. M.	3 Anftyma M.
16	N.	*17 po S.* (Jus. es Dom.) Cyp.	4 *16 po S.* Waw. M.
17	P.	5 ran S. Franciszka.	5 Zachara Pr.
18	W.	Józefa z Kop. i Tomasza.	6 Wos. Cz. A. Mich.
19	S.	† Januarjusza z tow. MM.	7 Zozonta M.
20	C.	Eustachjusza M.	8 **Rożdest. Bohor.**
21	P.	† Mateusza Apost. i Ew.	9 Joakima i Anny.
22	S.	† Maurycego M.	10 Minodory Prep.
23	N.	*18 po S.* Wład. z Gieln. Tek.	11 *17 po S.* Fteo. P.
24	P.	N. P. M. od Wyk. z nie. Wład.	12 Aftonoma M.
25	W.	Cyprjana i Justyny MM.	13 Korniłja Mucz.
26	S.	Józefata B. i M.	14 *Wodz. Cz. Kr.*
27	C.	Kosmy i Damjana MM.	15 Nikity W. M.
28	P.	Wacława Kr. Czes. M.	16 Josafata B. M.
29	S.	*Michała Archanioła.*	17 Sofji M.
30	N.	*19 po S.* Hieronima D.	18 *18 po S.* Jew. Pr.

Odmiany księżyca.

Ostatnia kwadra, d. 2 o g. 1 m. 33 r.
Nów, d 9 o g. 3 m. 39 r.
Pierwsza kwadra, d. 17 o g. 4 m. 52 r.
Pełnia, d. 24 o g. 3 m. 30 w.

Święta Żydowskie.

Dnia 10 i 11 Rosz-Haszana 1 Tyszry, czyli nowy rok 5627. Dnia 12 post Gedalia. Dnia 19 Jom Kipur czyli sądny dzień. Dnia 24 i 25 Sukos czyli Kuczki. Dnia 26 do 29 wolne święta. Dnia 30 Hosanna czyli święto Palm.

Dnia	Wsch. słońca g.	m.
1	6	1
15	6	26
30	6	53



Dnia	Zachód słońca g.	m.
1	5	37
15	5	5
30	4	34

PAŹDZIERNIK ma dni 31.

Dni	Święta Kościoła Rzymsko Katolickiego.	Swięta Kościoła Wschod-Katolickiego.
1 P.	Regimijusza B.	19 Trofima.
2 W.	Aniołów Stróżów.	20 Jewstafja W. M.
3 S.	Kandyda M.	21 Kondrata Ap.
4 C.	Franciszka Seraf.	22 Foki M.
5 P.	Placyda i Flawian. P.	23 Zacz. S. Jo. Kr.
6 S.	Brunona W.	24 Ftekły M.
7 N.	*20 po S.* Win. N. P. M. Róża.	25 *19 po S.* Ew. Pr.
8 P.	Brygidy Wdowy.	26 *Joanna B.*
9 W.	Dyonizego B. i M.	27 Kałystrata M.
10 S.	Fran. B. i zwycięz. Chocim	28 Charytona Pr.
11 C.	Placydy P.	29 Kirjaka Prep.
12 P.	Maxymilijana B.	30 Hryhorja Jep.
13 S.	Edwarda Kr. Ang.	1 *Okt.* **Pokr P. B.**
14 N.	*21 po S.* (In vol. Tua). Kalix.	2 *20 po S.* Kip. Jep.
15 P.	Jadwigi i Teresy.	3 Dyonizja M.
16 W.	Florentyna B.	4 Jerofteja Jep.
17 S.	Wiktora B.	5 Charytyna M.
18 C.	Łukasza Ewangelisty.	6 Ftomy Ap.
19 P.	Piotra z Alkan. W.	7 Serhja M.
20 S.	Ireny i Przen. S. Wojciec.	8 Pełahji Prep.
21 N.	*22 po S.* Jana Kant. Urszuli	9 *21 po S.* Jak. Al.
22 P.	Korduli P. i M.	10 Jewłampja.
23 W.	Jana Kapistr. W.	11 SS. Otc. 7 Zbora.
24 S.	Rafała Archanioła.	12 Prowa M.
25 C.	Kryspa i Krys. MM.	13 Karpa M.
26 P.	Ewarysta P. M.	14 Praksedy W.
27 S.	Sabiny M.	15 Łukjana M.
28 N.	*23 po S.* (Dic. Dom). Sz. i Ju.	16 *22 po S.* Łon. M.
29 P.	Narcyza B.	17 Osji Pr.
30 W.	Zenobji i Zenob. MM.	18 Łuki Ap.
31 S.	† Wolfganga B.	19 Joiła Pr.

Odmiany księżyca.

Ostatnia kwadra, d. 1 o g. 7 m. 33 r.
Nów, d. 8 o g. 6 m. 22. w.
Pierwsza kwadra, d. 16 o g. 10 m. 48 w.
Pełnia, d. 24 o g. 1 m. 37 r.
Ostatnia kwadra, d. 30 o g. 4 m. 10 w.

Swięta Żydowskie.

Dnia 1 Swięto Zakończenia. Dnia 2 Swięto Zakonu. Dnia 9 i 10 Rosschodess czyli 1 Marcherswan.

Dnia	Wsch. słońca g.	m.
1	6	56
15	7	22
30	7	47



Dnia	Zachód słońca g.	m.
1	4	30
15	4	7
30	3	50

LISTOPAD ma dni 30.

Dni		Swięta Kościoła Rzymsko Katolickiego.	Swięta Kościoła Wschod.-Katolickiego
1	C.	**Wszystkich Swiętych.**	20 Artema M.
2	P.	*Dzień Zaduszny.* Wiktor.	21 Harjona Prep.
3	S.	Humberta B.	22 Awerkja Jep.
4	N.	*24po*S.(Dicit Dom. II)Kar.B.	23 *23 po S.* Jakowa.
5	P.	Zacharjasza i Elżbiety.	24 Arefty M.
6	W.	Leonarda W.	25 Markjana M.
7	S.	Herkulana M.	26 Dymitrja W. M.
8	C.	Godefr. B. i 4 Koronat.	27 Nestora M.
9	P.	Teodora M.	28 Terentja M.
10	S.	Andrzeja z Awelinu.	29 Anastazji M.
11	N.	*25 po S. Opieki N. P. M*	30 *24po S.* Zinowia.
12	P.	5 braci Pol. MM. [Marcina.	31 Stahja Ap.
13	W.	Dydaka W.	1 *Noj.* Kożmy.
14	S.	Serapiona M. i Klemen.	2 Ar. M. **Józefata.**
15	C.	Leopolda W. i Gertr. P.	3 Akepsymy M.
16	P.	Edmunda B.	4 Joannikaja Pr.
17	S.	Salomei P.	5 Hałaktjona M.
18	N.	*26 po S.* Stanisława Kost.	6 *25 po S.* Pawła.
19	P.	Elżbiety Kr. Węg.	7 33 Mucz. w M.
20	W.	Feliksa Walez. Wyz.	8 **Michaiła Ar.**
21	S.	*Ofiarowanie N. P. M.*	9 Onysfora M.
22	C.	Cecylji P. i M.	10 Szesty Apostoła.
23	P.	Klemensa P. M.	11 Myny M.
24	S.	Jana od Krzyża Wyz.	12 Joanna Myłost.
25	N.	*27 po S.* (Dicit Dominus V)	13 *26poS.* Joan. Z.
26	P.	Piotra Al. [Katarz.	14 Fiłypa Ap.
27	W.	Barlaama i Józefata P.	15 Hurja K.
28	S.	Rufa M. i Mansweta B.	16 Matfeja Ap.
29	C.	Saturna M.	17 Hryhorja Neok.
30	P.	Andrzeja Apostoła.	18 Płatona i Rom.

Odmiany Księżyca.
Nów, dnia 7 o g. 11 m. 49 r.
Pierwsza kwadra, d. 15 o g. 3 m. 31 w.
Pełnia, d. 22 o g. 11 m. 33 r.
Ostatnia kwadra, d. 29 o g. 4 m. 29 r.

Swięta Żydowskie.
Dnia 8 i 9 Rosschodesz czyli 1 Kislew.

Dnia	Wsch. słońca g.	m.
1	7	48
15	8	5
30	8	12



Dnia	Zachód słońca g.	m.
1	3	50
15	3	45
30	3	54

GRUDZIEŃ ma dni 31.

Dni		**Święta Kościoła** Rzymsko-Katolickiego.	**Święta Kościoła** Wschod-Katolickiego.
1	S.	Eligjusza B.	19 Awdja Pr.
2	N.	*1 Ad.* Bibjanny P. i M.	20 *27poS.* Hrih. D.
3	P.	Franciszka Xa. W.	21 *Wch. Pr. Boh.*
4	W.	Barbary P. i M.	22 Fiłymona Ap.
5	S.	Saby Op. i Piotr Chr.	23 Amfyłchja Jep.
6	C.	Mikołaja B.	24 Ekateriny W. M.
7	P.	†Ambrożego B. D. Ko.	25 Kłymenta Pap.
8	**S.**	**Niepokalane P. N. P. M.**	26 Ałypja Prep.
9	N.	*2 Ad.* Leokadji.	27 *28poS.*Jak. W. M.
10	P.	*N. P. M. Loretańskiéj.*	28 Stefana M.
11	W.	Damazego P. W.	29 Paramona.
12	S.	Synezjusza M. i Aleks.	30 Andreja Ap.
13	C.	Łucji P. i M.	1 *Dek.* Neum. Pr.
14	P.	Spirydjona B.	2 Awakuka Pror.
15	S.	Ireneusza M.	3 Sofonja Pror.
16	N.	*3Ad.* Alb. P. M. i Euz. B.	4 *29poS.*Wa. W. M.
17	P.	Łazarza A.	5 Sawy Ośw.
18	W.	Gracjana B.	6 **Nikołaja Epis.**
19	S.	† Faustyny Wd. i Nemez.	7 Amwrosja Jep.
20	C.	Teofila M.	8 Patapja Prep.
21	P.	† Tomasza Ap.	9 **Zaczat. Bohor.**
22	S.	† Zenona i Flaw. MM.	10 Myny Jer. M.
23	N.	*4 Ad.* Wiktorji P.	11 *Praot.* Dan. Pr.
24	P.	† *Wigilja* Adama i Ewy.	12 Spiridona.
25	**W.**	**Narodzenie Chr. Pana.**	13 Jewstratja M.
26	**S.**	**S. Szczepana 1-go Męcz.**	14 Ftyrsa M.
27	C.	Jana Ewangelisty.	15 Jełefterja M.
28	P.	SS. Młodzianków.	16 Ahheja Pror.
29	S.	Tomasza Kantuar.	17 Daniła Pror.
30	N.	*Ostatnia N.* Eugenjus. B.	18 *SS. Otec.* Sew.
31	P.	Sylwestra.	19 Wonyfatja.

Odmiany księżyca.

Nów, d. 7 o g. 6 m. 49 r.
Pierwsza kwadra, d. 15 o g. 6 m. 7 r.
Pełnia, d. 21 o g. 9 m. 58 w.
Ostatnia kwadra, d. 28 o g. 8 m. 47 w.

Święta Żydowskie.

Dnia 3—10 Chanuka czyli pamiątka zwycięstwa Machabeuszów. Dnia 8 i 9 Roszchodesz czyli 1 Taiwas. Dnia 10 post oblężenia Jerozolimy.

Z OKOLICZNOŚCI NOWO ROZPOCZĘTEGO ROKU.

WYJĄTEK Z KAZANIA.

Opuszczając miejsce z którego odczytałem słowo Boże, złożyć wam jeszcze muszę powinszowanie, żeśmy w zdrowiu i przy życiu doczekali się wszyscy jak tu jesteśmy dnia Nowego Roku, i ofiarować wam stosowne życzenia. Ale cóż wam dać może biedny kapłan sługa Chystusowy? Nie dam wam bogactwa bo go nie mam:—nie dam wam zdrowia, bo ono tylko w woli Bożéj spoczywa:—nie ochronię pól waszych od gradobicia i nieurodzajów, ani obór od pomoru i upadku, bo tém wszystkiém rządzi prawica Boga wszechmogącego. Cóż więc wam ofiaruje w dzień ten piérwszy rozpoczynającego się roku?

Inni życzyli już wam zapewne zdrowia, wszelkich pomyślności, bogactwa, szczęścia i tym podobnych innych rzeczy, które w rozumieniu ludzkiem robią człowieka szczęśliwym. Prawda że mając to wszystko, zdaje się że do szczęścia nic już ludziom nie brakuje, a jednak spojrzyjcie po świecie, zapytajcie się samych siebie, a przekonacie się, że choć Bóg w miłosierdziu swojém, darami temi szczodrze ludzi obdarzył, jednak jakże mało takich na świecie, którzyby się czuli prawdziwie szczęśliwemi?

I dla czegóż to? Czyżby Bóg nie chciał, aby człowiek o ile można był najszczęśliwszym? Nie! bo Bóg jest pełen miłości i kocha nas jak swoje dzieci. Dla czegóż więc tyle na świecie pomiędzy ludźmi jest płaczu i narzekania? Oto dla tego, że w sercu mało posiadamy miłości i wiary, a w rozumie mało woli do oparcia się namiętnościom i pożądliwościom ciała.

Gdyby bowiem człowiek kochał ludzi jak Bóg przykazał, czyżby ich nie ratował, nie wspomagał? czyżby im zazdrościł

czego bądźkolwiek, wyciągał źdźbła z oczów i cieszył się często ich upadkiem i niepowodzeniem?

Gdyby znowu człowiek miał prawdziwą wiarę, toby wierzył, że wszystko tak złe jak dobre pochodzi od Boga jedynego; z pokorą zatém, złe jak dobre przypadłości przyjmowałby a nie szemrał i narzekał. Bo powiedzcie wy ojcowie i matki, jeżeli dziatki wasze karzecie czyż chcecie ich złego? A jednak dziatki wasze płaczą i narzekają, bo nie rozumieją swego własnego dobra. Otóż my jesteśmy jak owe małe dziatki, narzekamy kiedy nas chłoszcze ręka Pańska, zamiast wierzyć w miłosierdzie Boskie i w Jego miłość i mądrość bez granic. Gdyby nareszcie człowiek miał dosyć woli w rozumie swoim, toby nad ciałem zawsze miał górę i nie dał mu zbytkować. Tymczasem inaczéj dzieje się na świecie.

Przedewszystkiem brak braterstwa i téj prawdziwéj miłości, co cudze dobro za własne każe uważać. Pomijając rzeczy skryte, tajne, należące do sumienia, jak i większe znane wszystkim, ten brak braterstwa przebija się nawet w najdrobniejszych wypadkach. Idziesz który naprzykład w pole i widzisz jak cudze bydlę robi szkodę twemu sąsiadowi, nie wygnasz go jednak dla tego jedynie, że ci się nie chce tych kilka kroków postąpić, powiadając, że i pole nie twoje i bydlę do ciebie nie należy. I jakże, kochasz-że wtedy twego sąsiada? Masz-że dla niego choć troszkę w twém sercu miłości? Jesteś w służbie, rzemieślnikiem, lub siedzisz na kawałku roli i zamiast Boga chwalić i cieszyć się tém czém cię Bóg obdarzył, radbyś lepiéj się od ciebie mającemu, wydrzeć co on posiada, a gdy dojdziesz do takiego samego stanu, znowu oczy podnosisz ku górze, wzdychając, że są tacy co więcéj od ciebie mają. Każdy przyszedł na świat nagi i niedołężny, a jednak każdy prawie uważa siebie za coś lepszego od drugiego, i wynosi się, puszy, jakby z lepszéj od drugiego ulepiony był gliny i nie miał się po śmierci w proch marny rozsypać.

Tak więc postępując, macież wy dla ludzi prawdziwą miłość?

A ci co oddają wet za wet, co najmniejszéj wyrządzonéj sobie obrazy nie zapominają nigdy, i w zemście dokuczają, dogryzają, złem za złe oddając, sąż to prawdziwi chrześcijanie, owi uczniowie Chrystusa, co kazał kochać nawet nieprzyjaciół, dobrém za złe oddawać, a sam na krzyżu modlił się za tych, co mu te męki zadawali? Czyż więc taki ma w sercu swojém choć tro-

szkę miłości Chrystusowéj? Czyż jest człowiekiem i chrześcijaninem?

Nie będę mówił o oszustwie, pijaństwie, złodziejstwie, zabieraniu cudzego, i innych podobnych zdrożnościach, znanych każdemu; ale nie mogę pominąć małego na pozór złego: plotki i obmówiska, najwięcéj podobno utrzymujących ludzi w rozdwojeniu. Czyż jest matka coby dziecię ganiła przed ludźmi, zakrywała cnoty, a tylko wady jego głosiła?—Żadnéj takiéj podobno nie znajdzie, bo matki mają miłość prawdziwą dla dzieci i kochają je całém sercem i duszą.

Obmawiając i siejąc plotki o bliźnich, powtarzając tylko złe o nich, dowiedziemy tém jasno że ich nienawidziemy, bo śledziémy tylko błędy, drobne ziarenka przemieniamy w góry, w cnotach nawet plam wyszukujemy, i często wystawiamy ich nie jak ludzi ale jak prawdziwych szatanów. Powiadacie także że macie wiarę w sercu i wierzycie w Boga wszechmogącego, że macie rozum ten największy dar Boży, i że się rozumem zawsze w życiu rządzicie. Ale wybaczcie mili chrześcijanie, że wam powiem jako kapłan, jako wasz ojciec duchowny, że nie widzę w was ani takiéj wiary jaką powinien mieć prawdziwy chrześcijanin, ani takiego rozumu jaki powinien mieć człowiek obdarzony duszą. Bo powiedzcie mi czy to jest wiara, jeżeli w jakiéj trwodze, zmartwieniu, lub nawet nieszczęściu, oddając się rozpaczy, człowiek jak szaleniec jaki, zapomina o wszystkiém nawet o Bogu, tylko płacze, narzeka i desperuje.

Czyż to bez woli Bożéj spaść może choć jeden włos z głowy człowieka? A wierząc w to, możnaż się w chwili ucisku tak okropnéj oddawać rozpaczy? Gdzież więc ta wiara do któréj się tak wszyscy przyznajecie? Czyż tylko w słowach i w tém że mówicie pacierz i chodzicie do kościoła, a nie w uczynkach i w takich wypadkach w których tylko jedna wiara może człowieka pocieszyć?

Bóg także dał wam i rozum, a czyż to rozum każe się oddawać próżniactwu, wałęsaniu, ubożących zawsze człowieka, a nie pracy która znowu chleb i dostatek do domu przynosi?

Czyż to rozum każe ludziom rozpijać się, marnować zdrowie i grosz zyskany mozołem, zamiast kochać trzeźwość i statek, dających byt dobry, wesele duszy, i zadowolenie z życia tak pożądane przez wszystkich? A jednak jakże wiele próżniactwa na świecie i marnowania zdrowia nadużyciem!

Gdzież więc ten rozum z którego się ludzie tak wychwalają?

Przy dzisiejszéj więc uroczystości nowego roku, nie będę wam życzył ani dostatków, ani bogactwa, bo one same przez siebie nie dają szczęścia, ale wam życzę, abyście serca wasze coraz większą rozgrzewali miłością, kochali jak bracia jedni drugich, wybaczali wzajemnie sobie błędy, wspierali się, pomagali, abyście krzepiąc w sobie wiarę, w mądrość, w miłość i w miłosierdzie Boskie, pokładali ufność w niewyczerpanéj jego łasce i wszystko tak złe jak dobre przyjmowali z pokorą i poddaniem się; abyście wreszcie zawsze i wszędzie rządząc się prawdziwym rozumem, unikali zazdrości, chciwości, nieprawych pożądliwości, próżniactwa, hultajstwa, obmówiska, plotek, uporu i szanowali ludzi co mają od was więcéj nauki i co poczesnie żyjąc z poczciwem idą do was słowem, radząc jak co macie lepiéj zrobić. Gdy bowiem będziecie się wszyscy kochać między sobą, gdy serca wasze przepełnione mieć będziecie miłością, gdy wiara w miłosierdzie Boskie i prawdziwy rozum rządzić będzie każdym waszym krokiem, wówczas będzie wszystko, i zdrowie i pomyślność i dostatki i wesele i Bóg was w każdéj czynności będzie błogosławił.— Tego więc wam dzisiaj życzę, a gdy Bóg wysłucha mojéj prośby ziemia nasza stanie się prawdziwym rajem, czego wam i sobie życzę. Amen.

NAUKA EWANGELICZNA.

W Boskiéj téj nauce powiedział raz Chrystus do zebranéj rzeszy:

Wszelkiego który słucha słów moich i czyni je, przypodobam mężowi mądremu, który zbudował dom swój na opoce. I spadł gwałtowny deszcz i przyszła powódź i wiatry wiały i uderzyły na on dom; ale nie upadł, bo był założony na opoce.

Opoką ową Ewangeliczną, jest wiara przez ojców nam przekazana, wiara w jedynego Boga, w Jego mądrość niepojętą rozumem ludzkim, w jego miłość niczém nieograniczoną i miłosierdzie niewyczerpane. Wierząc w to, zapominamy jednak, że Bóg jest także i sprawiedliwy, i że tym sposobem dobre uczynki nagradza a złe karci, żeby nas sprowadzać na drogę obowiązku i powinności chrześcijańskiéj. Gdybyśmy bowiem o tém pamiętali, to w dniach smutku i boleści, zastanawialibyśmy się nad sprawami naszego żywota, rozważali błędy nasze i poprawiając się w złem, skarbili łaskę Bożą. Ale pycha przepełniająca serca nasze, sprowadza zawsze z téj drogi zbawiennéj i dla tego umiemy narzekać w ucisku, płakać nawet, modlić się, ale nie rozważać postępki nasze i poprawiać się.

Gdybyśmy więcéj byli pokorni jak jesteśmy, wnet byśmy poznali, że uciski przez Boga na ludzi zsyłane, są tylko karceniem ojca kochającego swe dzieci, a nie przypadłościami nieszczęśliwemi spadającemi na nas ślepym trafem. Nie narzekalibyśmy bowiem na złą naszą dolę, ale na popełnione błędy i występki, i modląc się: Panie! zmiłuj się nad nami! dodawalibyśmy zawsze: zgrzeszyłem Panie! byłem złym, obłudnym, zawziętym w gniewie, nieuczynnym, samolubem, zazdrośnym, chciwym, nieprzebaczającym, pysznym, ale miłosierdzie Twoje jest wielkie, przebacz więc Panie i zmiłuj się nad upadłym i ułomnym człowiekiem.

I modlitwę taką nie mówilibyśmy ustami tylko, ale całém sercem i duszą; wnikalibyśmy w siebie, poprawiali, pamiętając że co może być ukryte przed ludzkiém okiem, dla Boga jest jasnem i wyraźném i nic się nie utai przed Jego wszechmocnością. Dalecy od takiego zastanawiania się i takiéj modlitwy, co chwila zasługujemy na karcenie Boże, dla tego ziemię nazywamy padołem nędzy, bólu i cierpienia, choć Bóg tyle po niéj rozsypawszy cudów dla naszéj wygody i pożytku, chciał ją dla ludzi zrobić doczesnym rajem, zanim brzmieniem trąby Archanioła powoła przed sąd Swój żywych i umarłych.

Żyjąc po bożemu, to jest według nauki Ewangelicznéj, i czyny i sprawy nasze wszystko byłoby Boże, i świat naprawdę byłby rajem ziemskim: ale żyjąc według naszych niepohamowanych namiętności, z pychą i samolubstwem szatana, cóż dziwnego, że na świecie więcéj łez jak radości, więcéj cierpienia jak pociechy? Żeby było przeciwnie nic nam więcéj nie trzeba, tylko więcéj

w sercu pokory, więcéj miłości bliźniego i prawdziwéj bojaźni Boga.— O te starajmy się a świat zakwitnie szczęściem dotąd nieznaném.

POKŁON TRZECH KRÓLI.

Wstań i oświeć się Jerozolimo, powiada Izajasz, bo przyszła światłość twoja i sława Pana zeszła nad tobą. Ciemności okryją ziemię, mrok osłoni narody, ale nad tobą zejdzie Pan i sława nad tobą będzie widzianą. I pójdą narody za światłem twojém, królowie za jasnością Tego, który nad tobą powstanie. Podnieś oczy i spoglądaj. Wszyscy zgromadzili się i idą do ciebie. Synowie twoi z daleka przybędą, a córki twe z boku powstaną.— Wtedy ujrzysz ich i opływać będziesz w radości; zadziwi się i rozszerzy serce twoje, kiedy narody zamorskie, narody wielkie przychodzić będą do ciebie. Przyjdą, złoto i kadzidło przynosząc i opowiadając chwałę Pana.

Tak mówił Izajasz, a gdy się narodził Jezus w Betleem i wieść o téj wielkiéj nowinie zaczęła się rozchodzić pomiędzy ludźmi, doszła także i do trzech króli, mędrców na Wschodzie, Kacpra, Melchiora i Baltazara i ci zapragnęli złożyć hołd nowonarodzonemu Dzieciątku. Że zaś Bóg chcąc oznajmić wszystkim ziemi mieszkańcom o Wcieleniu Najukochańszego Swego Syna, zesłał na sklepienie niebieskie jaśniejącą gwiazdę, która z po nad stajenki betleemskiéj, roztaczała jasne na świat cały promienie, królowie więc idąc za tém światłem przybyli do Jerozolimy, pytając się:

— Gdzie jest który się narodził król żydowski? widzieliśmy bowiem gwiazdę na wschodzie i przyszliśmy pokłonić się Jemu.

Dowiedziawszy się o tém Herod rządzca Judei, zatrwożył się wielce, a z nim wszyscy starsi i faryzeusze, od których się do-

wiadywał pilnie, gdzie się miał narodzić Mesyjasz? A oni mu odpowiedzieli, że w Betleem judzkiém, tak jak to napisano przez proroka: i ty Betleem, ziemio Judzka! nie jesteś najpodlejsza między miastami judzkiemi; bo z ciebie wyjdzie wódz który rządzić będzie Izraelem.



Pokłon Trzech Króli.

Odebrawszy taką odpowiedź, Herod jeszcze większém napełnił się przerażeniem i wezwał tajemnie mędrców, wywiadując się o czasie ukazania przewodniéj gwiazdy a potém rzekł:

— Idźcie i wywiadujcie się pilnie o dzieciątku, a gdy znajdziecie, oznajmijcie mi, ażebym i ja przybywszy pokłonił się jemu.

Mędrcowie wysłuchawszy, pojechali w dalszą drogę, a gwiazda, którą widzieli na wschodzie, prowadziła ich daléj i dopiero zatrzymała się nad miejscem, gdzie było boskie Dzieciątko. Zo-

baczywszy to trzéj królowie, uradowali się bardzo, bo poznali że są już u celu swojéj podróży, i wszedłszy do ubogiego domu, znaleźli Dzieciątko u Matki Najświętszéj na kolanach, wyciągające do nich drobne Swoje rączki. Wtedy upadli na kolana i złożywszy pokłon, otworzyli potém przywiezione z sobą skarby i ofiarowali w darze, złoto, kadzidło i mirrę. Do powrotu jednak inną obrali drogę, bo we śnie objawioną mieli przestrogę, aby pominęli Heroda i do niego nie wstępowali.— Minęły czasy, w których Bóg różnemi zjawiskami cudownemi przemawiał do ludzi, ale dziś tą gwiazdą przewodnią, powinna bydź dla nas wiara święta, za któréj nauką postępując nigdy nie zbłądziemy, i ominiemy wszystkie manowce i bezdroża ziemskie.

JEZUS W GRONIE MĘDRCÓW.

Gdy Herod nie mógł się doczekać powrotu królów, co pojechali z hołdem narodzonemu Dzieciątku, utwierdzony témbardziéj w swojém podejrzeniu, a nie mogąc wyśledzić miejsca narodzenia Chrystusa, kazał wymordować wszystkich chłopców od lat dwóch w ziemi Judzkiéj urodzonych, pewny, że w rzezi téj niewiniątek zginie i boskie Dzieciątko. Lecz Józef ostrzeżony został we śnie że wielkie niebezpieczeństwo grozi Jezusowi, i skutkiem tego razem z Nim i Maryją uciekł do Egiptu. Tam przemieszkując lat kilka, dopiéro po śmierci Heroda powrócili do Nazaretu.

I Jezus chował się pod opieką rodziców, w posłuszeństwie, w poszanowaniu dla nich, odznaczając się szczególną roztropnością i powagą, wszystkich bez różnicy zdumiewającą. Kiedy doszedł do lat dwunastu wieku, Maryja i Józef udali się razem z Jezusem do Jeruzalem na obchód świąt Paschy, ustanowionych przez Mojżesza na pamiątkę wyjścia z Egiptu. Kiedy się ukończyły religijne uroczystości i mieli wracać do Nazaretu, Jezus został w Jeruzalem, czego nie spostrzegli rodzice i mniemając że

był w innėm towarzystwie, uszli dzień drogi i szukali Go między krewnemi i znajomemi. Ale nigdzie o Jezusie nie mogli powziąć żadnéj wieści; strwożeni więc niewymownie wrócili do Jeruzalem



Jezus w gronie mędrców.

i tam znowu dwa dni spędzili na próżném szukaniu. Maryja ciężko udręczona, żeby w boleści znaleźć ulgę a w modlitwie pociechę, poszła do świątyni, ale jakże się zdziwiła i ucieszyła zarazem, gdy ujrzała ukochanego Syna otoczonego gronem mędrców

którym objaśniał i tłumaczył Pismo i ustawy święte, i zbijał błędne o nich pojęcia. Słuchacze wszystko starcy siwowłosy, nie mogli się dosyć nauwielbiać słów Chrystusa, dziwiąc się w tak młodym wieku tak wielkiéj mądrości. Kiedy więc rodzice to zobaczyli, zadziwili się wielce, a matka rzekła:

— Synu! czemuś nam tak uczynił? oto ojciec Twój i ja żałośni szukaliśmy Cię.

A Chrystus odrzekł:

— Czemużeście mnie szukali? Izaliż nie wiedzieliście, iż temi rzeczami które są Ojca mego, jam się zajmować powinien?

Lecz słowa te jeszcze wtenczas były niejasne i niezrozumiałe. Jednak jako posłuszny syn, wrócił z rodzicami do Nazaretu i był im we wszystkiém poddany i posłuszny, ucząc tém wszystkie dzieci czci, jaką winne są swym rodzicom.

I Pismo mówi, że po tém wydarzeniu Jezus rósł w mądrość i lata, w łasce u Boga i u ludzi, aż do chwili kiedy narodom ziemskim zaczął głosić boską Swą naukę, burzącą wszystko co stare, obrzucone pleśnią, trując ludzi, wiodło na wieczne zatracenie. Ta to nauka dała nam nowe życie, bo otworzyła nam drogę do niebios, i dała człowiekowi po nużącéj ziemskiéj pielgrzymce, wieczne życie. Jakże jednak ludzie zapominają o niém często, i zajęci doczesnością, wszystko poświęcają dla niéj, nawet sumienie i zbawienie duszy.

ZESŁANIE DUCHA ŚWIĘTEGO.

Kiedy po Wniebowstąpieniu Pańskiém, Apostołowie i Uczniowie powrócili do Jerozolimy i zebrali się wszyscy w wieczerniku, zajęli się zaraz wyborem Apostoła na miejsce Judasza, aby dopełnić liczby dwunastu. Po gorącéj modlitwie, oświeceni łaską Bożą wybrali niejakiego Mateusza jednego z Uczniów, którego niegdyś wysłał sam Zbawiciel do Judei wraz z innemi dla ogła-

szania świętéj Ewangelii. W dziesięć zaś dni po Wniebowstąpieniu, gdy zgromadzeni w niedzielę rano w zajmowanym przez siebie ubogim domu, oddali się gorącym modłom, nagle dał się słyszeć wielki szum z nieba, jakby wiatru gwałtownego i napełnił wszystek dom w którym się znajdowali. Przerażeni podniosłszy w górę oczy, ujrzeli w górze małe płomyki jakby ogniste języki, które rozdzieliwszy się spoczęły nad głową każdego z Apostołów. Razem z tém cudowném zjawiskiem, uczuli się napełnieni, jakby nowém życiem; było to wstąpienie w nich Ducha Świętego a z nim możność mówienia różnemi językami. Że zaś dnia tego obchodzono pamiątkę nadania przykazań Boskich Mojżeszowi na gorze Synai, i mnóstwo ludzi przybyło z Judei do Jerozolimy, tłumy więc niezmierne przybiegły do Apostołów, słuchać nauki przez nich głoszonéj.

Wtedy Piotr wystąpił i mówił, że Jezus tak niegodziwie umęczony i ukrzyżowany, był właśnie owym od wieków zapowiedzianym Messyaszem i że stosownie do przepowiedni Proroków dnia trzeciego zmartwychwstał. On to pragnąc, aby nauka Jego jak najwięcéj rozchodziła się po świecie, zesłał na Apostołów Ducha Świętego którego mocą cudowne rzeczy działać mogą i będą, i że kto chce być zbawionym i wieczne otrzymać życie, powinien rozważać swoje grzechy i przewinienia, żałować za nie szczerze, przedsiębrać poprawę, pokutować, oczyścić się Chrztem świętym ze wszystkich dawnych nieprawości i uwierzyć całém sercem w Chrystusa.

Słuchająca rzesza krusząc się i korząc w duchu, nie mogła wyjść z podziwienia, że słyszała Apostołów mówiących do siebie różnemi językami. — Przecie, mówili oni między sobą, wszyscy ci nauczający są Galilejczycy, a jednak każdy z nas słyszy taki język w jakim się urodził. Partowie, Medy, Elamici, mieszkający w Mezopotamii, w ziemi Judzkiéj, w Kappadocyi, w Poncie, w Azyi, Frygii, Pamfilii, Egipcie, i przychodniowie rzymscy, i Żydzi nowo nawróceni, Kreteńczycy, Arabowie, wszyscy słyszą ich opowiadających językami naszemi wielkie sprawy Boga. Zaiste Chrystus był Bogiem, kiedy taką moc mógł Uczniom Swoim nadać.

Wówczas słuchająca rzesza za natchnieniem Ducha Świętego, obróciła się z błaganiem o Chrzest, a Piotr rzekł:

— Możeż kto odmówić Chrztu tym, którzy wzięli Ducha Świętego jako i my?

I wyrzekłszy to, rozkazał ich chrzcić w imię Ojca, Syna i Ducha Świętego.

Apostołowie posłuszni temu, zajęli się przyjęciem na łono Chrystusa nowo nawróconych, a w tłumach taka powstała gorliwość, że trzy tysiące zostało ochrzczonych, wielbiąc Jezusa.

Tym to sposobem Piotr według słów Zbawiciela, stał się założycielem Kościoła chrześcijańskiego, nowi bowiem wyznawcy przyjęli nazwę chrześcijan, starając się z największą gorliwością pełnić cnoty i obowiązki nakazane im przez Chrystusa i głosić wiarę która dała światu zbawienie.

Ks. J. W.

IŁŻYCKIE BORY

I RUINY ZAMKU IŁŻYCKIEGO.

WSPOMNIENIE HISTORYCZNE.

W połowie drogi między Ostrowcem a Radomiem w dolinie otoczonéj wysokiemi wzgórzami, znajduje się miasteczko Iłża, bielejące się zdala murowanemi domkami, rozsypanemi przy wysokiéj dosyć górze nastroszonéj ruinami obronnego niegdyś zamku. Do koła jak spojrzyć wszędzie lasy i lasy, a chociaż je siekiera ze starodrzewu niezmiernie przerzedziła, materyału jednak budowlanego i dziś nie brakuje, a młodzież leśna gonno i gęsto wyrastająca, wierzchołkami dogania sędziwych koron kilkowiekowych dębów i stuletnich chojaków. Ku południowi czerni się ściana sosnowego lasu idąca daleko na prawo i lewo jak tylko okiem można dopatrzyć. Są to bory tak zwane Iłżyckie, łączące się ze Świętokrzyzkiemi, niezmiernie obszerne, niegdyś straszne i niebezpieczne, pełne grubego zwierza, dziś poprzerzynane szerokiemi gościńcami, szumiące spokojnie liściem i gałęziami, lub ryczące burzą z łomotem i hukiem czasami zabłąkaną w te obszary leśne. W połowie cztéromilowéj drogi samym lasem idącéj od

Iłży do Ostrowca, stoi niedaleko karczmy, malutka okrągła kapliczka ze statuą kamienną świętéj Weroniki, rojąca się w środku tysiącem napisów przejeżdżających, którym nie brak myśli rzewnéj i poważnéj, odpowiadającéj przeznaczeniu budowli i smętnéj lesistéj miejscowości. Jest do niéj przyczepione podanie, o jakimś panie zamordowanym przez zbójców, po którym pozostała wdowa, czcząc pamięć małżonka, miała ją wystawić w miejscu popełnionéj zbrodni.

O herszcie tych zbójów straszne opowiadają rzeczy. Miał to być bowiem straszny człowiek, śmiały, silny, okrutny, sławny swemi napadami na całą okolicę. Wszystko co żyło drżało przed nim jak przed szatanem: powiadają że kiedy się rozgniewał za niewykonanie przez bandę wydanych rozkazów, jak uderzył maczugą o ziemię, to o milę w okrąg we wszystkich dzwonnicach kościelnych jęczały dzwony; jak krzyknął, to wszystkie leśne ptastwo zrywało się z drzew i tak gęstemi wylatywało stadami, taką wrzawą napełniało powietrze, że ćmiło się słońce i rozlegał się głuchy grzmot, jakby od daleko padających piorunów. Kiedy mruknął targając gniewnie brodę i wąsy, wszystkie stada wilków i niedźwiedzi, miały wytykać łby z lasu, i odpowiadały strasznym rykiem, od którego szeleściły liście, spadając rzęsistym deszczem na ziemię. Kiedy w pięść ścisnął ręce, na wszystkich trawach wytryskiwała rosa, a jak kopnął nogą w ziemię, to w bagniskach chlipotały wody i ze studzien wytryskiwały nad cembrzynę.

O ile był silny, o tyle był okrutny: nie było dnia żeby zdroje łez nie wylały ludzkie oczy, a te spływając ku dolinie, w miejscu gdzie dziś znajduje się wieś Błaziny, utworzyły obszerne jezioro, które jako powstało z łez ludzkich, miało dać początek nazwie *Ich łzy* czyli Iłży i małéj rzeczułce przez sam środek miasta przepływającéj. Kiedy opowiadającemu te szczegóły wieśniakowi bardzo poważnemu i letniemu, zrobiłem uwagę, że według drukowanych książek, nazwa Iłży miała ztąd powstać, iż jakiś młody książe zapatrzywszy się z wieży zamkowéj na okolicę, spadł i życie utracił, a bolejąca matka tyle łez wylała, iż na pamiątkę jéj smutku, miejscowość nazwano *Jéj łzą*, co późniéj na Iłżę przekształcono, starzec potrząsł głową i rzekł:

— Jak tam było naprawdę, nie wiem, bo nie byłem przy tém, i tylko powtarzam to, com w młodości swojéj słyszał od starych ludzi. Ale trudno temu wierzyć; płacz jednego człowieka choćby krwawemi łzami, to jak kropla wody, i dopiéro płacz

ludzki to niby deszcz ulewny co ziemię wskróś przesiąka. Po kropli i śladu nie zostaje, po deszczu wody trzymają czasem od wiosny do zimy. Nazwanie więc Iłży nie mogło pójść od łez z jednych oczów, ale z mnogości, bo jedne oczy nie mają tyle siły, żeby płacz z nich szedł przez lata i wieki. A płakać miało być z czego, bo zbój był okrutnik jakich mało. Powiadają że za jego bonowania po tych lasach, tylu pozabijał i pomordował ludzi, że krwi nie chciała już ziemia przyjmować i ta kroplami osiadała na liściach i trawach. Z żalu i litowania się nad nędzą ludzką, wszystkie ptaki od skowronka do wielkiego jastrzębia zaprzestały śpiewu i swego odzywania się, a tylko jęczały wielkim płaczem i łkały gdyby ludzie, kiedy ich wielkie nieszczęście przygniecie. Okrutnik ten kiedy brwi nachmurzył, to zaraz słońce ciemniało, jakby kto na nie nasuwał czarną oponę, a jak błysnął ślépiami, to na świecie pokazywały się niby błyskawice, że aż oglądali się ludzie, myśląc że idą od pioruna.

W bandzie swojéj miał zbójów wszystko chłop w chłopa i przenosił ich nie ziemią na koniach albo wozach, ale myślą choćby o mil kilkanaście. To téż plugawstwo to spadało niespodzianie jak dopust Boży na grzesznych ludzi: powietrze szumiało od ich lecenia, ale do uszów ludzkich dochodziło późno, jak rąbanie siekierą w lesie, co wprzódy rąbnie, a potém odgłos od tego idzie długo, zanim dojdzie do człowieka. Tak i z niemi się działo, a herszt wiedział gdzie ich posélać, bo oczy miał tak bystre, że widział niemi zarówno w ciemności jak na widoku, zarówno w blizkości jak w dalekości o mil choćby kilkanaście, a kiedy je wytężył i błysnął gdzie w jaką stronę, to wszystko przed błyskaniem tym padało, co tylko zawadzało na drodze. W lesie najstarsze drzewa, w polu domy, góry przyniżały się, ptastwo nawet ginęło jakby rażone gromem, tylko kościoły, figury święte i krzyże nie usuwały się z drogi, i herszt musiał ze spojrzeniem przenosić się pod niemi ziemią, jakby na klęczkach. Herszt srożył się na to i taką ponurością okrywał twarz, że choć w południe a ciemniało na świecie i pokazywały się gwiazdy.

Ale choć mu z mocą ludzką wszystko szło z łatwością, z mocą Boską nie mógł sobie poradzić, moc zaś jego wychodziła ze złości ludzkiéj, bo powiadają, że ani jadł ani nie pił, tylko każda niegodziwość ludzka, wiatrem przychodziła do niego i on ją łykał tém się tucząc. Łzami znów ludzkiemi poił się, ale nie temi do których sam był przyczyną, tylko temi, co je brat na świecie wy-

ciskał bratu, krzywdą, oszukaństwem i niemiłosierdziem. Że zaś ludzie byli wtedy bardzo źli, i przez to pokarmu miał wbród po same uszy, więc rósł w siłę i wszystko przed nim drżało, nawet kamienie co zdają się nie mieć żadnéj czułości. Ale i na niego przyszła zła godzina, bo co idzie ze świata ma swój koniec i na wieki trwać nie może.

I długo tak broił, jezioro z łez powstałe, powiększało się coraz bardziéj; patrząc na niego, każdy powtarzał że to *ich łzy*; ale w okolicy zjawił się jakiś pobożny człowiek, powracający od Świętego Grobu Chrystusa. Zbójce go napadli, ale on zaklął ich modlitwą i odpadła od nich srogość i puścili go wolno bez szkody. Potém szedł daléj z Bogiem w sercu, z wiarą w duszy a pobożném i mądrém słowem na ustach. Ludzie korzyli się, wygubiali w sobie złość, herszt chudł bo mu brakło pokarmu i rozwiał się po świecie, jak mgła ranna kiedy ją słońce ogarnie promieniami, bo od tego czasu już nie było o nim żadnéj wieści. Powiadają że dusza jego osiadła na pokucie w kapliczce co ją wyfundowała owa wdowa po zabitym panie i że długo straszyła ludzi, uganiając się po błotach i wertepach leśnych, ale ja już tego nie znałem, i nie zdarzyło mi się spotkać kiedy z jaką przeszkodą.

Ale pamięć o takim zbójniku, to największe podobno straszenie i widać że naprawdę musi po śmierci odbywać pokutę, kiedy ludzie nie mogą o nim zapomnieć i gadanie ludzkie błąka się prawie po całym świecie. Gadanie takie to pokutująca dusza, a przeklinanie to kara Boża, od któréj niech każdego Pan Bóg zachowa.

Jakkolwiek fantazya ludowa, lecące wieści z przeszłości jak dalekie echo, odziała barwą nieprawdopodobieństwa, nie podlega jednak wątpliwości, że lasy tak obszerne, musiały kiedyś długo być siedliskiem rozbójniczéj tłuszczy, i że wyrażenia, czysty *zbój świętokrzyzki*, wygląda jak *zbój świętokrzyzki*, ztąd wzięły swój początek. Z czasem, przy zaprowadzeniu wszędzie porządku, rozbójników przepłoszono i rozboje zupełnie przycichły, ale od czasu do czasu, dziś jeszcze trwożąca pogłoska o jakim napadzie na przejeżdżających powstaje nagle i ginie, wstrzymując jadących od zapuszczania się w lasy nocną porą.

Przed dwudziestu laty, znajdował się już nie fantastyczny herszt bandy, ale chłop rosły jak dąb, a silny jak niedźwiedź, nazwiskiem Jageło, więcéj zajmujący się kradzieżą po chlewach, oborach i stajniach, jak napadami na przejeżdżających. Głównie krył się w gąszczu leśnym, ale zachodził na wsie daleko, o sześć

mil i więcéj, mając z mieszkańcami stosunki czasem nie bardzo godziwe. Ponieważ siłą i zręcznością umiał się zawsze wydobyć z najnieszczęśliwszych dla siebie wypadków, junaczył więc niezmiernie, i strasząc zemstą, bojaźnią napełniał wszystkich, powiadając, że postronki choćby najgrubsze i najmocniejsze w jakie by go związano, moc swoją mają nad nim tylko do zachodu słońca, potém zaś zrywają się jak nitki i same z niego opadają. Ta własność jak powiadał, zawsze go z nieszczęścia ratowała i dla tego przy pochwyceniu, udawał spokojnego i pewnego siebie, zapewniając, że z zachodem słońca wolność napewno odzyska.

Raz po południu przyszedł do karczmy znajdującéj się w mieście Iłży, przy ulicy idącéj do rynku i zażądał wódki i posiłku. Karczmarz poznał go, dał więc znać do policyi i Jageło bez wielkiego mozołu został uchwycony. Kiedy go wiązano w postronki, uśmiechnął się szyderczo, powtarzając zwykłą swą piosnkę, że po zachodzie słońca związanie go opadnie, a on przyjdzie podziękować za wydanie go w ręce władzy. Karczmarz opowiadający całe to zdarzenie, pomyślał sobie w duchu:

— Gadaj zdrów i pisz na Berdyczów, postronki nowe, mocne, zjesz licha czy je pozrywasz. Związanego więc, mówił daléj karczmarz, poprowadzono do Radomia, ale z nastaniem zmierzchu, zaczęły mnie jakoś mory przechodzić, Jageło mi ciągle stał na myśli i tak niepokoił, że nawet usnąć w nocy nie mogłem. Około północy któś zapukał w okno od ulicy. Zadrżałem i jak kret w jamę schowałem się pod pierzynę. Był to bowiem Jageło poznałem go po głosie jak rozmawiał z żoną, a kiedy wszedł do piérwszéj izby i zażądał wódki o mnie się dopytując, to mi tak szczękały zęby jak pytel w młynie co go słychać i o milę. Żona powiedziała że pojechałem do Ostrowca. Jageło nie wiem czy uwierzył, czy też bał się robić poszukiwań, dość że nie wszedł do alkierza, tylko uderzył silnie kijem w stół, że aż zabrzęczały szyby w oknie i rzekł:

— Ma szczęście że go nie zastałem, nauczyłbym go co to znaczy porywać się na Jagełę. Ale powiedz mu pani, że się zobaczémy z sobą a wtedy pożałuje. Póki słońce świeci, póty moc ludzka ma nademną górę, ze zmierzchem ja nad wszystkiém zaczynam panować. Nie minie więc i on mojéj ręki.

Potém znowu uderzył kijem w stół i zbił szklankę; we mnie serce już nie biło ale przewracało się i byłbym mu pozwolił wy-

tłuc wszystkie szklanki, miski, garnki, a nawet talerze i szyby w oknach, aby tylko poszedł sobie jak najprędzéj. Ale kobiéta moja na widok stłuczonéj szklanki, rozpuściła język, jakby szło o tysiące: zaczęła się kłócić, hałasować, wyrzekać, że Jageło widząc iż nie poradzi, wyjął złotówkę, zapłacił i zakląwszy na czém świat stoi, czmyhnął nie biorąc nawet reszty. Co się działo ze mną przez ten czas, to łatwo się domyśleć. Widząc że kłótnia się wzmaga i Jageło rozgniewany może wpaść do alkierza, wyskoczyłem z pod pierzyny i wsunąłem się w tak ciasny zapiecek, że na plecach zdarłem skórę, a potém ledwo mnie żona z niego wywlekła, co tak z ciasnoty i przestrachu omdlałem. Oj! nocy téj nigdy nie zapomnę i dziś jeszcze truchleję kiedy ją sobie przypomnę.

W kilka dni potém spotkał w lesie podleśnego, jadącego bidą jednokonną i zmusił do jechania rązem z nim w głąb' lasu. Zatrzymawszy się w największym gąszczu, dał znak gwizdnięciem i zbiegło się do niego sześciu rozbójników. Wówczas wskazując na nich, rzekł do podleśnego:

— To są moi ludzie, a takich kopa się znajdzie jak zechcę. Pamiętaj więc że na moją szkodę nie wolno ci nic robić, bo jak się poważysz to zginiesz najpiérwszy jak mucha w ukropie. Patrz, ale milcz jak mur, bo ci język wyrwę z gardziela, a teraz ruszaj swoją drogą.

Wkrótce jednak został uchwycony przez wójta gminy p. Józefa Dziuboniego z Chybic, który go wyśledził w czasie pobytu w jednéj z wiejskich chałup. Zobaczywszy się otoczonym, skrył się na górę z postanowieniem bronienia się do ostatniego, i dopiéro zagrożony spaleniem razem z chałupą, poddał się i zaraz po protokule odstawiony został do Sandomierza. Pomimo dyb drewnianych ogromnych rozmiarów, na przystanku zostawiony sam na wozie, jednóm uderzeniem rozbił krępujące go kłody i byłby z pewnością umknął, bo już rozwiązywał nogi, gdyby nie czujna troskliwość p. Dziuboniego. Zapytany jakim sposobem zdołał rozbić tak silne więzy, odrzekł najpotulniéj:

— Przecie mówiłem, że z zachodem słońca, wiązania choćby najmocniejsze opuszczają mnie, a że słońce już zachodzi, więc szturchnąłem tylko dybami o półgrabek i prysły jak pręciki.

Wówczas ręce wzięto mu do tyłu i tym sposobem został dowieziony i oddany w ręce sprawiedliwości. Od tego czasu już nie było słychać o żadnym rozbójniku głośniejszego nazwiska.

Dojeżdżając do miasta naprzód wpadają w oczy ruiny starego zamczyska, stérczącego na wysokiéj skale. Szczególniéj wspaniale wygląda wysoka baszta, poczerniała od czasu, otoczona gruzami i szczątkami murów grubych, potężnych, niegdyś stanowiących zapewne ochronne opasanie przed tatarską napaścią. Dziś pusta i cicha, w dzień kiedy w miasteczku wre życie w całéj pełni, ona pobłyskując słonecznemi promieniami, zdaje się w ciszy błogosławić gwarnemu ludzi rojowi. W nocy zaś, kiedy księżyc w pełni wypłynie w całym majestacie na niebieski lazur nieba i bladym promieniem zakradnie się między ruiny zamczyska, baszta i gruzy takie fantastyczne przybierają kształty, jakby minione wieki powstały z mogiły i przechadzały się w całym majestacie swéj powagi po urwiskach i rozpadlinach.

Według wieści historycznych Iłża od niepamiętnych czasów należała do obszernych dóbr biskupów krakowskich. Pierwiastkowo zamek był tylko drewniany, i dopiéro w roku 1340 Jan Grot biskup krakowski wymurował go z wielkim kosztem i nakładem, zważywszy przykrość dostępu do miejsca na którém był wzniesiony. Sądząc ze szczątków muru, ku wschodniéj wyciągniętych stronie, dziś otoczonych uprawném polem, zamek ten należał niegdyś do najobszerniejszych i utrzymywał się ciągle w swéj świetności aż do roku 1788, to jest do chwili, kiedy dobra biskupów przyłączone zostały przez sejm do dochodów skarbowych.

Piérwszy jego fundator Jan Grot, był wysłany przez stany królestwa do Papieża Benedykta XII-go z zaskarżeniem na Krzyżaków o krzywdy przez nich wyrządzone. Nastąpiło to po zjeździe w Wyszogrodzie, roku 1335, na którym oprócz Kazimierza Wielkiego, znajdował się Karol Robert król węgierski, Jan król czeski z synem Karolem, książęta szlązcy i kujawscy, a przytém mnóstwo panów świeckich i duchownych. Po załatwieniu różnych nieporozumień, rozjemcy wreszcie przygotowali umowę, ale stany jéj nie przyjęły i wyprawiły Jana Grota do Benedykta XII-go, który wyznaczył dwóch legatów, do ostatecznego rozstrzygnięcia nieporozumienia i dał upoważnienie, aby wszelkiéj broni duchownéj a nawet i świeckiéj przeciw winnym użyli. Sędziowie ci zjechali dopiero po upływie całego niemal roku, dnia 4 lutego 1339 roku do Warszawy, i po wysłuchaniu 125 świadków i samego Kazimierza W. pod przysięgą; w dniu 15 września ogłosili wyrok, z obowiązkiem wynagrodzenia wszelkich szkód wyrządzonych.

Przeciw temu wyrokowi, pełnomocnik zakonu odwołał się do Stolicy Apostolskiéj, oskarzając legatów o sprzedajność a Kazimierza o wiarołomstwo i sprzymierzenie się z Tatarami. Papież widząc takie zagmatwanie sprawy, polecił nowe jéj rozpoznanie i nieporozumienia te wlekąc się lat kilka, rozbierane powtórnie w Toruniu, zaledwie załagodzone zostały na zjeździe w Kaliszu, roku 1343, mocą którego zakon oprócz innych warunków, miał wypłacić 10,000 czerwonych złotych, czego jednak nie dopełnił. W tym to czasie wzniesiony został zamek w Iłży, a chociaż ostateczne jego wykończenie, musiało się zapewne dosyć długo przeciągnąć, jednak uznając jego użyteczność dla całéj okolicy i pragnąc ją podnieść, z rozkazu Kazimierza miasto murem i basztami otoczono. Było to ostatnie dzieło tego króla, który dnia 5 listopada 1370 r. z powszechnym żalem umarł w Krakowie. Szczególniéj dbający o bezpieczeństwo publiczne, niszczący z największą surowością rozboje, gwałty i łotrowstwa, on to głównie przyczynił się do wytępienia band rozbójniczych w obszernych lasach otaczających Iłżę, podania więc o zbójach z tamtych czasów wzięły początek, a nawet kto wie czy i budowa kapliczki do owéj nie należy epoki. Zawsze jednak pochodzenie jéj starożytne, żadnéj nie ulega wątpliwości.

Chociaż zamek należał do biskupów krakowskich, mosty przecież jego zwodzone spadały zawsze gościnnie na przyjęcie dostojnych gości, ile razy tylko nadarzała się do tego sposobność. Kiedy Władysław Jagello spór swój z Krzyżakami oddał pod sąd cesarza Zygmunta i ten nie wysłuchawszy posłów czekających we Wrocławiu, całą sprawę na korzyść zakonu rozsądził, posłowie oburzeni taką niesprawiedliwością, wyjechali bez pożegnania i przez gońca zawiadomili króla o zapadłym wyroku. Władysław natychmiast wyruszył w drogę, w celu przygotowania wyprawy przeciw Krzyżakom, o czém dowiedziawszy się Zygmunt, chcąc odwrócić burzę grożącą zakonowi, wysłał posłów z poleceniem wyjaśnienia powodów, jakie go skłoniły do wydania wyroku. Dwaj wysłańcy cesarscy, zastali Jagellę w r. 1420 bawiącego w zamku Iłżyckim i po długim wywodzie i zręczném przedstawieniu rzeczy oświadczyli wreszcie, że mylnie wydany wyrok zostanie odwołany. Skutkiem tego do cesarza Zygmunta wyprawieni zaraz zostali z zamku Iłżyckiego, biskup krakowski Wojciech Jastrzębiec i Zbigniew z Brzezia marszałek koronny, ale ci nic nie sprawili.

Późniejsze wspomnienie historyczne sięga roku 1511 w którym Zygmunt I. chwilę swego pobytu w zamku Iłżyckim, naznaczył za wstawieniem się Jana Konarskiego biskupa krakowskiego, wydaniem miastu pozwolenia pobierania mostowego, po trzy denary od wozu towarami ładowanego, z warunkiem utrzymania przejazdu w należytym porządku. Było to w czasie trwającego sejmu w Piotrkowie, głównie zajętego utworzeniem stałéj obrony, przeciw Tatarom ponawiającym swoje napady. Napaści te i rozszerzanie się potęgi tureckiéj, nie tylko wówczas straszne były dla Rzeczypospolitéj, ale nawet stawały się coraz groźniejsze dla całéj Europy.

Papież Pius II-gi rozumiejąc to przyszłe niebezpieczeństwo, powziął zamiar stanowczego zagnania Turków w pustynie Azyi i Afryki, z których wyruszeni zostali niefortunnemi wyprawami krzyżowemi. Wprzód jednak chciał w krajach chrześcijańskich, zaprowadzić powszechny pokój, aby połączyć wszystkie siły i niemi uderzyć w groźną potęgę ottomańską. W tym celu legata swego Pizona, przysłał do Zygmunta I-go z oświadczeniem, że wszyscy królowie chrześcijańscy za namową jego wyruszą przeciw niewiernym na wyprawę, że poddają się w téj nowéj walce w imię Krzyża przedsiębranéj pod wyłączne jego zwierzchnictwo, z warunkiem tylko aby piérwszy dał hasło do boju. Zygmunt znający dobrze płonność obietnic podobnego rodzaju, zbył legata odpowiedzią, że w razie powszechnéj na Turków wyprawy, nieomieszka razem z innemi wyruszyć w pole, lecz piérwszy zrywać się nie myśli. Przezorność ta była zupełnie w swojém miejscu, bo groźne zamiary papieża spełzły na niczém, a Zygmunt I-szy nie wplątał się w wojnę, zupełnie dla siebie nie pożądaną.

W rokoszu Zebrzydowskiego przeciw Zygmuntowi III-mu, gdy wszelkie środki porozumienia, uporem stron obydwóch, okazały się daremnemi, rokoszanie rozłożeni pod Jeziorną o dwie mile od Warszawy, obawiając się uderzenia wojska kwarcianego, wyruszywszy nagle w nocy do Warki, poszli potém w dalszy pochód do Radomia, i między Wolą Guzowską, Orońskiem i Krogulczą, w dniu 5 lipca 1607 roku, nastąpiła bitwa, w któréj Zygmunt pod wodzą Żołkiewskiego, odniósł zupełne zwycięztwo. Zebrzydowski po klęsce téj, przezwanéj Guzowską, schronił się do klasztoru Bernardynów w Opatowie, a Zygmunt wydawszy groźne przeciw rokoszowi uniwersały, z wojskiem swém rozłożył się pod

Iłżą i zamieszkał w zamku. Tu to dalsze odbywały się narady nad uśmierzeniem zamieszek, gdy jednak działania strony przeciwnéj nie ustawały i z Lublina wyszedł uniwersał rozgłaszający bezkrólewie i zjazd elekcyjny pod Warszawą, Zygmunt z obozu pod Iłżą, ogłosił jeszcze ostrzejsze przeciw rokoszanom uniwersały, wzywając do posłuszeństwa i uspokojenia.

W lat potém siedmnaście, zamek został znacznie rozprzestrzeniony i dogodniéj urządzony przez biskupa Marcina Szyszkowskiego, i widać że dopełniono tego z wielką starannością i przepychem, kiedy dla przejeżdżającéj Cecylii Renaty, córki cesarza Ferdynanda II-go a narzeczonéj Władysława IV-go w nim 1637 roku, przeznaczono chwilowy wypoczynek. Władysław miał wprawdzie zamiar żenienia się z wojewodzianką Reńską, ale różność wyznania głównie stanęła temu na przeszkodzie, gdy zaś przeciw małżeństwu z rodaczką oświadczyły się stany, zgodzono się wreszcie na Cecyliję Renatę, do czego zabiegi domu Rakuzkiego wielce się przyczyniły. Władysław niepokojony chęcią poznania jak najprędzéj pięknéj narzeczonéj, o któréj mu wiele dobrego rozpowiadano, nie czekając urzędowego w Warszawie przyjęcia, d. 6 września 1637 roku skrycie przybył do Iłżyckiego zamku, razem z dygnitarzami wysłanemi dla powitania w imieniu jego, przyszłéj królowéj. Nie ma wątpliwości, że tajemnica ta znowu tajemnie pięknéj Cecylii wydaną została, bo według piśmiennych relacyj, gdy Władysław przedstawiony jako prywatna osoba, ujęty wdziękiem młodéj księżniczki, w chwili pokłonu ścisnął ją za rękę, Cecylija zsunęła się ku kolanom królewskim, i za oznakę miłości, hołdem dziękczynnym odpowiedziała. Władysław zdarzeniem tém niezmiernie uszczęśliwiony, wesołością swą ożywił wszystkich; w obszernych komnatach biskupich zawrzało życie niezgodne z powagą i ciszą zwykle w nich panującą. Wystawna wieczerza wreszcie zakończyła zabawę, po któréj król wrócił zaraz do stolicy.

W siedm lat potém, całun pogrzebowy okrył już zwłoki pięknéj Cecylii, która w dniu 24 marca 1644 roku, z wielką boleścią króla rozstała się z tym światem. Była to pani niezmiernie łagodnego usposobienia, cicha, spokojna, nie mięszająca się w żadne publiczne sprawy i wielkim taktem w postępowaniu umiejąca jednać sobie miłość i przywiązanie wszystkich.

Na tém kończą się wspomnienia historyczne o samym zamku; w innych wypadkach choć brał udział, ale te więcéj samego mia-

sta dotyczą. Zimową porą zwykle zamek w czasach swéj świetności, otaczał się ciszą, zakłócaną tylko czasami wesołą drużyną myśliwych, chętnie korzystających z otaczających go lasów, pełnych grubego i drapieżnego zwierza. Dziś jeszcze gnieżdżą się w nim wilki, a i z jeleniem czasami można się spotkać. W lecie za to przybycie biskupa, rozbudzało zamek z zimowego uśpienia: sprowadzano muzykę, odczyszczano zardzewiałe szmigownice osadzone w murach, i co ranek muzyka z wieży witała wschodzące słońce a wystrzały żegnały jego zachód. Między wieżami mieściła się kaplica, tak urządzona, że odprawiane w niéj nabożeństwo mogło być widziane z miasta. Gdy biskup obrządek święty sprawował, lud gromadził się w rynku i klęczący słuchał nabożeństwa. Po przyłączeniu w r. 1788 dóbr biskupich do dochodów skarbowych, klucz Iłżycki wypuszczony został w dzierżawę. Dzierżawcy go wprawdzie zamieszkiwali, ale zajmowali tylko oficyny, a reszta zaniedbana szła w ruinę i rozsypkę. Dziś z zamku tego stoją tylko szczątki, nawet znikły gruzy, murawa zaściela wnętrze, dzikie zielska, badylska i pokrzywy wyglądają z każdego zakątka, a nad wszystkiém panuje grobowa cisza, niemy świadek znikomości ziemskich.

Kiedy w roku 1370 miasto przez Kazimierza Wielkiego zostało opasane murem i basztami, od południa i północy dwie wjezdne bramy prowadziły do środka grodu: piérwsza nazywala się Opatowską druga Radomską. W środku rynku znajduje się ratusz z wyraźnym rokiem 1576, zapewne datą jego wykończenia, chociaż powszechna wówczas uwaga, zwróconą była na zjazd elekcyjny po ucieczce Henryka Walezyusza i działania koła rycerskiego pod Warszawą. Na zajmowanie się więc budynkami nie wiele było czasu.

Na początku tego roku ogłoszony został królem Stefan Batory wbrew życzeniu wszystkich niemal senatorów, tak świeckich jak duchownych, silnie stojących po stronie domu rakuzkiego. Do najstarożytniejszych budowli, należy kościół ś. Ducha ze szpitalem mieszczący się na przedmieściu. W opisie starożytnéj Polski nazwany on został *odwiecznym*, i niezawodnie jest takim, zważywszy prostotę jego architektury. Że zaś kościół przy rynku stojący, wybudowany został w r. 1606 przez Marcina Szyszkowskiego przełożonego parafii, a Iłża od niepamiętnych czasów będąc miastem, musiała mieć i świątynię, na pewno więc można wnosić, że kościół ś. Ducha był wymurowany najpóźniéj

za czasów Kazimierza Wielkiego, a kto wie czy nie w XIII-m jeszcze wieku, zaraz po piérwszym wylewie pogaństwa tatarskiego; że pierwiastkowo drewniany, dziś murowany, stoi w tém samém miejscu, gdzie najpiérw po zaprowadzeniu chrześcijaństwa został ufundowany. Piérwszą klęską jaka dotknęła miasto według dokumentów historycznych, był napad tatarski w r. 1241, krwawy, ogromny, o którym wspomnienie po dziś dzień utrzymuje się w podaniu zowiąc *drogą Batego*, szlak pochodu jakim posuwała się wówczas dzicz dążąc do Krakowa. Wylęgła w stepach średniéj Azyi, pustych, obszernych przestrzeniach, błąkała się odwiecznie nieznana światu, zajmując się polowaniem, chowem bydła i napadami na sąsiednie ludy. Zwierzchnictwo nad niemi utrzymywały hordy zwane Tatarami, zamieszkujące północne strony państwa Chińskiego, ale żyjąc w ciągłéj waśni ze swemi sąsiadami, podzielili się na dwie połowy, i część więcéj ku północy posunięta pozostała w miejscu, a druga połowa bliżéj sąsiadująca z Chińczykami ruszyła w stepy Azyi, napełniając powietrze wojennemi okrzykami. Wnet też mongolskie ludy pomieszały się z tatarskiem plemieniem, i utworzyły jedno państwo a raczéj wojowniczą i koczowniczą hordę, któréj zwierzchnictwo po śmierci ojca objął Temudżyn, znany pod nazwiskiem Czyngishana. Uważając się za posłannika Bożego, przeznaczonego na zawojowanie całego świata, chytry, przewrotny, pochlebiający i okrutny, uruchomił cały naród przemieniając go w wojsko, i dzieląc na dziewięć głównych obozów. Różnokolorowe namioty w nieprzeliczonéj liczbie, okryły puste dotąd stepy Azyi, a Temudżyn patrząc na krocie przepełniających je wojowników, przysiągł dzielić z niemi wszelką dolę jaka wypadnie, złą i dobrą, byle razem z nim dążyli do jednego celu. Wtenczas to zjawił się w hordzie jakiś prorok uważany za świętego, głoszący Temudżyna posłannikiem Boga, mającym objąć władzę nad całym światem, i w dowód tego przezwał go wielkim hanem czyli Czyngishanem. Odtąd rozpoczęły się straszne wyprawy wielkiego hana, który gdzie się tylko zjawił, wszystko równał z ziemią, niszczył, palił, do meczetów wjeżdżał konno i druzgotał zarówno bałwochwalstwo, wyznanie Buddy i Brahmy jak i godła chrześcijańskiéj wiary.

Odparty od Chin, wyruszył jak burza ku Kaukazowi; przestraszona ludność z całem mieniem i rodzinami zaczęła uciekać ku Rusi. Czyngishan poszedł w pogoń i dotarł hordami swemi

aż do Dniepru. Tu zatrzymał się i potém znikł równie nagle jak się zjawił, obiecując wkrótce ponowić wyprawę. Ale śmierć przypadła we trzy lata po napaści Rusi w r. 1227, zamiaru tego nie pozwoliła mu przyprowadzić do skutku.

Następca jego Oktaj syn Czyngishana, wiedziony tą samą co ojciec żądzą niszczenia, jednemu ze swoich krewnych, Batemu, dał trzykroć sto tysięcy wojska i puścił na wyprawę ku brzegom północnym Kaspijskiego morza. Zaraz téż wsie i grody zamieniały się w kupy popiołów; padł Razań, Moskwa, Włodzimierz, Czernichów, Kijów, a Baty idąc w ślad za uciekającą ludnością, ruszył w r. 1240 ku Węgrom i Polsce, dzieląc swą hordę na trzy oddziały zwane zwykle zagonami. Jeden wyruszył prosto na Multany i Siedmiogród, dwa zaś drugie oskrzydlając Polskę, miały razem z piérwszym złączyć się w Węgrzech. Po spaleniu Lublina, nawała tatarska posuwając się ku Sandomierzowi, potrąciła o Iłżę, miasto zaświeciło łuną pożaru, przerażeniem napełniając pochowanych mieszkańców. Posuwając się daléj ku zachodowi, dzicz doznawszy dzielnego odporu pod Lignicą, zwróciła się ku Węgrom, i był to już najdalszy punkt ku zachodowi do jakiego w napaści swéj dotarła, nie ośmielając się potém nigdy do podobnie dalekiéj wyprawy.

Po tym piérwszym napadzie, Iłża zaczęła widać wzrastać w zamożność i stroić w murowane domy, kiedy w lat sto potém uznano za właściwe wybudowanie obronnego na górze zamku i otoczenia miasta samego silnym murem. I w pomyślności téj szła przez długie lata nawet wieki, zaludniając się pracowitemi rzemieślnikami szczególniéj tkaczami, sukiennikami i garncarzami. Ci ostatni mianowicie, korzystając z grubych pokładów gliny i obfitości drzewa, wyrobami garncarskiemi niemałéj nabyli wziętości, tak dalece, że nietylko zasłynęli w całym kraju, ale towar swój wysełali na handel zagraniczny do Gdańska i Szwecyi. Wszystko to niemało się przyczyniło do wzrostu miasta, ale przyszło nieszczęśliwe panowanie Jana Kazimierza i trzy klęski jedna po drugiéj, spadły na mieszkańców oddanych przemysłowi fabrycznemu i karczunkowi przyległych lasów. Klęski te rozpoczął r. 1655, w ponowieniu zatargów o czczy tytuł króla szwedzkiego, którego pomimo nalegań stanów koronnych, zrzec się nie chciał ani Zygmunt III-ci, ani następujący po nim synowie Władysław i Jan Kazimierz.

W tym to czasie zawarty rozejm ze Szwecyą kończył się,

królowa Krystyna ustępowała tronu ciotecznemu swemu bratu Karolowi Gustawowi, trzeba więc było zawrzeć nową umowę, aby chociaż z téj strony być wolnym od niebezpieczeństwa. Zaraz więc z wiosny 1655 r. wysłano poselstwo do Stokholmu, ale Karol Gustaw trawiony żądzą sławy wojennéj, czynny, śmiały i przedsiębierczy, zakréślając obszerne plany swojemu działaniu, z wysłannikami nie chciał nawet wchodzić w układy, i wydawszy manifest wykładający powody skłaniające go do rozpoczęcia wojny, polecił Wittembergowi wkroczenie z wojskiem w granice rzeczypospolitéj.

Wkrótce za nim zjawił się w Wielkopolsce sam Karol Gustaw i wspierany zyskiwaniem dla sprawy swéj coraz więcéj stronników, posuwał się daléj i dnia 8 września zajął Warszawę. W obronie Jana Kazimierza stanął z kwarcianém wojskiem Lanckoroński i Czarniecki, i w okolicy Opoczna, Sulejowa, Inowłodza i Straszowéj Woli, zaszły potyczki i wzajemne uganianie się, w czasie których wpadłszy Szwedzi do Iłży zrabowali ją i obrócili w perzynę.

W roku następnym 1656, zaledwie mieszkańcy poklecili sobie jakie takie budynki, aby w nich mogli przemieszkać zimę, gdy zostali dotknięci nową klęską, od chorągwi kwarcianych, za zaległy żołd z klucza Iłżyckiego, jako należącego do biskupów krakowskich.

Kiedy i ta biéda przeszła, rozeszła się wiadomość w następującym roku 1657, o wkroczeniu Rakocego księcia siedmiogrodzkiego, w zamiarze objęcia tronu, do którego głosił że został zaproszony. Siła jakiéj przewodził była bardzo groźną, bo składała się z 40,000 Węgrów, Wołochów i innych narodowości wytrawnych w boju i przyzwyczajonych do wojennego trudu. Zająwszy Kraków, Rakocy posuwał się daléj, rozszerzając wszędzie rzeź i zniszczenie. Pod Końskiemi zeszedł się z Karolem Gustawem i wtenczas armija ich wynosiła 70,000 zbrojnego ludu. Tam to ponowiony został układ zajęcia całego kraju, z którego Małopolska, Ruś i Mazowsze miały należyć do Rakocego i tam także król Szwedzki miał się gorszyć wielce, niekarnością wojsk Rakocego i zniszczeniem jakiego się dopuszczały. W rozwoju dalszych czynności Rakocy wszedł do Iłży, a pewny znakomitych zdobyczy, z jak największą pilnością rozwinął poszukiwania jakoby ukrytych skarbów, które do reszty zniszczyły miasto dwoma poprzedniemi klęskami dotknięte.

W lat potém sto niespełna w r. 1744 zgorzało znowu miasto, co ponowiło się powtórnie w r. 1831 i skutkiem tych zniszczeń Iłża zrównała się z innemi miasteczkami, z przemysłu fabrycznego zatrzymując tylko wyrabianie garnków i garnuszków, po dziś dzień ciesząc się ich wziętością.

Wszystkie te klęski są wypisane na dwóch kamieniach wmurowanych w zewnętrznéj ścianie kościoła, z których jeden powiada, że jak pożar Troję, tak w r. 1744 zniszczył Iłżę, dzieło wieków, w przeciągu trzech godzin; na drugim wymienione są wszystkie inne klęski, począwszy od napadu Tatarów aż do przybycia Rakocego, to jest do roku 1657.

Niegdyś Iłża zamieszkaną była przez samych tylko chrześcijan, dziś żydzi prawie przeważną część ludności stanowią. Widać że położenie miasta otoczonego strasznemi lasami, przepełnionemi dzikim i drapieżnym zwierzem i dzikszemi od niego rozbójnikami, odstręczało synów Izraela od osiedlania się w miejscu, tak niebezpieczném dla ruchu handlowego. Ze wstrętu tego korzystając miasto, długo nie dopuszczało obcych wyznaniem przybyszów, ale z postępem czasu i bramy Iłży otwarły się gościnnie na ich przyjęcie. Dziś więc cały rynek roi się handującemi Izraelitami, mieszczanie zaś w zaułkach i bocznych ulicach, prowadzą daléj uprawę roli i garncarstwo, które dla braku obrotowego kapitału, spychane z dnia na dzień, mały daje zysk fabrykantom, a wielkie procenta udzielającym zapomogi.

Janek z Bielca.

WOLNOĆ TOMKU W SWOIM DOMKU.

Nie pomnę w którém mieście, na któréj ulicy,
Przed laty zamieszkali w jednéj kamienicy,
Spoczywając po trudach, na płaczu padole,
Paweł na piérwszém piętrze a Gaweł na dole.
Starzy ludzie, gdy taka przeznaczenia wola,
Osiedli na dewocyi zchodząc z swego pola,

Przekazując potomkom by szli ojców szlakiem,
Pan Gaweł był *myśliwym* a Paweł *rybakiem.*
Zawsze nas prześladuje los straszny i srogi:
Nie słuchały już Gawła oczy ani nogi,
A chociaż w myśli, w sercu doskonale celił,
Jednak biedak pudłował jeżeli wystrzelił.
Ale zawsze jest wielką nałogowa siła,
Nigdy bić nie przestaje do myśliwstwa żyła.
Pan Gaweł zachowywał stare przykazanie
I polował w swéj izbie, malując na ścianie
Zające, dziki, sarny, jelenie, niedźwiedzie.
I zdało mu się nieraz, rusznicę odwiedzie,
Wśród malowanéj kniei co była na ścianie
Marzyło mu się w głowie stare polowanie.
I strzelał ze skałkówki w swém mieszkaniu własném
W malowaną zwierzynę; a w domostwie ciasném,
Pan Paweł klął na górze złorzecząc zwyczaje,
Że myśliwy spokojnie nawet spać nie daje.
Bywało że pan Gaweł wśród wielkiéj ochoty
Dwa razy rżnie do kota co sadzi przez płoty,
I cały nabój z łóżka w łeb dzikowi pali.
Ale Paweł na górze okropnie się żali
I prosi pana Gawła: —Daj pokój sąsiedzie,
Myśmy już zeszli z pola, przy tak ciężkiéj biedzie,
Zapomnijmy o starych znakomitych czynach
I śpijmy oba razem na dawnych wawrzynach.
Upamiętaj się dobrze, rozważ sobie wreszcie
Że zając ani jeleń nie mogą być w mieście.—
Ale Gaweł nie słucha, inną wenę czuje,
Co zabije zająca, to go znów maluje;
Na ścianach swojéj izby w malowanym borze
Poluje po staremu; Paweł spać nie może
I prosi pana Gawła: —Daj pokój sąsiedzie!—
Ale stary myśliwy w łóżku śmiało jedzie
Słucha swoich ogarów co mu w myśli gonią,
Bawi się starowina swoją starą bronią.
Pomimo że pan Paweł na piętrze się żali,
Mój Paweł nic nie zważa, nabija i pali;
Bo taka starych ludzi nałogowa wada.
I Gaweł na perswazye Pawła odpowiada:

—Że chociaż w róg myśliwski trąbię w swoim domku,
To tobie nic do tego mój kochany Tomku.
To co mi się spodoba w mojéj izbie robię,
Bo rzepkę na tym świecie każdy sobie skrobie.
I idzie polowanie z największym zapałem,
Uciekają zające i jelenie czwałem,
A zapalony Gaweł przez imaginacyą
Jedzie na polowanie i na koronacyą.
Krzyk, hałas, strzały, trąby słychać w każdéj porze
A poczciwy pan Paweł nigdy spać nie może.
Nie słuchana perswazya, chęć w sercu osłabła.
Ale sobie pomyślał: zjesz sąsiedzie djabła!
Ty lubisz polowanie a ja ryby lubię,
Jak Kuba Panu Bogu tak téż i Bóg Kubie.
Nie będę grzechów twoich miał na swém sumieniu.
A co się daléj stało, powiem w zakończeniu.

Polowanie wciąż idzie; w tém jednego razu
Gdy Gaweł mając strzelić przez sen do obrazu,
Macał strzelby na ścianie, marząc o ponowie,
Poczuł że mu coś kapie z sufitu po głowie.
Obudzony tak nagle zgłupiał, co się dzieje,
A tu woda z powały strumieniem się leje
Na przybory myśliwskie, po izbie i ścianie;
A ponieważ najgorsze mokre polowanie,
Skoczył tedy pan Gaweł do swego sąsiada,
I na piętro do Pawła z wielkim gniewem wpada:
—Co wasan sobie myślisz? wszędzie pełno wody,
Cała izba zalana, strumień rznie przez schody.
Takich złości nie robią mości dobrodzieje!
Wasan tu głupstwa płodzisz mnie na łeb się leje,
Wszystko całkiem zamokło w mieszkaniu na dole,
Takich strasznych napadów robić nie pozwolę!
A jak mnie, panie Pawle, nie raczysz usłuchać,
Nie dam sobie, mospanie! w kaszę moją dmuchać!—
Pan Paweł najspokojniéj, mając nogi w wodzie,
Z wędką w ręku w swéj izbie siedzi na komodzie.
I rzekł do pana Gawła co się w głowę drapie:
—Wasan w domu polujesz a ja ryby łapię;

Boć wolno, sam mówiłeś, mój kochany Tomku
Robić co się podoba w swoim własnym domku.—





Więc tedy—cóż więc tedy? racya ztąd wypada
Że trzeba zawsze zważać na swego sąsiada,
Czy on mieszka na piérwszém, czy na piętrze trzecim,
Bo wszyscy razem pono to życie przelecim
I wszystkim równo powie Sąd Najwyższy w niebie,
Byliście poczciwymi nie żyjąc dla siebie;
Wszyscy ludzie dogodzą przeznaczeniu swemu
To co sobie nie miłe, nie czyniąc bliźniemu.

Faustyn Świderski.

SZYMEL JANKIELOWICZ KAFTAN

WSPOMNIENIE POŚMIERTNE.

Zadziwicie się zapewne, że tych parę kartek poświęcam uczczeniu pamięci człowieka, który żyjąc na bruku miasta Wilna, był tylko pospolitym żydem w łachmanach. Ale jeżeli zaparcie się siebie na korzyść nędzy, nieszczęścia i potrzeby, jest cnotą zawsze godną najwyższego uwielbienia, tém staje się zacniejszą, gdy się objawia w człowieku nie opromienionym świętą nauką ewangeliczną. Znajomość tak pięknego żywota, może kamienne serca wielu rozgrzeje szlachetniejszém uczuciem, może choć w części przyczyni się do umniejszenia przesadzonych uprzedzeń i rozwoju braterstwa prawdziwie chrześcijańskiego. Powodowany temi względami daję niniejsze pośmiertne wspomnienie; przyjmcie je sercem całém, zmarłego a obdarzcie pobożném westchnieniem.

Szymel Kaftan, jak donosi korrespondent z Wilna, zwany inaczéj Szlizgol, urodził się w r. 1800 we wsi Raczunach w powiecie Oszmiańskim, niedaleko od miasteczka Soły. Rodzina jego wedle praktykującego się naówczas zwyczaju, trzymała z pokolenia w pokolenie dzierżawą karczmę i mały browarek, jakich wtedy w tamtych stronach było prawie tyle co karczem. Niezamożny ojciec Szymela, nie mógł mu dać rozległego w znaczeniu żydowskiém wykształcenia. Nauczono go w Sołach języka hebrejskiego, recytowania codziennych modlitw i odczytywania Biblii, ale na dalszą naukę Talmudu zabrakło mu środków i czasu. Ojciec potrzebował jego pomocy w domu; tym sposobem młody Szymel, zamiast się zgubić w subtelnościach nauki rabinicznéj, wykierował się tylko na prostego gorzelnika, ale zato wyszedł ze szkoły z niezamąconym na świat poglądem i niewystudzoném sercem.

Jakie były późniejsze koleje Szymela Kaftana do trzydziestego piątego roku życia, z pewnością niewiadomo; zresztą rzecz to dla nas obojętna. Powiadają że trudnił się gorzelnictwem w Oszmiańskiém. Szkoda tylko, że niewiadome są także z pewnością

przyczyny, które skłoniły go w wieku mężkiéj dojrzałości, wyrzec się dawnego rzemiosła i oddać się wyłącznie na usługi miłosierne swym bliźnim. Utrzymują z podania, że wielka klęska rodzinna, jednoczesna strata małżonki i dzieci, sprawiła ten przewrót w jego umyśle i popchnęła znękanego na nową drogę. Ale są to tylko pogłoski, sam on bowiem rzadko się kiedy wywnętrzał, a tych szczegółów własnego życia, nigdy nie opowiadał nikomu. Cóżkolwiekbądź wiedziony myślą wylania się na usługi ludzkości, przybył Szymel wkrótce po roku 1835 do Wilna, i wnet przystąpił do urzeczywistnienia zamiarów. Począł od tego, że stosunkowo lekką pracę w browarze, zamienił na ciężki trud fizyczny w małéj fabryce tabaki. Otrzymany ztąd szczupły zarobek, w jednéj części wystarczał mu na przeżycie, w drugiéj był obracany na wsparcie ubóztwa i na świece szabasowe, które do schronienia nędzarzy i do domów modlitwy co tydzień sam roznosił.

Obeznawszy się tym sposobem z miejscowemi potrzebami i dawszy siebie poznać w gminie izraelskiéj w Wilnie, aby zjednać jéj zaufanie, swobodnie w miarę sił dla zaradzenia tym potrzebom, mógł już następnie rozszerzyć zakres wykonywania swych planów. Wyjednał tedy z gotowością udzielone mu za zezwoleniem starszyzny żydowskiéj, pozwolenie na zbieranie składek po mieście, i odtąd cały swój czas dzielił na chodzenie ze skarbonką we dnie, a pracę w fabryce w nocy. Milczący i potulny w chwilach zwykłego życia, był pełen wymowy i namaszczenia podczas kwesty, którą poczytywał za pewien rodzaj kapłaństwa. Składki zbierał zwykle pomiędzy ludnością żydowską, ale nieraz się zdarzało, że i z ręki chrześcijanina grosz wdowi prześliznął się do skarbony ubóztwa. Nikomu nie był natrętnym, bo do nikogo nie zwracał się osobiście z proźbą, wysławiał tylko stanąwszy wpośród tłumu, zasługi miłosierdzia i obowiązek spółczucia dla nieszczęśliwych. Datki bywały pospolicie nadzwyczaj drobne, najczęściéj kapało po groszu, ale koniec końców zbierało się po kilkanaście tysięcy do roku. Według świadectwa osób dobrze świadomych rzeczy, pozostałe po zmarłym rachunki które sam dla siebie prowadził, wykryły, że w ciągu swego kwestarskiego zawodu, zebrał i wydał na biednych około 400,000 złp.

Nie mogący albo wstydzący się żebrać, byli w powszechności celem jego troskliwéj opieki. Szczególniéj czuwał jednak Szymel nad opatrzeniem potrzeb do życia i kształcenia się biednych uczniów jednéj szkoły hebrejskiéj, tak zwanéj Eszyba. Szkoła ta

założona w ognisku najuboższéj ludności żydowskiéj, a od nazwiska swego założyciela zwana Eszyba-Ramales, jest rodzajem akademii talmudycznéj i liczy stu kilkudziesięciu uczniów, z których może połowa otrzymywała od Szymela szczupluchne wprawdzie, ale cenne dla siebie wsparcie.

Daléj następował szereg niedołężnych starców, kalek, obłożnie chorych, położnic, których sam zacny kwestarz umiał wyszukiwać po ciemnych zaułkach miasta. Wszystko to, częstokroć właśnie w najrozpaczniéjszéj chwili, spostrzegało go przy sobie, jako widome narzędzie Opatrzności. My, co pojąć nie możemy, jak uboga ludność żydowska umie kilku groszami opędzać całodziennie potrzeby, nie jesteśmy pono w stanie ocenić, ilu nieszczęśliwych brało zasiłek z ręki Szymela. W pracy był niezmordowanym. Widziano go codzień od rana do nocy na nogach: tu zbiera jałmużnę, tam za uciułany grosz zakupuje wiktuały: daléj obładowany węzełkami i bochenkami chleba, wdziera się po przepaścistych schodach na poddasza: nareszcie wieczorem widzą go jak się zwija koło stępy z tabaką, a jutro i pojutrze znowu ta sama koléj i tak codzień przez lata i lat dziesiątki.

Sam robił wszystko. Zebranych pieniędzy nie rozdawał w gotowiźnie, już dla tego że chciał biednym oszczędzić kłopotu, już znowu, że kupując rzeczy w ilościach większych i w jedném pewném miejscu, zyskiwało się na zniżeniu ceny. Wchodziła téż w rachubę jeszcze ta okoliczność, że się zdarzały niekiedy dni feralne dla kwesty a wówczas, dla zaspokojenia gwałtownych potrzeb, przychodziło uciekać się do kredytu kramarzy. Musiał tedy mieć stałych przedawców pod ręką i ci rzeczywiście nieraz na znaczne kwoty udzielali mu swych towarów na kredyt.

Wśród tylu zabiegów, niekiedy w nagłéj potrzebie musiał się nawet rozminąć z surowemi przepisami święcenia Szabatu. Widziano go nieraz, jak z bochenkiem chleba lub innym podobnym przedmiotem, starannie ukrytym pod suknią, przekradał się ulicą i znikał w bramie domu, gdzie czujne jego oko wykryło nędzę świętującą o suchym poście.

Ściśli przestrzegacze litery zakonu, chcieli mu to zrazu wymawiać, lecz albo zbywał ich milczeniem, albo tak zawsze umiał się dobrze wytłumaczyć, że go nareszcie zostawiono w pokoju. Zresztą ludność izraelska tutejsza tyle miała dla Szymela szacunku i ufności, że najzagorzalszym rygorystom schodziło na odwadze szukania skazy w jego postępowaniu.

Dla siebie samego Szymel Kaftan niechciał mieć nic a nic z tego co poczytywał za nietykalną własność ubóztwa. Póki go siły fizyczne nie odbiegły, pracował, wieczorami w fabryce tytuniu i zarobionym tak groszem, opędzał własne nader skromne potrzeby. Kiedy zaś dłużéj już pracować nie mógł, szlachetny dziwak począł był morzyć siebie głodem. Zamożniejsi Izraelici ofiarowali mu wtedy pewną kwotę pieniężną na przeżycie, ale te pieniądze nie trzymały się go i łatwo się domyślić dokąd znikały. Nakoniec zaradzono w ten sposób, że nie dawano mu już do rąk pieniędzy, ale za kilkanaście złotych na miesiąc, najmowano dla niego stół i kątek. Tu już nie mogł poradzić i musiał przyjąć ofiarę. Tak samo rzecz się miała z ubiorem. Zimą i latem widziano go zawsze w jednostajnéj sukni, uszytéj z grubego pakłaku. Udarowany schludniejszém lub cieplejszém ubraniem, zaraz je sprzedawał, kupował sobie jak najtańsze, a przewyżka wpływała do skarbony. Taką niezmienną koleją życia piękna dusza, aż do zgonu kryła się przed oczyma świata w łachmanach.

Skromność i zapomnienie własnéj osobistości posuwał Szymel do ostatecznéj granicy. W Tece Wileńskiéj z r. 1858, był wydrukowany wierszyk, któremu za osnowę posłużyła treść żywota téj wyniosłéj, a tak troskliwie wśród tłumu ukrywającéj się postaci. Z powodu tego wierszyka, chciano się czegoś dowiedziéć o życiu starozakonnego kwestarza. I cóż powiécie? Nie można się było od żydów tutejszych dopytać nawet imienia Szymela. A jednak sprawy jego były każdemu z nich znane, i kiedy ów wiérszyk został odbity osobno, aby coś zebrać i złożyć w ręce kwestarza, rozchwytano odbitki natychmiast, a nawet przetłumaczono ów wierszyk i wydano w języku hebrejskim.

Szymel skończył jak przystało na takiego jakim był pracownika: umarł pełniąc swe posługi aż do ostatniéj chwili. Wieczorem dnia 17 kwietnia 1865 roku, był w ulubionéj swojéj Eszybie; przyniósł ostatnie wsparcie chłopiętom i pożegnał się z niemi, powiadając że już go więcéj nie zobaczą. Wróciwszy do swego kąta, rozesłał kilka słomek na ziemi, jak zwykli czynić żydzi dla konających, sam się położył na tém symboliczném posłaniu, a nazajutrz rano znaleziono go na niém bez ducha.

Następnego dnia zajęto się oddaniem ostatniéj posługi zwłokom szlachetnego nędzarza. Niezmierne tłumy szły za trumną, i zalegały całe ulice, od środka miasta aż na cmentarz, za dalekim przedmieściem. Jedni przed drugiemi dobijali się, jak naj-

większego zaszczytu, dotknięcia się choć do trumny, aby mogli sami przed sobą powiedzieć, że brali udział w niesieniu drogich szczątków.

I cóż to za moc, co zacnego kwestarza przez trzy blizko dziesiątki lat, zarówno w sile życia jak w starości, umiała wiernie i wytrwale przy tak świętym i mozolnym utrzymywać obowiązku?

To miłość bliźniego, jeden malutki promyczek miłości, jaką Bóg świat stworzony otoczył.

J. K. Gregorowicz.

SIOSTRZYCZKI.

Była gwiazdka promienna,
Na niebiosach świeciła,
Była róża wiosenna,
W ogródeczku woniła:
Było dziewcze na ziemi,
Z oczętami modremi,
Złotą kosą i licem anioła.
Srebrna gwiazdko na niebie,
Chmury przyjdą na ciebie,
I twój promień błyszczący pobladnie!
Ach różyczko nieboże!
Wicher huczy po borze,
Chłodna rosa dziś nocą opadnie.
Chłodna rosa, szron biały,
I pożółkły, splowiały,
Skłoni główkę kwiat smutnéj różyczki.
Przyjdzie starość zawzięta,
I przygasną oczęta,
Złotowłoséj aniołów siostrzyczki.

Nic nie szkodzi, nie szkodzi,
Choć wśród mglistéj powodzi,
Czarne chmury gwiazdeczkę odzieją!
Bo przez mgły, przez chmury,
Mała gwiazdka tam z góry,
Lepszéj wiosny znów błyśnie nadzieją!
A ty blady mój kwiecie,
Choć w jesienne zamiecie,
Krasa twoja wiosenna zwiędniała;
Ja cię kocham i czule,
Na mém sercu utulę,
Bo ci różo woń twoja została.
Modro-oka dziewczyno,
Czemu tobie łzy płyną,
Kiedy spojrzysz ku gwiazdce lub róży?
Czy, że gwiazdka nie jasna,
Czy że róża nie krasna,
Krasawico włos biały ci wróży?
Lecz włos biały, korona,
Jeźli tylko wśród łona
Święta iskra uczucia ugości:
To blask gwiazdki spochmurzy,
To uwiędłéj woń róży,
Boska piękność co nie zna starości.

Maryja Ilnicka.

TRZY SKARBY.

I.

We wsi Zuchalinie, położonéj tuż przy trakcie pocztowym, zaraz z początku wiosny, kiedy każdy zajęty pracą w polu, myślał tylko o jak najprędszym ukończeniu zasiewów, w małym

dworku pana Marcina, jak go powszechnie nazywano, wszystko znajdowało się w największém opuszczeniu. Wszędzie wprawdzie przebijał porządek, ład i staranność, będące duszą każdego gospodarstwa; ale w ogródku kilku wieprzków ryło ziemię, niszcząc maliny i poziomki; krowa objadała z owocowych drzewek pączki i świeżo rozwinięte listki; koń czochrał się o zeszłoroczne wierzby, odrywając korzonki nie dobrze jeszcze utwierdzone w ziemi, a na szychcie owsa w rozwartéj stodole, widać było stado kaczek, kur i gęsi, razem z wróblami, wyszukujących ziarna na pożywienie. Widocznie brakowało gospodarskiego oka, téj czułéj troskliwości co sporzy a nie niszczy, co zabiega i broni od najmniéjszéj choćby szkody.

Tak téż było rzeczywiście, bo pan Marcin w téj chwili leżał na łożu boleści, otoczony rodziną, dając jéj rozporządzenia swéj ostatniéj woli, rady i napomnienia, starając się ją uspokajać i godzić ze smutkiem, jakim przez zgon jego dotkniętą zostanie. Był to człowiek w saméj sile wieku, około lat cztérdzieście mieć mogący, obsypany dziatwą jak mrowiem, ale pracowity, uczciwy i szanowany w całéj wiosce, jakby od niego nie było ani starszego ani lepszego. Cierpiała więc żona niewymownie, płakały dziatki tuląc się do nóg i rąk ojcowskich, płakali domownicy, ale równie smucili się sąsiedzi, bo tracąc pana Marcina, pojmowali dopiéro całą wartość jego duszy i poczciwego serca. W izbie cisza; umierający modlił się i błagał o odpuszczenie grzechów żywota. Słychać tylko bieg zegara i czasami przyciszone łkanie któréj z dziecin, wieńcem otaczających na klęczkach łoże chorego. Przy nogach siedzi żona z oczami w słup obróconemi, głowę trzyma zwieszoną ku ziemi, ręce załamane o poręcz łóżka, i zdaje się być więcéj martwą kamienną statuą, jak osobą żyjącą. Na uboczu stoi dwóch sąsiadów pana Marcina, niemych, bolejących i przybyłych na wyraźne żądanie umierającego. W téj chwili pan Marcin otworzył oczy i zobaczywszy tak rozpaczającą żonę, wyciągnął ku niéj rękę i rzekł wolnym przyciszonym głosem:

— Kasiu, ty płaczesz i rozpaczasz? a gdzież twoja wiara w mądrość i miłosierdzie Boga wszechmogącego? Przecież bez woli Jego i włos z głowy nie spada człowiekowi, jeżeli więc mam was porzucić, to z Jego świętego rozporządzenia. A czyż to ma być tak straszna rzecz? Czyż do niéj nie powinniśmy być zawczasu przygotowani? Nie płacz więc ale raduj się, że oto pielgrzymka moja ziemska kończy się, a wkrótce rozpocznę życie

wieczne. Wam panowie sąsiedzi dziękuję za dopełnienie mojéj prożby, waszéj opiece powierzam dziatki i żonę. Bogactwa nie zostawiam, bo przy trzech włókach ziemi i siedmiorgu dzieciach, trudno o dostatki i oszczędności, ale starałem się o miłość i przyjaźń ludzką... a to czasem więcéj znaczy jak bogate dziedzictwo.

Potém obrócił mowę do dzieci, z których najstarszy syn liczył czternaście lat życia, a najmłodsza dwuletnia dziewczynka, siedziała na ziemi przy nogach matki, kryjąc buzię w fałdach spódnicy. Innych pięcioro dziatek, coraz młodszych i niższych, licząc od najstarszego, klęczało tuż przy sobie z rączkami nabożnie złożonemi.

Pan Marcin chociaż wolno, ale mówił z największym spokojem i przytomnością, w jedném nawet słowie nie widać było trwogi lub jakiéj choćby najmniejszéj obawy,—w każdém przebijała wiara prawdziwego chrześcijanina, poddanie się wyrokom Bożym i ta pewność że rozłączenie z rodziną ukochaną jest tylko chwilowe, i że otwiera się przed nim życie wieczne, szczęśliwsze i lepsze, bo wolne od trosk, bolów i dolegliwości żywota ziemskiego. Kiedy skończył mówić, żona nie mogąc dłużéj wstrzymać hamowanéj dotąd rozpaczy, głośnym zawiodła płaczem, z owém konwulsyjném drzeniem, jakby w jéj piersi pękało serce w drobne druzgocząc się kawałki. Wtenczas podsunął się bliżéj jeden z przytomnych sąsiadów i rzekł:

— Nie rozpaczajcie pani Marcinowa, doktór wkrótce nadjedzie a Bóg miłosierny, to może nam jeszcze pozwoli cieszyć się długiém życiem pana Marcina...

— Jemu ufam, przerwał chory, i z pokorą a nawet radością, przyjmę wszystko co mi przeznaczy, śmierć czy życie; bo On jest nasz Ojciec wiekuisty, Pan całego żyjącego stworzenia. Uspokój się więc żono... boleść twoja dręczy mnię więcéj, jak cierpienia ciała... ot lepiéj pomyśl o poczęstunku łaskawych sąsiadów... a ja przez ten czas pogadam z niemi o innych ważnych sprawach, bo czas ucieka a chwile policzone.

Kiedy pani Marcinowa, pokrzepiona spokojem męża swego, utuliła się nieco w boleści, mąż jéj zaczął objawiać swoją ostatnią wolę, dotyczącą interesów, gospodarstwa, dzieci, żony, nawet pogrzebu, ubrania swego do trumny, nabożeństwa i innych podobnych szczegółów; a gdy jeden z przyzwanych zrobił uwagę, że to wszystko jest jeszcze przedwcześne, i że może powstać zdrowym z obłożnéj choroby, pan Marcin przerwał mu mówiąc:

— Bóg wam zapłać za pociechę, jaką mi dać pragniecie, bo pragnę życia nie dla siebie, tylko dla dziatek, ale przygotowanym być należy zawsze do tego co nas czeka nieochybnie, nie dziś to jutro.

I przy tych słowach odetchnąwszy, mówił daléj z największą spokojnością, jakby o rzeczy najzwyczajniejszéj:

— Surdut mój lisami podbity, to się przyda na najstarszego Jasia. Wszystkie sztuki własną ręką upolowałem, niechże nie idą w handlarskie ręce. Mnie do trumny dacie stare szaraczkowe ubranie i stare buty, bo dla ziemi nie trzeba przystroju, tylko dla świata. Nowe niech także czeka jak Jaś dorośnie. Wy Józefie, weźcie laskę co z nią codzień chodziłem, a wy Wojciechu cybuch wiśniowy, com go kupił na licytacyi... będzie to wam mnie przypominać i dziatki moje, które powierzam waszéj opiece. Ale otóż i poczciwa Kasia, przyszykowała już przekąskę z wódką, proszę pozwólcie sąsiedzi... tylko przetrzyjcie kieliszek, bo zdaje mi się że trochę zakurzony, ale w takim domowym kłopocie przebaczcie..

— Za wasze zdrowie, panie Marcinie, odezwał się pan Wojciech, nalewając wódki w kieliszek, ale powiem wam otwarcie, że nie musicie być tak blizcy grobu, jak mówicie, bo to znać z waszego głosu.

— I mnie się tak zdaje, odrzekł chory, że jeszcze może tą razą Bóg mnie nie powoła do innego życia.... ale zobaczemy.... doktór nas objaśni najlepiéj....

W téj chwili zaturkotało na podwórzu, pies zaszczekał, i niebawem do izby wszedł tak niecierpliwie oczekiwany lekarz. Pani Marcinowa spotkała go zaraz przy progu i rzuciwszy się na kolana zawołała rozpaczliwym głosem:

— Panie ..! ratuj... ratuj...!

— Kasiu, odezwał się chory, pamiętaj zawsze o Bogu i miéj upamiętanie.

— Uspokój się pani, odezwał się doktór podnosząc panią Marcinową, zrobię wszystko co może i umié człowiek, ale cuda tylko Bogu przynależą.

Kiedy z największą ścisłością zbadał stan zdrowia pana Marcina i wybadał wszystkie okoliczności, doktór zafrasował się wielce i głęboko zamyślił. Pan Marcin dojrzawszy to rzekł:

— Panie! wiész żem ubogi pachołek, i nie mam chwili czasu do tracenia, powiédz więc czy mogę sobie obiecywać życie?

Doktór milczał.

— Nie lękaj się panie doktorze, mówił dalój chory, co powiész, czy z pociechą czy bez pociechy, przyjmę z największą spokojnością i bez trwogi, bo wszystko idzie od Boga.

Doktór spojrzał na chorego z podziwieniem, ale ciągle milczał, pan Marcin więc domówił:



— Jakże panie doktorze, czy umrę czy żyć będę?
— Umrzesz pan, odrzekł doktór.

— Bądź pewnym panie doktorze, że cię nie zwodzę; jestem przecie chrześcijaninem i wierzę w jedynego nad nami Boga. Wiedziéć zaś chcę nie dla ciekawości, tylko dla wyszykowania interesów według wyroku....... choroba w bogactwie martwi, a w mierności martwi i rujnuje, od czego chciałbym uchronić matkę z sierotami.

— Przyszłość należy do Boga, odrzekł doktór, ułomny człowiek wyrokować o niéj nie może.

— Wiem co przynależy Bogu, a co ludziom, odrzekł pan

Marcin, ja też pytam pana jako człowieka i doktora.... umrę czy żyć będę?

Doktór spójrzał bystro w oczy panu Marcinowi, ale twarz była spokojną, i nic w niéj nie pokazywało coby mogło świadczyć o jakimś wewnętrznym niepokoju i mimowolnéj a naturalnéj trwodze, jaka w obec śmierci każdego przejmuje człowieka. Zastanowiło go to niewymownie, a gdy pan Marcin jeszcze raz powtórzył pytanie:

— Jakże panie doktorze, czy umrę czy żyć będę?

— Umrzesz pan, odrzekł doktór.

— A prędko?

— Za trzy dni życia poręczam.

— To aż nadto wiele do pokończenia wszystkiego..... dziękuję.... tylko dzieciom i żonie, ani słowa.... pocóż im odbiérać nadzieję, jaką położyli w twojéj nauce panie doktorze.

Po tych słowach umilkł, przymknął oczy i tylko z poruszania ust znać było że się modli. Doktór na chwilę nie wypuścił go ze swéj uwagi, a gdy późniéj zobaczył, że chory modląc się usnął i przez sen uśmiecha, jakby witał aniołów napełniających niebiosa, cichaczem odsunął się od łoża boleści i znalazłszy się z sąsiadami pana Marcina w drugiéj izbie, rzekł do nich:

— Widziałem wielu ludzi umierających, ale z taką wiarą i poddaniem jak pan Marcin, nie zdarzyło mi się nigdy dopatrzyć. Umyślnie, krótko i zimno, powiedziałem mu że umrze, żeby wybadać wrażenie jakie to wywoła; a jednak na chwilę się nie zmienił ani zatrwożył, żaden rys twarzy nie drgnął choćby najmniejszém poruszeniem, tylko zaczął się modlić, a teraz śpi jak najzdrowszy. Dałbym niewiem co, gdybym go mógł uzdrowić. Tacy ludzie, wiarą jaka ich ożywia, to skarby nieoszacowane, to prawdziwi dobrodzieje ludzkości, bo nic jéj nie brakuje, tylko wiary szczeréj i poczciwéj.

II.

W kilka miesięcy po scenie wyżéj opisanéj, pan Marcin który z woli Opatrzności przyszedł do zupełnego zdrowia, siedział w téj saméj izbie i naprawiał siatkę porwaną w ostatniém ryb łowieniu. Chociaż wyglądał dobrze i oprócz wyłysienia, choroba żadnych innych nie zostawiła na nim śladów, jednak jakoś biédak był

strasznie zafrasowany, bo często tak się zamyślał, że mu i siatka i kłębek ze szpagatem upadały na ziemię. Wtenczas zwykle przychodził do przytomności, i westchnąwszy znowu brał się do przerwanéj roboty. Ale raz przyszły mu myśli jakieś bardzo ciężkie, bo nietylko nie zważał na upuszczony kłębek, ale nie usłyszał że z alkierza wyszła jego żona, a przed nią na paluszkach ośmioletnia dziewczynka z figlarną i rumianą buzią, i trzymając rączkę ku górze troszkę wzniesioną, z uśmiechem posuwała się cichaczem ku plecom zamyślonego ojca. Pan Marcin nic tego nie uważał, tylko dumał spoglądając przez okno na chmurki błądzące po niebios przestrzeni. Skrzyp podłogi ocucił go z zamyślenia, ale kiedy się obejrzał ku żonie, nagle oczy przysłoniły mu małe drobne rączki i jednocześnie dał się słyszéć cieniutki głosik dziewczynki:

— Zgadnij tutulku kto to taki?

— Oj ty mała figlarko, odezwał się pan Marcin, a udając że nie poznaje dzieweczki, niby zgadując mówił daléj:

— To pewno Florka.

— Aha! nie zgadł tatulek, zawołała śmiejąc się dziewczynka, bo to Wiktusia nie Florcia, i objąwszy za szyję ojca, zaczęła go całować z największą czułością.

— Cożeś taka dziś rozkoszna?

— A dlaczego tatulek taki zamyślony? zapytała dziewczynka, że nie słyszy i nie widzi, co się za nim dzieje?

— Ach! moje dziecko, alboż to nie mam o czém myślić?

— Myślić zapewnie że mamy o czém, odezwała się na to żona, ale gryźć i martwić się nie należy mój Marcinku.

— Zapewne moja Kasiu, ale choroba wiele przyniosła nam straty. Zasiewy wiosenne spóźnione nie rokują urodzaju, a przy naszéj niezamożności może to doprowadzić do wielkiego braku.

— W Bogu nadzieja mój Marcinie. Gdyby opuszczenie to z naszéj poszło winy, moglibyśmy się obawiać, ale Boskie to rozporządzenie, szemranie i frasowanie grzechem więc niedarowanym.

— Ja téż nie szemrzę, tylko myślę i frasuję się moje dziecko, a to przecie rzecz ludzka.

— To prawda że ludzka, ale jesteśmy chrześcijanami. Bóg zasmuca ale i pociesza, myślmy więc, starajmy się, zabiegajmy, bo nasz obowiązek, ale frasować się nie wolno, bo to grzechem przeciw mądrości i wszechmocności Boga.

— Prawda moje dziecko, odrzekł pan Marcin oddychając swobodniéj, jakby ciężar zdejmował z piersi, jak jednak pomyślę ile ponieśliśmy straty przez chorobę i ile innych nas czeka przez opuszczenie w gospodarstwie, jak teraz nie mogę dać sobie rady z uprawą pod oziminę, jak w domu nie ma prawie grosza zapasu, choć się żniwa zbliżają, to prawie niepodobna odepchnąć od siebie frasunek.



W téj chwili otworzyły się drzwi od sieni i chmara dziatek wbiegła do izby z wrzawą.

— Nadzieja w Bogu mój Marcinku. Gorzéj by było, gdybyś nas był zostawił sierotami, teraz masz zdrowie, ja spokojność i szczęście, a kiedy nie brak nam chęci do pracy, to reszta wszystko fraszką. Bóg miłosierny, to nie opuści pracowitych i ufających.

W téj chwili otworzyły się drzwi od sieni i chmara dziatek państwa Marcinów, wbiegła do izby z wrzawą, z hałasem, tak

właściwym dziecęcemu wiekowi. Było ich pięć sztuk, bo Jaś najstarszy bujał gdzieś w polu przy gospodarstwie, a Wiktusia przy oknie z roślinek doniczkowych zbierała pyłki kurzu i uschnięte listki. Trzech chłopczyków wjechało na kijach jak na koniach z biczykami w ręku i w kapeluszach papierowych przystrojonych w kwiatki; czwarta w trzecim roku córeczka, wtoczyła się za niemi także z prętem w ręku, siekąc nim bez upamiętania w prawo i lewo jak się przytrafiło; piąta zaś dziewczynka, dziesięcioletnia, szła za niemi, niby stara kura wodząca pisklęta z pilném baczeniem na najmłodszą siostrzyczkę, żeby prętem albo sobie albo komu nie zrobiła szkodę.

— Otóż i nasza czereda, odezwała się matka, krzycząca i dokazująca bez upamiętania, i kiedy gromadka dzieci w harcach i podskokach przeciągała po izbie, jakby pragnąca się popisać ze swoim przystrojem, matka mówiła do męża poglądając z uczuciem miłości na igrające dzieci:

— Patrz Marcinie na te skarby nasze! Jak są zdrowe, rumiane i wesołe. Czyż to nie łaska Boża? Jakże wielkie miłosierdzie Boskie, że mając ich siedmioro, wszystkie się szczęśliwie chowają, i żadne nie jest ani kaleką, ani nieszczęśliwym niedołęgą.

— Prawda... prawda moje dziecko, z rozrzewnieniem odrzekł pan Marcin, ale gdy sobie pomyślę czem będą kiedyś, jak drogą jest oświata u nas w kraju... i jak w stosunku do tego jesteśmy ubodzy...

— Ale umiemy pracować i modlić się mój mężu, a przedewszystkiem ufać Opatrzności, przerwała żona. Nieszczęścia ogólne zubożyły nas, mienie nasze uszczupliło się do malutkiego folwarczku, czyż jednak szczęścia nam brakuje? Co umiemy nauczemy sami nasze dziatki, a reszty douczą ludzie przy pomocy Boskiéj.

— Gdyby to, odezwał się pan Marcin jakby z powątpiewaniem, ale mu przerwała żona:

— Wątpisz? mój Marcinku, przyjaźń ludzka jest wielkim skarbem, a ciebie ludzie kochają za twą prawość, rozsądek, pracowitość i ludzkość, o czém najlepiéj mogłam się przekonać w czasie choroby jaka cię nawiedziła.

— Coż ja mogę ludziom tak dobrego robić? ja sam biédny...

— Współczucie, rada dobra, pociecha, nawet poczciwe napomnienie, więcéj znaczą mój drogi jak dary i ofiary pieniężne.

Z tém się nigdy nie ociągałeś, a serce i rozum ludzie umieją cenić.

— Cały téż to majątkowy spadek dla dziatek naszych...

— Wielki, mój drogi, bardzo wielki. My nauczemy dziątki bojaźni Boga i zamiłowania pracy, a pracy u nas nie brakuje, tylko zdolnych pracowników. Przy pomocy ludzkiéj, takiemi staną się nasze dzieci i będą szczęśliwémi jak my jesteśmy niémi...

— O ty moja pociecho, mój skarbie jedyny, przerwał pan Marcin, całując żonę z uczuciem najwyższéj miłości, wybacz frasunkowi jaki mnie opętał, ale po chorobie słabe jeszcze ciało, więc i dusza nie taka jak być powinna. Ale pokrzepiłaś mnie, i teraz na nowo żyć zaczynam.

W téj chwili gromadka dziatek otoczyła rodziców i jeden z chłopaczków przybiegając do ojca, rzekł zadąsany:

— Wojtuś tatulku powiada, że ja mam brzuch, a przecież ja mam brzuszek nie brzuch, bo tak mamunia mówiła, kiedy mnie smarowała. Wszak prawda tatulku?

— Prawda, bo brzuchy mają tylko starsi, a dzieci to brzuszki.

— A widzisz! zawołał chłopczyk, odwracając się tryumfująco do braciszka.

— To Jaś tak mnie nauczył, odrzekł Wojtuś, to ja temu nie winien.

— Mój tatulku, niech mu tatulko przykaże, żeby się mi nie sprzeciwiał, odezwał się poszkodowany w tak ważnéj rzeczy, bo on chodzi za mną i ciągle gada że mam brzuch nie brzuszek.

— To nie pięknie mój Wojtusiu, odezwał się ojciec, tak nieustannie sprzeciwiać się braciszkowi.

— To wielki zbereźnik proszę tatki, zabrała głos najstarsza dziewczynka Florka, bo jak go przestrzegam, to on ze złością gada, że mnie nawet nie ma za psa.

— Czy tak? zapytał ojciec.

Wojtuś coś majstrujący około biczyka i kapelusza, nic na to nie odrzekł, tylko z miną hardą, kiwnął głową z potakiwaniem.

— Więc Florci nie masz nawet za psa? zapytała matka z uśmiechem spoglądając na męża.

— Nie mam, szepnął Wojtuś pochmurzony, bo ona nie dobra dla mnie.

— Ja mam Florcię za psa, zawołał najmłodszy pięcioletni chłopaczek Józio, i obejmując w pół siostrę, mówił daléj z naj-

większém przymileniem: ja ciebie kocham i mam cię za psa, kiedy Wojtuś taki dla ciebie nie dobry.

Rodzice rozśmieli się z téj naiwności dziecięcéj, a pan Marcin posadził Józia na kolanie i całując mówił:

— Oj! ty mały gaduło, mały głuptasku....

— Ale będę duży jak urosnę, pokręcając główką przerwał Józio, nierozumiejąc naturalnie co nazwa głuptaska właściwie oznacza.

— A toś mnie pocieszył, ze śmiechem odezwał się ojciec, to dopiéro radosna dla mnie obietnica, ale sądzę że nigdy nie będziesz dużym głuptasem. Wszak prawda Józiu?

Józio na to powątpiewanie ojca sposępniał i odrzekł z pewnym rodzajem zagniewania:

— Kiedy mnie tatulko nie wierzy, to ja Florki nie mam za psa....

Naiwność całéj téj sceny, niewymownie rozweseliła oboje rodziców, pan Marcin więc całując Józia rzekł:

— No, no, to ci wierzę, wierzę najzupełniéj, ty pięcioletni filozofie.

— Ale tatulko całuje Józia, odezwała się Florcia, a co to on dziś powiedział przy pacierzu....

Józio milczał z odętemi wargami, obwiązując biczyk na palcu.

— No cożeś powiedział? powiedz mi Józieczku, bo cię nie będę kochał.

— Niech ona sama powié, kiedy skarży, szepnął Józio.

— Ale ja chcę żebyś mi sam powiedział.

Po chwili wahania, stękania i namawianiu, odezwał się malec:

— Powiedziałem: bądź wola Twoja, a potém: i tam daléj, i chciałem pójść do śniadania, ale mnie Florcia przytrzymała i kazała na nowo cały zmówić paciérz od początku.

— A ciebie kto tego nauczył?

— A tatulek, odrzekła dziecina.

— A to jakim sposobem, kiedy ja z tobą nigdy nie mówię pacierza?

— Wczoraj tatulek powiedział do Walentego, żeby zabrał widły, siano, obrok, a potém powiedział tatulek: i tam daléj, i wstał tatulek z ławki i poszedł do pokoju na śniadanie.

— Więc i ty myślałaś, że jak przy pacierzu powiész: i tam daléj, to także będziesz mógł pójść do śniadania?

Józio kiwnął głową z potwierdzeniem, a upatrzywszy Florkę na uboczu, rzekł do niéj przyciszonym głosem, z gorzkim wyrzutem:

— A kto tobie kazał skarżyć przed tatulkiem, że ja w pacierzu powiedziałem: i tam daléj? Kiedy tak, to cię jak Wojtuś nie mam za psa i koniec.

III.

Pomimo jednak ufności w Opatrzność, położenie państwa Marcinów z dniem każdym stając się przykrzejszém, mimowoli smuciło ich i dręczyło. Ze śpiżarni wyczerpywały się zapasy, a dzieciaki wybiegawszy się, z podwójnym apetytem zasiadały do stołu, domagając się jak największych dla siebie porcyj. W polu niezmiernie leniwo szła uprawa gruntu pod oziminę, bo własnym sprzężajem trudno było nagrodzić wiosenne opóźnienie, a na domiar złego, dla koni brakło owsa, który musiano spieniężyć na naglące wydatki w czasie choroby. Kupić zaś nie było za co, ani przynająć robotnika do uprawy gruntu, bo nawet mały zapasik, zebrany oszczędnością pani Marcinowéj, wyszedł do ostatniego grosza. Na sprzedaż nie było także w spichlerzyku ani ziarenka, pozbycie się znów jakiéj sztuki z inwentarza byłoby wielką, niepowetowaną stratą, nie prędko mogącą być wynagrodzoną. Martwił się więc pan Marcin, martwiła i pani Marcinowa, ale w ciszy i tajemnicy serca, lękając się jedno przed drugiém, wydać z dręczącemi ich duszę myślami. I tak wlekło się parę tygodni, dziatkom zwyczajny apetyt zamieniał się na wilczy, dla oszczędności zdjęto im buciki, chowając je tylko do przystroju na nabożeństwo w dzień świąteczny, inwentarz roboczy coraz więcéj słabnął, i na dobitkę zjawiła się u państwa Marcinów nie widziana dotąd egzekucya wojskowa, za zaległy podatek. To dobiło biédzących się małżonków.

— Nie ma rady kochana żono, odezwał się pan Marcin, biéda zagląda do nas wszystkiemi oknami, bo drzwiami już dawno weszła. Trzeba się ratować. Jutro mamy jarmark, wyprowadziemy zatém dwie krowy i wieprza co go karmiemy na potrzebę domową. Za wzięte pieniądze zapłaciemy zaległość, kupiemy owsa dla koni i zboża na mąkę, któréj nam także braknie nie długo.

Przygotuj także nasze sreberka stolowe, a chociaż nie wielkiéj wartości, zastawiemy je a wystarczą, i na najem kilku pługów, i na pierwsze wydatki w nadchodzące żniwa.

— Krów mi wielka szkoda, szepnęła pani Marcinowa, mleczne i naszego chowu. Do sreberek także oszczędnością lat wielu zaledwieśmy przyszli, pozbyć się więc ich choćby tylko przez zastaw, bardzo łatwo, ale powrócić niezmiernie trudno.

— Prawda moja droga, ale cóż na to poradzić? Będzie mniéj mléka, to powiemy dzieciom, a zaręczam że poprzestaną na barszczu i zacierce z wodą. Łyżki srebrne zastąpiemy drewnianemi, bo to wszystko są drobiazgi, w obec kłopotów jakie się na nas zwaliły. Wreszcie nie ma innego ratunku.

— A gdybyś téż poszedł do pana Józefa i Wojciecha, co nam tak służyli w chorobie? To są ludzie zamożni i poczciwi, jestem pewną że pomocy nie odmówią...

— Niepodobna moja droga, przerwał pan Marcin, sądziliby że przyjaźń moja dla nich i szacunek pochodzą z interesu. Na to serce moje nie pozwala...

— Nie, to co innego, nie serce, odezwała się żona.

— A cóżby innego?

— To pycha niewłaściwa. Prożba bowiem upokarza, ale nie w każdym razie, i w razach takich jak nasze położenie, jest nawet obowiązkową.

— Bywa tak czasami, ale nie w tym wypadku, szepnął pan Marcin rumieniąc się na samą myśl proszenia jak żebrak z ręką wyciągniętą.

— Owszem mój mężu, właśnie w tym wypadku jest obowiązkową...

— A to jakim sposobem?

— Bardzo prostym, bo gdybyś ty był w położeniu naszych sąsiadów, a oni w twojém, czyżbyś nie miał im za złe, gdyby pomijając ciebie, zrobili to co zamierzasz, co może nas zrujnować na długo.

— No to prawda, ale może oni inni jak ja.

— I to także pycha mój drogi, bo dlaczegoż by mieli być gorszemi od ciebie? Sprobój, przecie na tém nic nie stracisz.

— Dobrze mowisz; masz slusznosć, odrzekł pan Marcin całując serdecznie połowicę, tyś mój skarb prawdziwy, zapomniałem że uczucie godności, może się łatwo w pychę wyrodzić. Pój-

dę i to natychmiast, a jak wrócę bez skutku, to przynajmniéj nie będę miał nic sobie do wyrzucenia.

Do pana Wojciecha, do którego najprzód myślał zajrzyć, jako do najzamożniejszego, droga była nie daleka, tylko przez łąkę co odgradzała oba folwarki od siebie. Ścieżką więc wydeptaną pomiędzy bujną trawą, prędko ją przebył, ale w miarę zbliżania się do ogrodzenia, opuszczała go odwaga i kto wié czyby nie zwrócił się z powrotem do domu, gdyby nie głos witający pana Wojciecha, zajętego jakąś pracą w ogrodzie.

— A pana sąsiada, dzień dobry. Cóż to was tak rano do mnie sprowadza?

— Troska panie sąsiedzie, troska; odezwał się pan Marcin, cokolwiek zmięszany tak nagłém i niespodziewaném spotkaniem i mimowolnie idąc z mową za swemi myślami.

— Troska? czy nie jakie nieszczęście?

— Nie Bogu dzięki, ale mogą się zetknąć z sobą jeżeli mnie nie poratujecie.

— No cóż takiego? powiedzcie wszystko bez ogródki.

Ośmielony jakoś pan Marcin przyjazną mową pana Wojciecha wygadał wszystko co mu dolega, a w końcu rzekł:

— Otóż na to wszystko potrzeba mi pieniędzy, bo bez pomocy trudno się będzie wygrzebać. Jeżeli więc możecie, to poratujcie, a w ciągu roku oddam wam z procentem.

Pan Wojciech wysłuchał całéj mowy z największą cierpliwością, przy zakończeniu troszkę spochmurniał, a w końcu zamyślił się i z minutę przynajmniéj nie odrzekł ani słowa. Pan Marcin śledził to wszystko z największą pilnością i aż biédak spocił się jak mysz, co mu tak trudno przyszło wygadać co go boli. Wreszcie odezwał się pan Wojciech:

— Wiecie dobrze panie sąsiedzie, że pieniędzy na procenta nie pożyczam, grosz zaś jaki jest w domu, to na przednówku rozchodzi się jak woda, a w spichlerzu te trochę zapaśnego zboża chowam i strzegę jak oka w głowie, żeby zaraz z nowego nie trzeba było młócić i sprzedawać. Poratowałbym was chętnie, ale nie mam, wybaczcie zatém...

— To was przepraszam, przerwał pan Marcin i żegnając się z pośpiechem, szybko ruszył przez łąkę ku domowi, nie myśląc już nawet o drugim swym sąsiedzie panu Józefie.

Pani Marcinowa ujrzawszy męża milczącego i spochmurzonego, odrazu poznała, że wycieczka męża nie powiodła się. Nic

więc nie mówiąc, ani pytając, zakrzątnęła się około gospodarstwa i dopiéro po chwili zobaczywszy go znacznie uspokojonego, przybliżyła się, i przysuwając mu głowę do piersi rzekła z uczuciem:

— Nie martw się mój jedyny. Bóg nas nie opuści, choć ludzie zapomnieli. Jutro sprzedamy krowy i zastawimy srebra, kiedy inaczéj być nie może. Ograniczemy się we wszelkich



szybko ruszył przez łąkę ku domowi....

wydatkach, porobiémy różne oszczędności, i zobaczysz wszystko będzie dobrze. Największy skarb to zdrowie i ochota do pracy, a tych nam Bóg nie odmówił. Nie martw się więc mój drogi.

Zaczęli przeto narady, rachunki, obliczania, z wydatków jedne umniejszali, drugie usuwali, dosyć że w końcu przyszli do wniosku, iż pomału przy staraniu i mądrym zarządzie, wydobędą się z kłopotów i naprawią szczerbę przez chorobę sprawioną. To ich uspokoiło a nawet tak rozweseliło, że zupełnie prawie zapomnieli

o gnębiącéj ich trosce, oddając się z całą swobodą, wprowadzeniem w życie ułożonego planu.

— Przykro mi jednak, odezwał się pan Marcin, że się tak szkaradnie zawiodłem na człowieku, którego uważałem za tyle dla siebie życzliwego. Widzisz że miałem słuszność utrzymując, iż oni inni odemnie. Do pana Józefa nie zachodziłem, bo i po cóż? To także przyjaciel, ale dopóki nic człowiek nie potrzebuje.

Po południu kiedy oboje państwo Marcinowie zajęci byli wybieraniem łyżek i łyżeczek i owijaniem ich w papiér na jutrzejszą do miasta podróż, otoczeni dziatkami lubiącemi zawsze towarzyszyć zajęciu starszych, nagle drzwi się otworzyły i wszedł pan Wojciech, witając gospodarstwa naszém pobożném:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Potém zatrzymał się w progu i poglądając na zajęcie państwa Marcinów, zapytał:

— Cóż to kochani sąsiedzi, w podróż się jaką wybieracie?

— W podróż panie Wojciechu, do miasta na jutrzejszy jarmark.

— Na jarmark? a to po co?

— Szukać ratunku na nasze kłopoty, odrzekł pan Marcin, troszkę z niecierpliwością, bo go rozgniewało tak nie w porę przybycie Wojciecha.

— Oj! źle panie Marcinie, źle się dzieje na świecie, potrząsając głową odezwał się po chwili pan Wojciech, czy to ludzie tak jak wy robić powinni?

— A cóż ja złego zrobiłem?

— Jakto? nie wiecie zaś?

— Nie wiem mój sąsiedzie, odrzekł pan Marcin ostrym tonem, a przyznam się wam że bawić się w zagadki, nie mam ani głowy ani czasu.

— To więc dobrze jest i uczciwie, mając życzliwość ludzką, stękać, kwękać, martwić się, a nie przyjść do nich o pomoc i ratunek. A przyszedłszy późniéj, czy to uczciwie jest, obiecywać im procenta, jak jakim lichwiarzom? Uczciwy człowiek jak go przygniecie biéda, to śmiało do przyjaciół iść powinien i nie wdając się w żadne faramuszki i długie wywody, po prostu powinien powiedzieć: daj, bo mi potrzeba. A wy jak zrobiliście? Gryźliście się, mordowali w domu, ale do ludzi, broń Boże; żeby nie ugiąć karku. Potém kiedy was kłopoty zmogły i przyszliście do mnie, to ledwoście wybąkali co was gniecie, a potém zakoń-

czyliście procentem. Warci byliście więc kary równéj waszemu przewinieniu, a kiedy was duma bodła i zamykała usta w prożbie do mnie jednego, pomoc więc odbierzcie, ale aż od pięciu waszych sąsiadów, żeby wam przytrzéć trochę rogów. Otóż właśnie wjechał wóz z owsem i z żytem, pięć par koni poszło z pługami i radłami na wasze pole i za dwa dni skończy się uprawa. Tu macie na podatek a tu na wydatki różne domowe, z nowego zaś oddacie co będziecie mogli, a zaręczam wam że nikt nie przyszle egzekucyi, ani o procent się nie dopomni.

Pan Marcin słuchając tego był jak oniemiały. Na podwórzu stał wóz ze zbożem, na stole leżały piéniądze; przekonawszy się wreszcie że to nie złudzenie, wyciągnął ręce do Wojciecha, chodzącego z pewnym dąsem po pokoju i rzucając mu się na szyję, mówił z rozrzewnieniem:

— Przebacz, przebacz sąsiedzie! zgrzeszyłem, ale czyż mogłem się spodziewać takiego z waszéj strony współczucia?

— Jakto? czyż nie macie prawdziwéj przyjaźni między ludźmi? Czyż my się szanujemy po wielkoświatowemu? odezwał się na to Wojciech. Jeszcze mój sąsiedzie poczciwość na ziemi nie zginęła i dla tego poczciwy i pracowity, może się zawsze spodziewać pomocy i współczucia. Was wszyscy kochają, szanują i poważają, jak więc tylko rzekłem słowo, każdy zaraz chętnie pospieszył z pomocą, bo wiedział że ta dostanie się w poczciwe ręce, że nie pojdzie na marność, wyratuje człowieka z biédy i że Bóg ucieszy się z tego i nagrodzi. Za to zaś żeście nam nie ufali, za karę wszystko weźmiecie bez żadnego skryptu i po troszeczku choćby po garncu i po groszu zwrócicie. Zgoda?

Poczciwi ludziska uściskali się jeszcze raz serdecznie, nawet popłakali, a gdy wzruszenie minęło, rzekł pan Marcin:

— Pieniądz potrzebny na świecie, ale największe skarby, to wiara w Opatrzność, dobra i rozsądna żona,...

— I przyjaźń ludzka, dołożył Wojciech; to są skarby, które każdy miéć może, a mało kto posiada, bo ludzie patrzą, wyszczerzają oczy, a daléj nosa nie widzą. Bogactwo nie od pieniędzy zależy, tylko od mądrego piénędzmi obrządzania się. Znam według sądu ludzkiego bogaczów, co naprawdę są nędzarzami wiecznie zakłopotanemi, bo mają sto a wydają trzysta, rujnując się i dręcząc, że tysiąca nie mają do szastania. Znam znów biédaków, co mając pięć, cztéry wydają a jeden chowają. To kto tu nędzarz rzeczywisty, a kto prawdziwy bogacz? Rozumne ha-

mowanie zachciéwek, to więcéj znaczy jak milijony: dobra żona to tyle co zdrowie, a przyjaźń ludzi to skarb niewyczerpany. Wszystko to koronuje wiara w Opatrzność, a kto w taką strojny koronę,

To śmiało rzec może: mam obrońcę Boga,
Nie dotknie mnie nigdy żadna ziemska trwoga.

Janek z Bielca.

DO KUKUŁKI.

Kukułeczko moja siwa,
Gdzie ty lecisz, gdzie?
Kiedy burza dąb wyrywa,
Olch konary gnie!
Nie lecieć wam drobne ptaszki
Z gniazda w słotny czas,
O! bo wicher dla igraszki,
Może unieść was.
Po nad obłok unieść blady,
Kędy wieje chłód:
Kędy srogie wichry, grady,
Krew wam zetną w lód.
Niech się orzeł bije z chmurą,
Może walczyć on:
Bo ma w skrzydle lotne pióro,
Bo ma krwawy szpon.
Ty kukułko, na kalinie,
W cichym gniazdku siedź:
A gdy burza i grom minie,
W jasne niebo leć!
Tak ostrzegał orzeł stary,
Trzepiąc rosę z piór:
Lecz ptaszyna pełna wiary,
Porze tuman chmur.

I niebaczna, w górę leci,
Nie lęka się fal:
Ani gromu, ni zamieci,
Tylko pędzi w dal!
Słonko błysło znów w dolinie,
Wonny powiew tchnie:
Ale w gniazdku na kalinie,
Niemasz ptaszki, nie.
Tylko wietrzyk krążąc kołem,
Igrał z resztą chmur,
I porzucił przed sokołem,
Kilka siwych piór!

Seweryna z Żochowskich D.

WIECZÓR W KUŹNI.

W małém mieście kuźnia stała,
I chałupka przy niéj mała,
A w niéj kowal wśród czeladzi,
Jako majster rej prowadzi.
Równo z świtem już miech buczy,
Stary kowal czeladź uczy,
Jak wygrzéwać i hartować,
Jak nastalać i wykować.
Oj! kowalska ciężka praca
Ale za to i popłaca:
Boć to kowal do wszystkiego,
I do tego i owego.
Czy to przyjdzie pług nastalić,
Czy podkowę młotem zwalić,
Wykuć pancerz lub szablicę,
Choćby nawet i rusznicę.

Dla kowala nie zagadka,
Wnet wywiąże jakby z płatka
I każdemu w duch usłuży,
Doma, wojnie lub w podróży.
Zawsze o ogniem i żelazem,
Z młotem w ręku raz za razem,
Po kowadle w takt przygrywa,
I junacką piosnkę śpiéwa.
A jak słońce zejdzie z nieba,
To kowalom spocząć trzeba,
Wtedy majster czeladź bierze,
Do swéj chaty na wieczerzę.
Po wieczerzy, jak to starzy,
Stary kowal z młodzią gwarzy,
Czeladź słucha, bakuń pali,
Dawne czasy majster chwali.
—Inak u nas dawniéj było,
Co się żyło, to się żyło,
Dzisiaj wszystko na wspak idzie,
Nie dopatrzéć końca biédzie.
Za podkowę talar bity,
To zarobek wyśmienity,
Bo téż to za króla Sasa,
Było złota aż do pasa.
Dobrze wam o wszystkiém wiedziéć,
Więc wam muszę opowiedziéć,
Zajście króla i kowala,
Bo swój swego rad wychwala.
Król polując w swych dąbrowach,
Gdy chciał wracać już po łowach,
W róg zatrąbił raz i drugi,
Na swe strzelce, na swe sługi.
Ruszył z miejsca w czwał dwór cały,
Wielki przepych, okazały,
Boć przy królu i hetmany,
I rycerstwo, radne pany.
Tak jechali kawał spory,
Wiodąc z sobą rozhowory,
Jak się komu poszczęściło,
Co zwierzyny się ubiło.

Wtém gdy minął już dąbrowę,
Król się wstrzymał, bo podkowę
Rumak zgubił. Aż tu zdala,
Słyszy ciężki młot kowala.
Więc do kuźni wnet przybędzie,
I co rychléj z konia zsiędzie,
Do kowala tak wyrzecze:
—Za podkowę talar człecze.
Kowal węgla wnet dołoży,
Miecha zadmie, ognia sporzy,
I żelazo w mig rozpali,
Po gorącém młotem wali.
Przez *Ojcze nasz* już podkowa,
Do podkucia jest gotowa;
Wtém król chwyci w silne ramię
I podkowę w dwoje złamie.
—Ot! nic potém, kuj na nowo.
Kowal kuje kręci głową,
I ramienia nie żałuje;
Co wykuje to król psuje.
Kowal na kieł wziął u licha,
Młotem wali, modli z cicha,
I udało się tą razą:
Król był słabszy niż żelazo.
Więc talarka sam król poda:
—Taka, rzeknie, była zgoda.
Na to powié kowal stary,
Łamiąc talar: —Złe talary.
Co król poda, to on złamie,
Król pomyśli, silne ramie!
Chwat z waszeci, w głos wykrzyknie,
Konia zepnie, z oczów zniknie.
Tak król zwan podkowołomca (*)
Bisurmanów on pogromca,
Co panował narodowi,
Nie dotrzymał kowalowi.

(*) Król August II-gi, Sas, znany powszechnie ze swéj nadzwyczajnéj siły.

Więc czmychnąwszy w ciężkiéj dobie,
Król pomyślał tak sam sobie:
—Jeden Bóg nas wszystkich stwarza,
Tak kowala jak mocarza.
Za talarów pełny korzec,
Kupił kowal piękny dworzec,
I w kolasce z wielką pychą,
Jeździł sobie z kowalichą....
Jak bywało, wiedzą nieba,
Lecz już północ, spocząć trzeba,
A jak jutra doczekamy,
To znów sobie pogadamy.

Józef Jakubowicz.

TO NIEPRZELEWKI!

Obrazek wiejski.

W jednym z zakątków naszéj pięknéj i kochanéj ziemi, po nad krętym strumieniem, przerzynającym bujne łąki i pastwiska, leżała osada wiejska, złożona z dziesięciu gospodarstw włókowych, których urodzajność roli słynęła w całéj okolicy. Powiadano że dawniéj było dwunastu gospodarzy, ale nazywany przez wszystkich pan Ernest, najprzód nabył jedno zniszczone i opustoszałe, a potém dwa inne dokupił, dawnych zaś gospodarzy wziął do siebie na parobków, i tym sposobem utworzył wcale ładny folwarczek. Zdaleka, jak tylko z lasu wyjechawszy otworzył się widok na osadę, zwaną Wola kawcza, najpierw zabudowania pana Ernesta wpadały w oczy. Bo téż było czemu się przyjrzéć, zwłaszcza spojrzawszy na inne, które omszałe i poczerniałe, chyliły się to w prawo to w lewo, trzymając się jednak kupy i nie świecąc dziurami.

Folwarczek zaś pana Ernesta, wyglądał jakby wyszedł dopiéro co z pod igły, a chociaż znać było że składające go budynki nie dziś wystawiono, jednak wszystko w nich tak było czysto i starannie utrzymane, taki wszędzie panował porządek i pieczołowitość gospodarska, że przyglądając się temu ślicznemu wewnętrznemu urządzeniu, aż się dusza radowała i oczy prawie same uśmiechały.

Domek samego pana Ernesta stał na podmurowaniu, otaczał go sad owocowy, a chociaż z młodocianemi drzewami, przynosił już piękny dochód, a nadewszystko wygodę i przyjemność, które zrozumié każdy, kto tylko wié jak smaczną i zdrową jest dojrzała gruszka, lub jabłko, albo soczysta wiśnia lub śliwka. Przed domkiem od frontu znajdował się drugi ogródek kwiatowy; co prawda, nie barwił się bardzo szczególnemi roślinami, ale pełen róż, rezedy, konwalij i pełnych rozłożystych georginij, zachwycając oczy, cudowną woń roznosił do koła. Odgradzał go od podwórza płot z żerdzi ułożony, cały zarośnięty dziką latoroślą winną, tuż przy którym ciągnęła się ściana bzu tureckiego, zawsze z wiosny obsypana pachnącym kwieciem. Był to wydział córki pana Ernesta, ładnéj i młodziutkiéj Basi, którym wyłącznie rządziła wielowładnie, wyręczając przytém matkę w domowém gospodarstwie i pomagając w pracy właściwéj kobietom. W samym końcu owocowego sadu, mieściła się pasieka z kilkoma dziesiątkami ulów, brzęcząca rojami pszczół pracowitych, a za nią błyszczały wody niewielkiéj sadzawki, pluszczącéj jednak ślicznemi okoniami i karasiami, i łączącéj się z dwóch stron kanałami tak urządzonemi, że przypływ i odpływ jak najwyborniéj się niemi dokonywał.

Sam zaś domek był niewielki, ale wygodnie urządzony i tak czysto i starannie utrzymywany, tak w nim wszystko było świéże, całe i porządne, że wszedłszy do środka, zdawało się iż znalazłeś się niespodzianie w dworcu jakiego pana, a nie właściciela trzechwłókowego folwarczku. Był tam nawet salonik z ufroterowaną podłogą, z firaneczkami przy oknach i z fortepijanem jesionowym, który co wieczór brzmiał miłemi tonami grającéj na nim matki i córki, lub téż służył do wtóru gdy pan Ernest razem z Basią i synem Fryderykiem złożył chór, zawodząc jaką pieśń poważną lub żartobliwą.

Gdybyśmy przeszli dla dopełnienia opisu, do stodół, stajni obór i chlewów, to byśmy także podziwiali prześliczne mleczne

krowy, silne dobrze utrzymane konie, roje nieprzeliczone rozmaitego drobiu i nierogaciznę, która przy mleczném gospodarstwie, utrzymywana z niewielkim kosztem, wielkie jednak przynosić może korzyści. Ale i bez szczegółowego opatrzenia, łatwo się domyślić, że w gospodarstwie zalecającém się w domu takim porządkiem i starannością, i po za domem i w łąkach i w roli, i w budynkach i w inwentarzu, równy ład i mądry zarząd musi panować.

Folwark a raczéj zabudowania jego, mieściły się na lekkiém wzniesieniu, że zdawały się królować innym dziewięciu osadom, w pośród których jedynie wyróżniała się duża zajezdna karczma gontem kryta. Dla lepszego zatém widoku, na malutkim pagórku w sadzie znajdującym się, pan Ernest wybudował małą altankę z prostych desek, obrośniętą winną latoroślą, która otworem zwrócona ku polom, pozwalała przyglądać się prześlicznemu krajobrazowi, jaki się daleko na prawo i lewo rozciągał. Było to miejsce ulubione syna Fryderyka, w którém zwykle uczył się i czytał, jak tylko uspokoił się z gospodarstwem rolném wewnętrzném, wyłącznie pod jego dozorem będącém.

Było to po południu, w saméj polowie czasu jaki upływa do wieczora. Czerwiec właśnie się kończył, słońce więc porządnie dogrzéwało. Pola okryte różnéj barwy zbożem, falowały dojrzewającemi kłosami, płynącemi za powiewem wiatru i znowu siłą własną wracającemi do równowagi. Skowronki radośnym świegoleniem, przerzynały chóry różnych ptaszyn: jaskułki szybowały uganiając się za muszkami, z pastwiska dochodziły smętne głosy ryczącego bydła, a z łąk rozchodziły się wesołe pieśni grabiących siano, ginące w gąszczu poblizkiego lasu. Fryderyk siedział w altanie przy stoliku, zajęty pilném czytaniem i robieniem stosownych wyciągów. Był to młodzieniec siedmnastoletni, dobréj budowy, zdrów jak ryba, z owym cudownym wdziękiem młodości, co jak śliczny kwiatek dziwi i nęci zarazem. Nad wypukłém myślącém czołem, wznosił się las gęstych ciemno - bląd włosów, a chociaż obraz na jaki altanka dawała widok, mógł pociągnąć do siebie choćby najzimniejsze serce, jednak młodzieniec najmniejszego na niego nie dawał baczenia, tonąc myślami w kartach naukowéj książki. Przy nim leżał kasztanowaty wyżeł z mordą opartą na wyciągniętéj nodze, i drzémał kręcąc uszami, ile razy natrętna mucha chciała na nich przysiąść. Wtém nagle podniósł głowę i warkiem cichym zwiastował obcego przybysza.

— Leżéć Bekas! zawołał Fryderyk, ale w téj chwili powstał zobaczywszy wchodzącego do siebie ojca.

Był to człowiek blizko pięćdziesiątletni, ale krzepki i pełen życia. Widać że wracał z pola, bo czoło okryte było kroplami potu i buty po kolana zapylone.

— Co to za książka, co nią tak pilnie jesteś zajęty? zapytał syna siadając na ławeczce.

— O krowach, ich mleczności i sposobie utrzymania, odrzekł syn, dzieło niezmiernie nauczające, robię też z niego wyciągi, bo wiele rzeczy da się z nich w naszéj oborze z pożytkiem zastosować i wprowadzić.

— I jakież to? powiedz mi moje dziecko.

Fryderyk obszernie zaczął się rozwodzić nad wywodami naukowemi uczonego agronoma, nad wnioskami ztąd wyprowadzonemi, popartemi albo doświadczeniem, albo bardzo podobnemi przypuszczeniami. Ojciec słuchał, czasami przytoczył własne zdanie, dowodząc niém i znajomości naukowéj i skrzętności w zbieraniu spostrzeżeń własnych, a gdy przedmiot został prawie wyczerpany i ułożono plan zastosowania rad autora, ojciec rzekł po chwili:

— Ucz się mój synu, bo nauka to potęga co cały świat władzy swéj poddaje. Człowiek rozumem jaki mu dała Opatrzność, panuje nad wszystkiemi stworzeniami, a nawet najdziksze bestye co by go mogły zdruzgotać jedném szturchnięciem nogi, uciekają przed nim z przestrachem. Nauką zaś panuje nad głupcami i broni się nią przed złością i niegodziwością ludzką. Moje życie może być tego najlepszym dowodem.

Jakkolwiek od młodego wieku czułem szczególne powołanie do nauki, ale okoliczności zmusiły mnie poświęcić się zegarmistrzowstwu. Mimo tego czytałem i uczyłem się jak tylko mogłem najwięcéj, szczególniejsze okazując zamiłowanie do gospodarstwa wiejskiego. Ale o nim nawet marzyć nie mogłem, a do służby prywatnéj, przenikał mnie wstręt nieprzezwyciężony. Kiedym się w zegarmistrzostwie usposobił, w rodzinném miasteczku zarobek był bardzo mały, trzeba się więc było rzucić w obce strony. W tę zatém okolicę najpiérwéj ruszyłem.

Początki były przykre i trudne, jak zwykle wszystkie początki na świecie. Patrząc na moje lat ośmnaście, na wytarty surducik, połatane spodnie i buty, i na mały tłomoczek z bielizną i narzędziami, każdy poruszał tylko ramionami, nie chcąc wierzyć

abym mógł powierzoną robotę dobrze wykończyć. Nie zrażałem się tém jednak, stukałem, chodziłem, prosiłem, aż wreszcie udało mi się pokonać uprzedzenie. Jedna, druga robota, wykonana dobrze, szybko i uczciwie, dała mi rozgłos, rozchwytywano mnie więc po całéj okolicy, bo zegarów było dosyć, a tylko jeden jakiś partacz w miasteczku, więcéj psujący jak naprawiający.

Po cztérech latach pracy mozolnéj, nie przerywanéj nigdy żadną bałamutką, coraz więcéj rozszerzając zakres swoich znajomości, przypadkiem zawędrowałem do tutejszego propinatora, i cokolwiek na zdrowiu zaniemogłem. W okolicy gwałt się zrobił, i jak mnie wreszcie wyśledzono, zarzucono robotą, bo każdy wierzył żem zdolny rzemieślnik i uczciwy człowiek, i bez obawy powierzał mi choćby najdroższy zegarek. Mimowoli więc osiedliłem się w téj austeryi, a że przez to czasu niezmiernie mi wiele przybyło, zarobek się więc powiększył, i woreczek uciułanym już poprzednio groszem pęczniał co miesiąc, przybierając kształt coraz okazalszy. I znowu zbiegło lat cztéry, miałem zatem lat dwadzieścia sześć, kiedym się ożenił z waszą matką, córką nauczyciela obcych języków, jedynaczką. Wtenczas zmuszony pomyśléć o własnym kącie, a korzystając z blizkości miasteczka, i z łatwości nabycia jednéj włókowéj kolonii, kupiłem ją i wtedy sprowadziłem dwóch pomocników, a sam poświęciłem się głównie tyle przezemnie upragnionéj gospodarce.

Oj! ciężkie to były chwile, dzień i noc praca i praca. Nie hultaiło się ani świętowało, niedojadło się i niedospało, byłem razem panem i najostatniejszym parobkiem, zaczytanym badaczem i prostą dziewką, wychudłem, zmizerniałem, chuchałem i oszczędzałem; śmiano się nawet ze mnie nazywając chciwcem, alem nic na to nie zważał, pracowałem bez wytchnienia i odpoczynku, i trud, mozół widzisz jak pięknym wypłaciły mi się plonem. Dziś mam folwark trzywłókowy, urządzony jak pieścidełko, i mogę w nim z całą swobodą, po dwudziestoletniéj mozolnéj pracy odetchnąć. A wszystko zrobiła nauka, któréj się niezmiernie poświęciłem: praca niczém nieznużona, żelazna wytrwałość, oszczędność i wiara we własne siły, którym w dobrym obracanym kierunku, Bóg zawsze błogosławi. Wszystko to moje dziecko przejdzie w twoje ręce, bo dla Basi musiemy zebrać tyle grosza, żeby wyrównać nim wartość choćby połowy folwarku, którego połowę jednę weźmiesz ty, druga przy mnie zostanie aż do śmierci, a potém podzielicie się nią i ty siostrę spłacisz. Ale to nie

dosyć. Ja z gołemi rękami przyszedłem i dorobiłem się mienia, ty więc mając to mienie, powinieneś go dziesięć razy powiększyć....

— Jakim sposobem mój ojcze?

— Głową, rozumem, odrzekł ojciec i wpatrzył się w piękną okolicę, złocącą się promieniami słońca.

Po chwili odezwał się:

— Widzisz te prześliczne działy, należące do naszych sąsiadów? Jest ich dziewięć jeszcze, a wszystkie w ziemi cudownie urodzajnéj. Przyłącz je do naszego folwarku, a krociowéj fortuny staniesz się panem, i ta cała gawiedź co cię dziś sąsiadem nazywa, będzie ci czapkować i parobkować.

— Piękne to ojcze, ale zawsze marzenie a nie rzeczywistość.

— Marzenie? a to dla czego?

— Dlatego że każdy z tych gospodarzy, trzyma się roli rękami i nogami, i przedać jéj za żadne pieniądze nie zechce....

— Być może że nie zechce, odrzekł ojciec, ale będzie musiał. Chaty te jak widzisz, pochylone, poczerniałe, to gniazda próżniaków i głupców. Na świecie wszystko się zmienia, podnosi w cenie i rozumie, tylko u nich zawsze jedno, jak było za ojca, dziada i pradziada. To samo nieuctwo i lenistwo, ta sama niedbałość i ta sama chętka do hulanki i bałamutki jak dawniéj. Niedbając o swe dzieci, chowają je w równéj sobie ciemnocie, więc złe iść będzie pokoleniem z ojców na synów. Niegdyś, broniła ich opieka i zasłaniała, dziś sami sobie muszą we wszystkiem wystarczyć. Jak więc przyjdzie zapłacić stałe należytości, które nigdy się nie będą zmniejszać tylko powiększać, wynagrodzić najemnika co rok droższego, za każdą rzecz kupioną zapłacić drożéj jak niegdyś, tu na opędzenie się przed napaścią, tam na zasłonięcie przed oszukaństwem, tu dać się skubnąć, tam okpić, a tam oszukać, tak w końcu musi braknąć: zaczną się pożyczki, prowizye, nadstawiania, łatania, a w końcu maszerunek w świat, z kijem w ręku i torbą przez plecy. Gdyby się starali o naukę, toby gospodarstwo polepszali, dochód by przyrastał, a głowy mądrzały i umiałyby się bronić przed napaścią i chciwością złych ludzi. Ale tak jak dziś, musi iść wszystko w ruinę, i choć niby trzyma się i błyszczy, to tylko pozornie, jak ich budynki, które na oko zdają się jako tako, a dadzą się dłubać paznokciem, co tak w środku spróchniałe i zjedzone przez robactwo...

— Wszystko to prawda mój ojcze, odezwał się Fryderyk, ale oni pomiarkują się....

Nagle na wsi rozległy się śpiewy skoczne i wesołe pokrzyki taneczne. Z najbliższéj chałupy zaczęła się wysypywać gromada mężczyzn w świątecznych ubraniach, kobiet z dziećmi na rękach i z pouczepianemi przy spódnicach, i wszyscy kotłując się między sobą, taczając, popychając, rozprawiając głośno jak między głuchemi i wrzeszcząc jak opętani, posuwali się wolno przez błonie, zapewne ku karczmie. Ernest spojrzał, nadsłuchał i wskazując ręką na tłoczącą się gromadę, rzekł:

— Powiadasz że się pomiarkują? Widzisz ich pomiarkowanie. Dawniéj tylko w święto takich wybryków pozwalano sobie, dziś rzadki dzień powszedni, dzień choćby największéj roboty, żeby nie słyszéć tych okrzyków pijackiéj wesołości. Nie jeden ostatkami goni, nie jeden nawet zapożyczył się, aby tylko zabawy nie opuścić, a nie ma ani jednego pomiędzy niemi, co by pomyślał co to będzie jutro lub pojutrze, co się stanie z jego dziećmi, kiedy biéda zajrzy do chałupy i jak wygna z niéj gospodarza?

— I to prawda mój ojcze, ale jednak nie wszędzie się tak dzieje.

— Ja téż mówię o naszéj Woli i o innych wsiach podobnych. Gdzie inaczéj postępują, tam Bóg z niemi i niech im Bóg we wszystkiém błogosławi. Ale u nas w Woli w czém się co zmieniło? Czy w polu, czy w oborze? Nigdzie moje dziecko. W oborze bydło licho karmione, nie przysparza ani mierzwy dobréj, ani mléka. Gnojowiska zaniedbane, woda dészczowa wypłukuje z nich najpożyteczniejsze cząsteczki, słońce pali a wiatr suszy. Pole dostawszy lichy nawóz i lichszą jeszcze papraninę, co oni nazywają uprawą, więcéj rodzi chwastów jak zboża. Dochód więc stoi w mierze, a w złe lata znacznie się nawet umniejsza, wydatek zaś powiększa drożyzną corocznie wzmagającą się, próżniactwem przez które pozbawiają się wszelkiego zarobku i hulanką, która także wiele kosztuje. U mnie jedna krowa więcéj warta jak ich dziesięć, jeden zagon lepiéj plonuje jak ich dwadzieścia, bo ja przemyśliwałem dzień i noc, czytałem, uczyłem się, próbowałem, zmieniałem, aż doszedłem do tego, że więcéj mam z trzech włók dochodu, jak oni z dziewięciu a nawet dwa razy tyle. Bez nauki nigdy do tego nie dojdzie, a oni czy się uczą? Czy pomyślą choć o nauce swoich dzieci, kiedy sami są ciemni? Gdyby patrzyli jak ja gospodaruję, gdyby się mnie radzili i wypełniali udzielane rady, gdyby przedewszystkiem sześć dni pracowali jak Bóg przykazał, a siódmego modlili się

i bawili, to przysparzali by mienia i zyskiwali by grosz na naukę dzieci. Szłoby więc wszystko naprzód, rosło, wzmagałoby się, ale oni o tém nie pomyślą, i wolą zabawkę jak pracę, ciemnotę niż rozum, i idą téż do przepaści, ciągnąc za sobą niewinne dziatki. Rozum zaś i nauka płyną jak woda, co zalewa wszystko nie chcące z nią płynąć. Oni nie płyną, nie gonią za nauką, tylko z uporem stoją w miejscu, to téż popłyną ale na dno, a u wierzchu zostaną ci co z nauką zostają w braterstwie i garną się do niéj wszystkiemi siłami. Jak więc ta powódź zbliży się i zacznie zalewać naszych sąsiadów gospodarzy, pamiętaj tych pól, tych łąk nie wypuszczać z ręki, i czego ja nie przyłączę, to ty pamiętaj to zrobić. Bo że oni skapieją pomału, po jednemu, to wierz mnie staremu. W ciągu lat dwudziestu jak tu mieszkam, druga Wola za lasem z sześciu gospodarzy złożona, zmieniła się na jeden folwark, z naszéj zaś Woli już trzech puściło z wiatrem swoje gospodarstwa i ja je objąłem, nie szachrajstwem, nie podstępem, chociaż przybyłem tu z gołemi rękami, tylko rozumem, niezmordowaną pracą i oszczędnością. Byli to najubożsi, służyli u mnie potém za parobków; ci co zostali, byli zasobniejsi więc jeszcze się trzymają, ale już gonią ostatkami, bo próżniactwa i głupstwa zawsze taki koniec. Dwóch z nich nie przeciągnie już roku, siedmiu zaś w ciągu pięciu lat najdaléj wylecą także; bacz więc na to, pracuj i ucz się, bo ziemia piękna a dla nas więcéj warta jak dla obcego przybysza.

— Czy i Florka taki sam los czeka mój ojcze? On chociaż ciemny i prosty, ale pracowity i oszczędny, syna kazał uczyć i teraz ciągle do nas go przysyła na naukę....

— Prawda, zapomniałem o Florku, odrzekł na to Ernest, on utrzyma się, bo dla starszych na dziś praca i oszczędność, tyle przynajmniéj zrobią, że dozwolą gospodarstwa zostawić dzieciom, ale młodzi zostawszy gospodarzami, już samą pracą i oszczędnością nie obronią się jeżeli nauki stosownéj nie będą mieli. Jeżeli zatém Florek uczy się i będzie miał zdatność po temu, to tylko z niego jednego mieć będziemy sąsiada, bo reszta pójdzie na grzyby, albo w służbę do nas za parobków.

— Toś mnie ojcze pocieszył Florkiem, bo to bardzo zacny człowiek i szanuję go bardzo, choć prosty i nieuczony człowiek. Syn zaś jego Jaś, to dzielny chłopak, uczy się z ogromną ochotą rano ze mną, a po południu przy Basi.

— I mnie to cieszy, bo ja krzywdy niczyjéj nie pragnę, ani

nie dybię na niczyją własność, ale gdy kto o nią niedba, kto sam mienie ojczyste roztrwania, kto rad i napomnień nie słucha i pędzi do ruiny, to dlaczegóż nie mam wziąć w swoje ręce tego, co drugi nie szanował? Niedbalec taki jest wielkiem złem między ludźmi, bo i sam nic z siebie ludziom nie przynosi, i ziemia którą posiada więcéj daje chwastu jak zboża. Gdyby wszyscy tak robili w całym naszym kraju, ludzie marli by z głodu, bo ust do jedzenia ciągle przybywa a nie ubywa, więc trzeba się starać, aby ziemia coraz lepiéj plonowała, bydło poprawiało się. Jak zaś na świecie, w miarę powiększania się ludności, zwierz dziki ustępuje przed człowiekiem, czyli przed jego rozumem, tak znowu między ludźmi, głupi musi ustępować przed mędrszym od siebie, bo inaczéj nędza świat cały by opanowała, a tego i Bóg nie chce i człowiek ma obowiązek żeby się bronił od nędzy.

Kiedy tak rozmawiał ojciec z synem, gromada ludzi co z taką wesołością wyszła z chałupy, z jednaką wrzawą posuwała się przez błonie, przystając, gawędząc, przyśpiewując, zwyczajnie jak to bywa między oszołomionemi trunkiem. Czasami jaki taki zatoczył się, i tracąc równowagę padał na ziemię jak długi. Gramoląc się znowu do powstania, chwytał drugich za nogi, kamizelę lub sukmanę, i albo przewracał albo najczęściéj wyrywał spódnicę z fałdów, lub rozdzierał z małych robiąc duże dziury. Ztąd powstawały wymówki, swary, gniewanie, kończące się jakiém bezbożném zaklęciem. Kobiety cokolwiek trzeźwiejsze, niosły czapki i kapoty mężów, a ci z rozczochranemi łbami, przyśpiewując, przykucając, tłukli nogami o ziemię jak w tańcu i podnosząc rąk do góry, przeciągłym głosem wydawali wrzaskliwy, piszczący okrzyk, niby to z wesołości, ale bardzo przypominający głos jakiegoś dzikiego zwierza.

— Kumie! kumie! wrzasnął jeden z gromady, wy to mnie nie kochacie, jak Boga kocham.

— A któż to wam powiedział?

— Ba! ja wiem, bo kiedy do was przypiłem, to wyście pogardzili...

— Nie bajcie, przecie przy swoim jestem rozumie, nie w opiciu, to wiem jak kogo uczcić.

— I ja nie w upiciu... i ja przy swoim rozumie... to pocóż mi przymawiacie...?

— Nie bałamućcie kumie, nie bałamućcie...

— Ale czego mi przymawiacie? wrzasnął już głośniéj Bartło-

miej, czego mi zadajecie bałamuctwo? hę? i mówiący zatrzymał kuma, szarpiąc go za rękaw od koszuli, że aż rozdarła się z głośnym trzaskiem.

— Czyście oszaleli, czy co? czy to złodziejskie na mnie szmaty? zawołał z gniewem napadnięty, cokolwiek trzeźwiejszy od Bartłomieja.

— Co ja złodziéj? wrzasnął pijany napastnik i nie czekając odpowiedzi, odwinął rękę i tak silnie chlapnął kuma w twarz, że obadwa z zadartemi nogami padli na ziemię.

— A to mi dał chleba! wrzasnął kum łapiąc się za prawy policzek.

— Aj! wrzasnął drugi, uderzywszy się tyłem głowy o kamień.

— Dobrze ci pijaku, odezwała się żona, starając się dźwignąć męża na nogi, teraz powinno ci we łbie dobrze zakręcić, kiedyś nim stuknął jak młotem w kowadło.

— Oj! kręci, kręci, mruczał Bartłomiej, a w ślepiach tak mroczy, że nic nie widzę jak na oślepienie.

— A po cóżeś kuma uderzył?

— Albo to ja? to on.... przecie jestem przy pamięci....

— Ja jego nauczę, wrzeszczał tymczasem kum trzeźwiejszy, gramoląc się także przy pomocy żony do powstania, wara jemu do mego pyska... a to pijak! a to obszarpaniec!

— Tylko przezywki schowajcie dla siebie, odezwała się żona, gdy druga zaraz dodała:

— Schować albo nie schować, bo co prawda to nie grzech. Chodzicie jak dziady a żyjecie tylko gorzałką....

— Moja bogaczka! patrzajcie no ją jaka wielmożna pani, przerwała druga pokręcając głową z przekąsem.

— Nie mierzyliście ani rachowaliście mego bogactwa, ale wasze dziury to każdemu włażą w oczy.

— To niech włażą a wam zasię!

— I wam zasię.

I obie kobiety stanąwszy naprzeciw siebie, przytupując, trzymając się pod boki, wrzeszczały jak opętane: zasię! zasię! dogryzając przytém jedna drugiéj, różnemi obelżywemi przygryzkami. Przez ten czas oba przewróceni powstali, i kum z policzkiem zasinionym, tak się rzucił ostro na Bartłomieja, że znowu oba rymnęli z łomotem, podobnym do huku padającego hojaka w lesie pod cięciem siekiery. Wprawdzie nie było im to na zdrowie, ale uśmierzyło kłótnię między kobietami, które po za sobą usłyszaw-

szy rumot, pobiegły na ratunek bijących się mężów. Ci leżeli tuż przy sobie machając rękami i nogami, aż wreszcie kum trzeźwiejszy dorwał się ramienia Bartkowego, i wgramoliwszy się na niego, zaczął młócić po twarzy z jednéj i z drugiéj strony, że się klaskanie rozlegało zupełnie jak kiedy kto szukając kogo, uderza ręka w rękę.

— Marysiu ratuj! wrzasnął bity, bo mi zęby wszystkie powybija.

— Ja nie po zębach biję, tylko po mordzie, odezwał się kum i znowu klasnęło kilka razy.

— Złaźcie! wrzasnęła Marysia przyskakując do bijącego, a widząc że na to nie zważa, tylko się na nowo zamierza, porwała go z tyłu za włosy i tak silnie pociągnęła, że aż z bolu beknął jak baran, kiedy go drugi rogiem kolnie.

— Co wy męża mego krzywdzicie! a wy ladaco, opoje, nicponie, zawołała druga, i rozpoczęło się wyrywanie rąk, popychanie, przeklinanie, coraz większe zelżywanie i gniewanie, tak że wkrótce zrobiła się kupa ludzi, szamoczących się i mordujących wzajemnie.

I kto wié coby się z tego stało, czyby najpijańszy na samym znajdujący się spodzie, nie został wreszcie uduszony, gdyby nie reszta towarzystwa, która zobaczywszy co się dzieje, nie była pospieszyła w pomoc bijącym. Rozdział prędko nastąpił, twarze u obydwóch były sine jak wątroba, w ręku jednéj kobiéty powiéwał kosmyk wyrwanych włosów, u drugiéj chustka z czepkiem zdarta z głowy, a gdy u obu języki latały jak pytle, mężowie wyciągali pięście ku sobie i mamrotali przeklinając, że aż włosy stawały na głowie.

— Kumeczki, dajcie pokój, zawołała jedna z kobiet godzących, ja wam pokażę jak się to tańczy po francuzku. Tomaszu, stańcie no naprzeciw.

— A wam co w głowie?

— Nie bałamućcie, tylko stańcie.

— Czyście sfiksowali, czy co?

— O! już mi drugi raz zadajecie fiksowanie, pamiętajcie więc miarkować się...

— Co mam miarkować się, kiedy fiksujecie to trudno.

— Żeby was ogroziło...

— Żeby was pokoślawiło....

— A wy co myślicie?

— A wy co? hę?

I jak kura broniąca piskląt, kobiéta przyskoczyła do Tomasza wywijając mu pięścią tuż przy samym nosie.

— Dajta pokój! ot lepiéj pójdźmy do Florka, odezwał się jeden z gospodarzy, to go zabierzemy z sobą: nie chciał iść na chrzciny, to niech do karczmy z nami pójdzie.

— Dobrze mówicie! dobrze mówicie! odezwała się reszta gromady i dwóch młodszych zaczęło bębnić jak dobosze, dwie kobiet śpiéwać, a świeżo rozbrojeni w bitwie, mruczyc i patrząc na siebie z podełba.

Florek był wtenczas na podwórzu, zajęty naprawianiem różnych sprzętów gospodarskich rolnych i domowych, bo do siekiery miał wiele zdatności. Zabudowania jego na oko, niczym nie różniły się od innych, ale znać na nich było i w całém otoczeniu, staranną baczność gospodarza, największą pieczołowitość o całość, czystość i porządek. Wszystkie drzwi i wrota były w całości, okna miały szyby a nie różne wiechcie, deski lub papiér, jak bywa u innych czasami. Na dachu żadnéj choćby najmniejszéj nie dopatrzyłeś dziury, a gdy u innych na podwórzu można było jeżeli nie utonąć, to uwięznąć w błocku i stojącéj gnojówce, tu podwórze było czysto umiecione, ściek dla wody deszczowéj zrobiony, a wszystkie sprzęty gospodarskie ułożone troskliwie przy ścianie u obory i osłonięte daszkiem. Gnojowisko bowiem nie w wykopanym dole jak u innych, tuż pod drzwiami i oknami mieszkania, ale na wierzchu, na wybrukowanym umyślnie placu z tyłu obory było założone, na które składano wszystkie śmiecie i nieczystości domowe. Przytém obora stojąc od południa tylną ścianą, dawała cień na gnojowisko, słońce więc nie suszyło i nie paliło jak u innych, a co najważniejsza że wyziewy ze zgnilizny, szły w pola a nie do pomieszkania i przez to ani nosa ani zdrowia nie psuły Florkowi.

Nie będę wam wszystkiego po szczególe opowiadał, ale i z tych kilku słów łatwo się domyślić, że u Florka wszystko odmienniéj wyglądało jak w dawności i że wyraźnie znać było we wszystkiem, zarząd wcale nieglupiéj głowy. Żony nie było w domu, bo z córką Kasią grabiła siano na łąkach, a syn Jaś był w téj chwili na nauce u Basi Ernestówny, późniéj miał ułożyć siano w kopy, bo w niezamożności trzeba razem i uczyć się i pracować, z równém umiarkowaniem, aby nauce nie przeszkadzała zbyteczna praca, a pracy zbyt pilna nauka. Florek w tym wieku co Er-

nest, siedział otoczony dzwonami od wozów, kółkami płużnemi, saniami z pod bron, beczułkami, faskami, i tym podobnemi sprzętami, tu strugał, tam przymierzał, tu pasował, tam gładził, i tak zajęty był robotą, że choć wrzawa, śpiewy i pokrzyki ochocącéj się gromady, coraz więcéj zbliżały się ku jego pobudynkom, on na to nic nie zważał, tylko mówił sam do siebie, mruczał, strugał i dopiéro odwrócił się kiedy wrzask rozległ mu się prawie nad samą głową.

— Co te próżniaki i pijaki chcą odemnie? szepnął Florek marszcząc brwi i czoło z niezadowoleniem, u mnie tyle roboty, że z frasunku aż prawie głowa boli, a oni w baraszkach, w przyśpiewkach i w kieliszkach, jakby chleb sam pracował na człeka, a nie człowiek na niego.

— Witajcie sąsiedzie! witajcie! ozwało się kilka głosów, gdy inni po pijacku pokrzykiwali: wracamy ze chrzcin od Franka, jak widzicie w wesołości; rozejść się bez poczęstunku jakoś nie ładno, zajrzy się przeto do karczmy, ale idąc wedle was, pomijać nie wypadało, więc wstąpiliśmy. Zbierzcie przeto sąsiedzie nogi i chodźcie.

Florek nic na to nie odrzekł, tylko poruszył się gniewnie i zaczął strugać, przymierzać, jakby nikogo przy nim nie było.

— Florku.... Florku, odezwał się Bartłomiej z napuchniętemi pyskami jak poduszki, nie dajcie mnie poniewiérać..... brońcie mnie, jak Boga kocham.... a poczęstunku wam nie poskąpię....

— Florku! odezwała się kobiéta, co to z Tomaszem o francuzkiego tańca o mało za łeb się nie chwyciła, jeżeli mi kupicie wódki, to was nauczę tańczyć po francuzku. Tomaszu stańcie no naprzeciw.

— Czyście obłędu dostali z francuzkim tańcem! odezwał się Tomasz, ciągle mi głowę suszy jedném i jedném, że mi aż kręci w niéj jak na ogłupienie.

— O! widzicie, hu, ha! po francuzku, zawołała kobiéta idąc w pląs z podniesioną spódnicą i podskoczywszy, zakręciwszy się z wielkim pędem wpadła na Florka i wrzuciła go pomiędzy różne rozłożone przy nim rupiecie gospodarskie, a sama poleciawszy ku ścianie utknęła głową w wielkim koszu plewami napełnionym gmérając się jak szczur w mące i fajtając nogami niby w pływaniu.

— A czy Boskie skaranie z temi pijakami! krzyknął oburzony Florek, idźta z Panem Bogiem, a mnie dajcie pokój, bo ja ani

czasu, ani zdrowia, ani pieniędzy nie mam na bałamucenie i obmierzłą pijatykę....

— Florku!... poczekajcie no, odezwał się Bartłomiej, i przyciągnąwszy jego głowę ku sobie, szeptał mu do ucha, ale głosem mało co przyciszonym : z Jóźkiem i z wami będzie nas trzech... to kumeczkowi co mi sprawił takie pyskowanie.... zapłaciemy.... zapł...

— A płaćcie, przerwał Florek, wyrywając się z objęć Bartka, nie płaćcie, jak chcecie, to mi wszystko jedno, tylko mi dajcie pokój.

— Tylko kumie po kieliszku, odezwał się znów inny, głaszcząc Florka po twarzy, poczciwym ludziom nie godzi się odmawiać....

— Dajcie mi pokój, ja w roboczy dzień karczmą się nie bawię.

— I my się nie bawiemy, ale przy takiéj okazyi jak chrzciny.

— Żeby tam niewiem co...

— Florku! my z sobą pokumani przez siostrę, wtrąciła jedna z kobiet, rosła, silna jak dragon z wąsami, dwoma zamachami rąk odpychając tego i owego, zawadzających jéj na drodze, rozsądźcie nas z Bartłomiejową, co duchem stoi przy swojem, że Karolowa Jagna, jest już w szesnastym roku...

— Ja tam nie byłem przy jéj urodzeniu, dajcie mi pokój.

— Kumeczku! zabierajcie się...

— Florku! ostro! po kawalersku, ja z wami choćby w ogień.

— Ja wam powiem, że propinator nasz, to psia noga jakich mało, dodał drugi kładąc się prawie na Florku, on jeszcze tamtego roku, to był jak baranek, cichy... potulny...

— A cóż wy? udusić mnie myślicie czy co? idźcie z Bogiem, przerwał Florek odpychając natrętnika, który pozbawiony podpory, upadł na jakąś kobiétę i chwytając zerwał chustkę z głowy.

— A wy co dokazujecie?

— Szukam poratunku, odrzekł zagadnięty, i wpadł na drugą kupę ludzi, która się zatrzęsła, poruszyła, ale uratowała pijanego od upadku.

— Chustka! gdzie moja chustka? wrzasnęła kobiéta, a reszta ludzi otoczyła Florka i nuż mordować namowami do poczęstunku w karczmie. Florek odmawiał, wypraszał się, wreszcie zniecierpliwiony zaczął się gniewać. Wtém ktoś zawołał, żeby Florka wziąć na ręce, i kiedy nie chce dobrowolnie, to go musiém zanieść do karczmy, bo zabawie przeszkody nie należy stawiać.

Myśl ta spodobała się wszystkim, zakrzątnęli się więc koło Florka, i byliby się pewnie gwałtu tego na nim dopuścili, gdyby nie kobiéta co to Tomasza nęciła do tańca i wpadła w kosz z plewami. Cała bowiem oblepiona jeszcze niemi jak jakie nieszczęście, mając plewy we włosach, ustach, w ubraniu, na twarzy, tak zabawnym tym przystrojem rozweseliła wszystkich, że każdy śmiejąc zwrócił się ku niéj i Florka przecie zostawili w pokoju. Kobiéta zadowolona zwróconą na siebie uwagą, wysunęła się naprzód, ujęła za spódniczkę i zawołała:

— Tomaszu! daléj że zemną po francuzku.

— A to czyste uwzięcie na mnie, zawołał z gniewem Tomasz, po francuzku i po francuzku, czy zwaryowała ta baba?

— No Tomaszu, służcie mi po francuzku...

— Wy na prawdę wściekliście się z tém waszém po francuzku, dajcie mi pokój, zawołał Tomasz zły jak piekło: musiało się wam na piękne przewrócić w głowie.

Ale wprędce znaleźli się drudzy ochotniejsi od Tomasza a między niemi posiniały Bartłomiej ze swoim kumem, którzy pomruczawszy że jeden drugiemu zawadza, pląsali wyrzucając nogami to w prawo to w lewo, choć wyglądali jak maszkary, pewni że tańczą po francuzku. Florek przekonawszy się, że nie prędko pozbędzie nieproszonych gości, cichaczem korzystając z ogólnego zajęcia, wyniósł się z podwórza na łąki, gromada więc zabawiwszy się nowym pląsem, zobaczywszy że im ubyła główna osoba, rozeszła się w różne strony za szukaniem zguby. Ale poszukiwania były daremne, pogniewali się więc na taką poniewierkę ich grzeczności.

— To pyszałek, mówili z oburzeniem, zawsze tylko konszachtuje z Ernestem, synek bawi się tylko z książkami, to samo córeczka, więc im się zdaje, że już przerośli rozumem wszystkich. Gardzą ludzką przyjaźnią, a chciwi na grosz, za zarobkiem to tylko dygoczą. A nam co po zarobku? Czy to nie mamy roli czy co? Dawniéj pracowało się na siebie i na drugich, to teraz na siebie samych śpiéwający zarobiemy, a zabawa uczciwa przynależy nam. Niech tam on mędrkuje, niech się brata z mądremi, zawsze ręka musi pracować a nie głowa, bo głową nie weźmie ani siekiery, ani pługa, ani kosy, ani sierpa. Niech go tam Bóg kocha, i bez niego poradziemy sobie, a on niech żyje w odosobnieniu, kiedy taki z niego chardzioszek. Chodźwa! chodźwa!

I poszli, a z poza łanu żyta, z miedzy, podniósł się Ernest i młodzieniec ośmnastoletni, czysto po wiejsku ubrany Jaś, syn Florka, poglądając ze smutkiem na oddalającą się gromadę.

— I cóż Jasiu powiész na to co widziałeś?

— Ach! panie, składając ręce odezwał się Jaś, gdy mu łzy jak dwie perły błyszczały w oczach, to nieszczęście, oni muszą przepaść i wyjść na potyrkę.

— Nie płacz chłopcze, to nic nie pomoże.

— Jakże nie mam płakać? to przecieć wszystko moi krewniacy, przyjaciele, jedna dusza i jedne ze mną ciało. Widziéć więc jak dążą do zguby, czyż to serce nie boli? Cokolwiek mi panie powiész na pociechę, to bolu mego nie uśmierzysz, bo nieszczęście nad niemi już wisi, jak chmura z gradem i piorunami i lada chwila a burza się zerwie i rozpędzi tych nieszczęśliwych biédaków po świecie, jak liście leśne porwane szalonym wichrem.

— Tak, to prawda, taki los ich czeka, odpowiedział Ernest prostując się i poglądając w niebo. Bóg dając człowiekowi rozum i zastanowienie się, kazał mu przez to rozumu nie zaniedbywać, ale iść z nim naprzód przez naukę. Przez rozum człowiek panuje nad światem, rozumem niszczy dzikie szkodliwe dla siebie zwierzęta, rozumem gubi plugawe w domu robactwo, rozumem przyrządza sobie różne do życia wygody, narzędzia do pracy, lekarstwa do leczenia, rozumem z ziemi wydobywa plon z roli, ulepsza wszelki inwentarz i rozumem usuwa wszystko co mu przeszkadza do mądréj pracy i odnoszenia z niéj korzyści. Głupiec, nie mający nauki a siedzący na roli dającéj dwa ziarna, gdzie powinno być dziesięć, chodujący lichy inwentarz żywy, dziesięcioma nie wyrównywający jednéj dobréj sztuce, więcéj próżnujący i balujący, jak robiący i uczący się, jest właśnie tą przeszkodą, więc prędzéj późniéj musi ustąpić przed rozumnym i uczącym się, bo rozum idzie ciągle naprzód, a głupstwo jak dziki zwierz cofa się, cofa, coraz daléj i daléj. I tak się dzieje od wieków, od chwili kiedy się ludzie rozrodzili, bo tak Bóg kazał, przeznaczając człowieka żeby się stawał coraz mędrszym, a przez to coraz lepszym. Kto tego zaniedbuje, niech płacze sam nad sobą, gdy przyjdzie po niewczasie upamiętanie, ale niech nie narzeka, ani na ludzi ani na przeznaczenie. Bóg człowieka stworzył do szczęścia a nie do płaczu, bo mu dał rozum i otoczył wszystkiém do życia, wygody, a nawet zbytku jak w raju: człowiek więc może i powinien umiéć z tego korzystać, aby tylko

chciał pracować i uczyć się. Próżniak, bałamut, balowiec, nie wart ani litości ani pobłażania, a rodzice dzisiejsi wychowujący dziatki swe według siebie, bez żadnéj nauki, w złym przykładzie, odpowiedzą przed Bogiem na strasznym Jego sądzie.

— Ach! panie, odezwał się na to Janek, gdyby to oni mogli wszystko słyszyć...

— Czyż myślisz że im nie gadałem? nie radziłem, nie dawałem sam z siebie przykładu? Ale to było grochem rzuconym na ścianę. To nie potrzebne, mówili, wymysły: pracy nigdy nie zbraknie, a my umiémy pracować. To prawda, odrzekłem, ale przy gruncie się nie utrzymacie i nie będziecie gospodarzami. Zamiast mi za radę podziękować, to z drwinami pokręcili głowami, rozśmieli się i cóż się stało? Oto jeden się rozhultaił, w jakiéjś zabawie zaziębił, a że sobie jednakowo pozwalał, więc gospodarstwo upadło, tak że w końcu trzeba było sprzedać i ja kupiłem. Drugiego grad wygonił z roli, bo zasobów nie było, ani rozumu do porady, więc rwał się, pożyczał, procentował, martwił, wreszcie zadłużył po uszy i wyszedł z torbami. Ja znowu kupiłem gospodarstwo a jego wziąłem do siebie na parobka. Trzeci nareszcie, niby chciał rządzić się bardzo mądrze, ale mu państwo zajechało w głowę. Na zarobek broń Boże! fajka w ustach, ręce w kieszeni, przebierania, sprawiania, porządkowania, handlowania... aż wszystko pomału rozlazło się, bo na to trzeba głowy z rozumem i nauką a nie głupstwem i ciemnotą. Sprzedał więc i ja kupiłem, a on poszedł na karczunek i telepał się resztkami, a w końcu przyszedł do mnie do służby. To co przepowiadałem stało się, ale dla tego reszta pozostała jedna i ta sama. Wyście tylko z ojcem poszli inną drogą. Ojciec za stary do nauki, robił wszystko jak radziłem a dochód się zwiększał w polu i oborze. Ciebie kazał uczyć, potém oddał do miasta do szkoły, wynalazłszy ci pomieszczenie u pewnego urzędnika. Wiktuały na życie co tydzień matka przywoziła, a jedna mieszczka gotowała. Tym sposobem skończyłeś szkoły, a żeś postanowił zostać po ojcu gospodarzem, wróciłeś zatém i korzystając ze sposobności, od syna mego uczysz się z książek gospodarstwa wiejskiego, a od Basi po niemiecku i francuzku. Przytém pracujesz jak parobek rękami, a głową myślisz jak co zrobić najlepiéj i najtaniéj, boś się tego uczył i uczysz ciągle. U ciebie więc dochód co rok się zwiększa, u nich pomniejsza, bo ty tylko w święto odpoczywasz i weselisz się, a oni codzień. Ty idziesz naprzód, a oni w tył,

i ty zakosztujesz dobrego bytu i odpoczynku, a oni głodu i nędzy. Bo jaki siew taki i plon, każdy dojdzie tam gdzie idzie, praca bowiem i nauka wiedzie do pieniędzy a próżniactwo do nędzy.

— Prawda, prawda dobry panie, odezwał się na to Janek z boleścią, gdyby jednak można jakim sposobem sprowadzić ich na drogę innego postępowania? Jabym pół życia za to oddał...

— Poczciwe z ciebie dziecko, ale jakim sposobem to zrobić? Rady nie przyjmą i wpuszczą ją jedném uchem a drugiém wypuszczą. Namową pogardzą, na przykład niezważają, więc cóż zrobić żeby prawda otworzyła im oczy?

— Chyba modlić się do Boga, odrzekł Janek rozrzewniony, to może Bóg ulituje się i oświeci...

— Tak jest, modlić się moje dziecko, ale i nie zrażać się uporem, radzić, gadać, upominać, a resztę zostawić woli Boskiéj. Kto kołacze będzie mu otworzoném, kołaczmy więc do serca i sumienia ludzkiego, a może ocknie się w ludziach dusza i opatrzy w niebezpieczeństwie.

— Dziękuję ci panie Erneście, za nadzieję jaką wlałeś w moją duszę, zawołał Janek z zapałem całując rękę poczciwego pracownika, teraz pracę podwoję, bo coraz jaśniéj przekonywam się że tylko pracą i nauką, można zostać prawdziwym człowiekiem.

— Mądrze mówisz chłopcze, wolnym czasem przedstawię wam dzieci moje zamiar, co myślę zrobić, aby ludzi tych wyrwać z poniżenia w jakiém się znajdują. Dopomódz mi w nim musicie a resztę oddamy Bogu.

Był to projekt założenia szkółki, w któréjby Janek, Fryderyk i Basia uczyli dziatki czytania, pisania i rachunku, a przytém różnych robót i gospodarstwa domowego i wiejskiego.

Florkowi niezmiernie się to spodobało i wysłuchawszy rzekł:

— Pomyślenie piękne, bo to łajdactwo zginie, jak się nie upamięta. *To nieprzelewki*, jak się to wszystko na świecie zmienia, krzepi, mądrzeje, tylko my stojemy w mierze jak narowne konie. Trzeba więc ruszać za drugiemi, nic nie pomoże, bo świat nie stoi tylko ciągle idzie, bo nas pilniejsi i rozumniejsi wypchną i wyrzucą z pomiędzy siebie.

Co się z tego zrobiło, to wam opowiem późniéj, a mnie wierzcie co opisałem, bo prawie jednego słowa zmyślenia nie pomieściłem, tylko wszystko najświętszą prawdę.

Janek z Bielca.

SZOPKA.

Coraz bardziéj się psuje stara nasza Szopka. Kierujący nią chłopcy zmieniając dowolnie przedstawienia, zastępują częstokroć nieumiejętnemi i niesmacznemi słowy prostactwa, pełen niegdyś poetycznéj prostoty i religijnego namaszczenia dyalog. By ją dźwignąć z upadku, jeżeli ten upadek nie jest stanowczo już zawyrokowany, trzebaby sięgnąć daleko w przeszłość, do wieków średnich, w których początek swój wzięła. W każdym razie spodziewamy się przysłużyć naszym czytelnikom, podając w pierwotnéj czystości jedno z podobnych przedstawień, wyjęte ze *Złotéj Legendy* (the Golden Legend), poety Longfellow'a.

WSTĘP.

Schodźcie się dobrzy ludzie, schodźcie się wszyscy i posłuchajcie słów moich. Posłuchajcie mnie, tutaj obecnego, który mam trąbkę w ręku. Przedstawiamy dzisiaj tajemnicę Narodzenia Pańskiego, tak jak ono w Ewangelii jest opisane. Przybiegajcie i patrzcie na odegranie téj świętéj rzeczy, którą znacie tylko z czytania. (trąbi.)

I.

NIEBO.

Miłosierdzie (u nóg Boga).

Miéj litość o Panie i zbaw lud, który stworzyłeś. Nie oddawaj na wieczne potępienie dusz uwiedzionych podstępem szatana!

Sprawiedliwość.

To być niemoże i tak być nie powinno o Panie! Ponieważ człowiek skosztował owocu z drzewa zakazanego, ponieważ przestąpił Twe jedyne przykazanie, więc słuszna aby na śmierć został skazany.

Miłosierdzie.

Miéj litość o Panie! Niech żal serdeczny zmaże nieposłuszeństwo, niech przestąpienie przykazania Twego nie ściągnie wiecznego potępienia na człowieka.

Sprawiedliwość.

Czyż może być żal tak wielki, aby wyrównał wielkości przestępstwa? Ponieważ człowiek skosztował owocu z drzewa zakazanego, więc powinien być potępiony.

Bóg.

Ocalę go, jeżeli na ziemi znajdzie się człowiek bez grzechu, któryby zgodził się na męczeństwo dla odkupienia wszystkich ludzi.

Cztery Cnoty.

Przebiegłyśmy o Panie świat cały, świat od końca do końca, lecz nie odkryłyśmy nigdzie człowieka bez grzechu. Powracamy bez nadziei.

Mądrość.

Żaden śmiertelny nie podoła podobnemu zadaniu. Tylko Bóg jeden, który stworzył człowieka, może spełnić to posłannictwo. Tylko Bóg jeden, który stworzył człowieka, może zbawić całą ludzkość.

Bóg.

Weźże się więc do dzieła moja córo ukochana, gdyż tylko przez ciebie mogą być ocaleni ludzie. Ty tylko jedna możesz odnieść zwycięztwo nad szatanem i grzechem.

(Anioł Gabryel wychodzi z niebios i spieszy na ziemię. Otwierają się bramy piekielne, a przez nie ukazują się przerażeni djabli, wielki wszczynając hałas).

II.

MARYJA U ŹRÓDŁA.

Maryja.

Ścieżką przez ogród idę spokojnie, aby napełnić dzbanek u źródła, które w tém, odosobnioném miejscu, pod cieniem drzew rozłożystych, świeżą i czystą wytryska wodą. Jakże tu cicho i spokojnie! Słyszę tylko szmer bieżącéj po kamykach wody, a w oddali śpiew mych towarzyszek, które dziergają w domu jedwabiem i złotem.

Anioł Gabryel.

Zdrowaś Maryja, łaskiś pełna.

Maryja (przestraszona pogląda do koła).

Kto do mnie tu przemawia? Zkąd pochodzi ten głos łagodny.

Anioł Gabryel.

Pan z Tobą, błogosławionaś między niewiastami, o Ty przez Niego wybrana!

Maryja (stawia dzbanek na ziemi).

Nie pojmuję co to się znaczy. Nie widzę nikogo a słyszę wyrazy tak święte, że przestraszona chciałabym uciekać.

Anioł Gabryel (ukazuje się).

Nie obawiaj się, a wierz o Maryjo! Oznajmiam Ci dziewico, że dzisiaj poczniesz. Nie obawiaj się niczego o Maryjo! Z wysokości niebios Majestat Boży rozciąga się nad Tobą.

Maryja.

Oto ja służebnica Pana mojego, niech mi się stanie według słowa Twego.

(Słychać ogromny hałas, jaki wzniecili przerażeni djabli).

III.

ANIOŁOWIE SIEDMIU PLANET.

(niosą betlejemską gwiazdę).

Aniołowie.

My aniołowie siedmiu planet niesiemy, przez świetne pola niebios, gwiazdę narodzenia. Spuszczamy siedmiorakie cnoty, jak bezcenne brylanty, na koronę nowonarodzonego Chrystusa.

Rafał.

Jestem aniołem słońca, którego ogniste koło uniosło się nad światem, gdy wszechpotężny Bóg wyrzekł: „I stań się światło!" I stało się światło! Przynoszę mu dar wiary.

Gabryel.

Jestem aniołem księżyca, który naprzemian zaćmiewa się i jaśnieje na błękicie niebios. Moje to promienie najbardziéj zbliżone do ziemi, oświecają ścieżki nocy. Przynoszę mu dar nadziei.

Anael.

Jestem aniołem gwiazdy miłości, gwiazdy wieczornéj, która świeci we wszystkich szczęśliwych miejscach, gdzie narzeczeni się spotykają, czy to pod słomianą strzechą, czy pod złotym dachem. Składam mu litość w ofierze.

Zobjachel.

Planeta Jowisz do mnie należy, a jest ona najpotężniejszą po słońcu. Duch święty mię posyła. Niosę mu sprawiedliwość a sprawiedliwość wymaga pokuty.

Michał.

Ja zasiadam na Merkurym, na planecie najbardziéj zbliżonéj do słońca. Skrzydła niebieskiéj żarliwości kierują mym lotem. Przynoszę mu dar rozumu.

Urjel.

Jestem aniołem Marsa, bardzo potężnéj planety. Mój to głos

słyszeć się daje w pieśniach wojennych poprzedzających bitwy. Przynoszę mu odwagę.

Oryfel.

Jestem aniołem stojącym w tylnéj straży wszystkich konstellacyi. Z oddalonego mego stanowiska, przez nieskończoność przestrzeni niebieskich, przynoszę mu dar ostatni, dar który uwieńcza wszystkie inne, dar umiarkowania.

(Nagle ukazuje się światło w okienku stajni po za wsią).

IV.

MĘDRCY WSCHODU.

(W stajence Najświętsza Panna i Dzieciątko Jezus. Wchodzi trzech mędrców: Kacper, Melchior, Baltazar).

Kacper.

Pozdrawiam Cię Jezusie Nazareński. Chociaż urodziłeś się w stajni, potężniejszy przecież jesteś nad śmierć i życie, potężniejszy nad radość i boleść. Krzyż ten na Twéj dłoni przepowiada walkę, opór i bitwę. Będziesz przechodził przez krainę ciemności, najeżoną niebezpieczeństwami.

Melchior.

Pozdrawiam Cię królu Jerozolimski! Chociaż tak biednie w Betlejem jesteś narodzony, przecież korona i berło oczekują Ciebie. Korona skrwawi Twe skronie, a berłem będzie prosta trzcina. W godzinie największego przesilenia poddani Twoi pokażą się zgnębieni.

Baltazar.

Pozdrawiam Cię Chrystusie, Panie chrześcijaństwa. Królestwo Twoje rozciągnie się na całą ziemię. Zakwitnie pokój dla wszystkich i będzie wiek złoty.

Dzieciątko Jezus.

Jestem Jezusem, Synem Boga. Urodziłem się tutaj, aby cier-

pieć i umrzeć, jak to było przepowiedziano, a to dla zbawienia wszystkich ludzi.

Najświętsza Panna.

Przyjmijcie te pieluchy, w które był powinięty i strzeżcie te drogie dary z miłości dla Niego. Tylko tym sposobem możemy podziękować i to jest wszystko, co wam możemy dać w upominku.

(Daje pieluchy trzem mędrcom, którzy wychodzą).

V.

UCIECZKA DO EGIPTU.

(Józef prowadzi osła, na którym siedzi Maryja z Dzieciątkiem Jezus).

Maryja.

Spocznijmy tutaj, pod rozłożystemi tych drzew konary, w których wesołe ptaszęta nucą cześć Najwyższemu.

Józef.

Popręgi siodła rozwolniały, w téj pełnéj znoju na upale podróży. Czy cię nie trudzi Maryjo ta jazda z dziecięciem na ręku?

Maryja.

Czy słyszysz ten przyjemny śpiew ptasząt? Możnaby powiedzieć, że składają cześć swemu królowi. Zsiądę przy tém źródle dla wyprania Jego sukienki.

Józef.

Ja spętam osła, by nie zagnał się za daleko, gdy będę w trawie spoczywał, bo zaprawdę jest on tak szparki jak koza.

(Maryja zsiada z osła i idzie do źródła).

Maryja.

O Józefie! jak ja się boję tych ludzi, którzy tam w cieniu drzew spoczywają. Boję się, aby nas nie pojmali, nie obdarli i nie zbili. (Widać gromadę śpiących rozbójników, dwóch się z nich budzi i zbliża do Świętéj Rodziny).

Dumachus.

Stójcie no! Hej! Oddajcie zaraz pieniądze.

Józef.

Prosimy was moi panowie, byście nam pozwolili w dalszą udać się drogę. Nie mamy złota ni srebra.

Dumachus.

Oddajcie zaraz pieniądze! Raz już powiedziałem.

Tytus.

Oddalmy się towarzyszu. Pozwolmy tym biednym ludziom odejść w pokoju.

Dumachus.

Niechaj oddadzą pieniądze, a będą mogli pójść gdzie im się podoba.

Tytus.

Ty widzę żądasz okupu, więc ci go daję. Weź te srebrniki i zamilcz.

Maryja.

Niech ci Bóg będzie miłosiernym w godzinę sądu.

Jezus.

Za lat trzydzieści umrę w Jeruzalem. Jednocześnie obadwaj ci złodzieje zostaną ze mną ukrzyżowani: jeden po prawéj a drugi po lewéj stronie. Wówczas to Tytus wejdzie ze mną do raju.

(Słychać wielki tentent koni i odgłos trąb, jak gdyby sam król prowadził rycerstwo. Złodzieje uciekają).

VI.

RZEŹ NIEWINIĄTEK.

Król Herod.

Na śmierć mię zadziwia ta smutna wiadomość! Czyż już nie jestem Herodem? Któż to ośmiela się zabierać moją koronę i używać mego berła?

(Przechadza się w tę i ową stronę, klnie i potrząsa mieczem).

Na te smutki spełnię puhar tego wybornego kananejskiego wina, które kupiłem na jarmarku w Tyrze. Hej! służba! podczaszy! Przynieść mi natychmiast tego, co to wiesz, wina! Tego wina czerwonego jak krew, rozpalającego jak ogień i godnego zawsze ust królewskich.

(Nalewa i wyhyla wielki kielich.)

Zasiądę teraz w otwartém oknie, dopóki moi żołnierze nie skończą roboty ze wszystkiemi dziećmi. Urodzony w Betlejem chłopiec nie uniknie swego losu. Zginie razem z innemi i nie przeżyje dnia dzisiejszego.

(Słychać głosy wielkiéj rozpaczy).

Rachel.

O złośliwy królu! o okrutny morderco! Ośmieliłeś się popełnić tak przerażającą zbrodnię! Wszystkie moje dzieci zostały wymordowane!

Herod.

Hej podczaszy! jeszcze puhar wina! Wielkie mam pragnienie.

Rachel.

Niech przekleństwo matki spadnie na ciebie i na dzieci twoje, byś marnie z całém swém potomstwem zaginął.

Herod.

Jeszcze puhar! tylko zaraz! Nalewaj prędzéj!

Żołnierze (na ulicy).

Oddaj nam swoje dziecię! Król Herod rozkazał, aby było zamordowane.

Mamka Medura.

O potwory! cóżeście uczynili? Jedynego to syna króla Heroda rozpłataliście na dwoje!

Herod.

O dniu przeklęty! Cóż to za straszne wyrazy doszły uszu moich? Cóż to za rozpacz napełnia mą głowę i serce? Czyż to być może? Czyż ja żyję jeszcze? Czy też już nie umarłem i czy nie zostałem pochowany.

(Pada na ziemię i konwulsyjnie się wije. Otwiera się piekło: Szatan i Astarot zeń wychodzą i porywają Heroda).

VII.

JEZUS BAWI SIĘ ZE SWYMI SZKOLNYMI TOWARZYSZAMI.

Jezus.

Deszcz przestał padać, możemy się więc bawić. Idźmy nad brzeg rzeki lepić wróble z gliny.

Judasz.

Patrzcie jak rzeka przybrała i rozlała się daleko po łące.

(Dzieci robią małe rowki i stawy nad brzegiem wody. Jezus ulepił dwunastu wróbli z gliny; inni go naśladują.)

Jezus.

Patrzcie, patrzcie, jak to kazałem biegać ulepionym przezemnie wróblom, jak one schylają głowy aby się napić. Teraz każę im śpiewać i polecieć tak daleko, aby już nigdy nie wróciły nad brzeg rzeki.

Judasz.

Co téż Ty pleciesz? To przecież są wróble gliniane, nie mogą więc ani śpiewać ani latać.

Jezus.

Latajcie, latajcie piękne wróbelki, bo jesteście już wolne. Dopóki zaś żyć będziecie, pamiętajcie o mnie, który was stworzyłem swemi rękami.

(Jezus klasnął w ręce, a wróble wzniosły się w górę z radośnym śpiewem).

Judasz.

Widzę, że moja matka prawdę mówi, gdy Cię nazywa małym czarownikiem. Nie będę już nigdy bawił się z Tobą.

(uderza kułakiem w bok Jezusa).

Jezus.

Ah Judaszu! za cóż mię w bok uderzyłeś? Gdy zostanę ukrzyżowany, w tém samém miejscu bok mój będzie przebity.

Józef (nadchodzi).

Niegrzeczne dzieci, jak możecie swawolić w święty dzień Sabbatu? Cóż to powiedzą matki gdy was zobaczą tak zmęczonych i zawalanych błotem? Ostatni na ulicy żebrak czyściéj od was wygląda.

VIII.

SZKOŁA WIEJSKA.

(Długobrody nauczyciel ben Izrael siedzi na wysokiém krześle i trzyma rózgę w ręku).

Nauczyciel.

Jestem uczony ben Izrael, znany we wsi całéj, a uczniowie moi mogą zaświadczyć, że posiadam wielką znajomość nauki bożéj. Stawiam Kabałę i Talmud wyżéj od Proroków. Biblija jest tylko wodą, a Miszna szlachetném winem. Sława moja rozchodzi się od wschodu do zachodu i każdorocznie na święto Purim upijam się należycie. Wino rozgrzewa mię do tego stopnia, że nie mogę znaleźć różnicy pomiędzy przeklętym Amanem a błogosławionym Mardocheuszem.

Chodź tutaj Judaszu Iskarjoto. Chcę się przekonać czyś się nauczył méj lekcyi. Powiedz mi dla czego psy szczekają w nocy?

Judasz.

Psy wtenczas szczekają, gdy wielki Samuel, anioł śmierci, przebiega miasto ze swym lodowatym oddechem.

Nauczyciel.

Bardzo dobrze. Teraz odpowiedz mi jeszcze na to pytanie: Co robi anioł śmierci, niewidzialny dla oczów człowieka, gdy wejdzie do izby umierającego?

Judasz.

Staje w głowach łoża z mieczem w ręku i z końca tego miecza spuszcza kroplę żółci w usta chorego. Wówczas konający bladnie....

Nauczyciel.

A teraz, mój Judaszu kochany, powiedz mi: co to są te cztéry głosy, które gwałtownie świat przebiegają, a których ludzie nie słyszą?

Judasz.

Głos słońca na sklepieniu niebios, głos szmeru rzymskiego, głos duszy powracającéj ku Bogu i głos anioła deszczu.

Nauczyciel.

Bardzoś dobrze odpowiedział, zadowolony jestem z ciebie. Teraz ty mały Jezusie, synu cieśli, zbliż się do mnie. Zobaczę czegoś się nauczył, czy już poznałeś abecadło.

Jezus.

Alef....

Nauczyciel.

Mów daléj.... Dla czego się zatrzymałeś? Wylicz wszystkie litery. Nuże: Alef, Bet... Czyś to już zapomniał? Na moją duszę ty się nic nie uczysz, a tylko swawolisz.

Jezus.

Chciałbym pierwéj dowiedzieć się co znaczy Alef, a dopiero pójść daléj.

Nauczyciel.

Ah! Toś ty jeszcze taki zuchwały? Zbliż no się do mnie, a poczujesz skutki téj rózgi. Otrzymasz zasłużoną karę.

(Podnosi rękę i zamierza uderzyć Jezusa, lecz nie może dokonać zamiaru, gdyż wzniesiona ręka nagle dotkniętą zostaje paraliżem).

IX.

UWIEŃCZONY KWIATAMI.

(Jezus siedzi pomiędzy swymi towarzyszami z wieńcem na głowie, jak gdyby był ich królem).

Uczniowie.

Uwieńczony jesteś woniejącemi kwiatami, otoczyliśmy Cię strażą i pozdrawiamy naszym królem. Jesteś nowym królem Ży-

dowskim. Przechodnie winni się zatrzymać i składać należne Twemu Majestatowi hołdy.

(Przechodzi podróżny, dzieci zatrzymują go za suknie i mówią).

Zbliż się i złóż hołdy nasze mu królowi, dzisiaj uwieńczonemu, a po tém będziesz mógł w dalszą udać się drogę, która będzie dla cię pełną pomyślności.

Podróżny.

Pozdrowienie królowi Betlejemskiemu, który w koronie swéj nosi kwiat szafranu, jako oznakę władzy.

(Podróżny ten odchodzi, a przybywają inni, niosący w lektyce schorzałe dziecię).

Uczniowie.

Postawcie lektykę i zbliżcie się do miejsca, na którém zasiadł król Betlejemski. Cóż to za dziecię, zdające się obawiać, byśmy mu czego złego nie uczynili?

Podróżni.

Chłopiec ten wlazł na drzewo, w zamiarze wybrania ptasząt z gniazda. W gnieździe tém była żmija, która obudzona nagle, podniosła swą zjadliwą głowę i ukluła dzieciaka w rękę.

Jezus.

Przynieście go do mnie, abym się dotknął rany. Ręka moja może uleczać ukąszenia jadowitych węży i niszczyć w ranach truciznę.

(Dotyka rany, dziecko zaczyna płakać).

Czegoż płaczesz, kiedy cię już nie boli? Przepowiadam ci, że przyjdzie czas, w którym będziesz znany pomiędzy idącymi zamną jako Szymon Kananejczyk.

J. Szyc.

SZTUKA U LUDU NASZEGO.

Nie tylko chlebem człowiek żyje, alc i duchem, powiedział świętemi słowy nasz Zbawiciel, i ta prawda zarówno rozciągnąć się daje do bogatych i ubogich, słowem do każdego kto chce się szlachetném mianem człowieka nazywać. Śród ciężkiéj znojnéj pracy na chléb: czy orząc matkę ziemię w zagony, czy pracując za warsztatem, nie zapominajmy krzepić ducha, który jest najkosztowniejszą częścią naszéj istoty. Pokarmem dla nieśmiertelnego ducha oprócz *słowa Bożego*, z którego wszystko jak z obfitego źródła wypływa, jest *nauka* i *sztuka*. Piérwsza przemawia do naszego rozumu, rozświeca nasze pojęcia o tém co nas otacza, wskazuje położenie względem świata i społeczeństwa; druga działa na nasze uczucia, wzrusza je, kształci, podnosi, a uzacniwszy czyni lepszémi. Powiedz tylko mój czytelniku, czy się nie goręcéj modlisz, kiedy w ubogim kościołku zabrzmi organ, lub téż lud padłszy na kolana, wzniesie pieśń błagalną do Pana zastępów? Jesteś smutny i zmęczony, aż zdala słyszysz dźwięki dziarskiéj muzyki, dążącéj na obchód dożynek, i wnet się łączysz, zapominasz o smutku, a pokrzepiony weselem wracasz nazajutrz lżejszy i swobodniejszy do twych obowiązków. Patrz, tam znów w obrazku oddane są albo rysy świętych Pańskich, albo wielkich ludzi co się wsławili cnotą, talentami, przymiotami. Na innym widzisz bitwy, lub téż spokojną zagrodę wieśniaczą. A wszystko tak żywo oddane farbami, że rozkoszujesz się i podziwiasz rękę umiejętnego artysty. Figura wyciosana z drzewa lub kamienia, przypomina ci Boga albo świętych, i kornie zginasz przed nią kolano. To się zdarza codziennie i nikt temu zaprzeczyć nie może. Bywały przykłady iż największych gwałtowników uspakajały rzewne tony muzyki i chroniły ich od możliwych nieszczęść popełnianych w szaleństwie. Często obrazek maleńki matki lub drogich istot, jak anioł-stróż stoi i ochrania w chwilach trudnych od wypadków i błędów. Zdarzyło się iż zbójca miał zagłębić zbrodnicze żelazo w łonie swéj ofiary, gdy nagle płomień lampy

oświecił namalowaną twarz Chrystusa i zawieszoną nad łożem śpiącego. Zbójca zachwycony cudownym wyrazem oblicza Zbawiciela, wypuszcza narzędzie mordu i odtąd w pokucie stara się poprawić swe życie.

Oto jest działanie sztuki na człowieka, wielki wpływ jaki wywierają na jego czucie. Im zaś człowiek więcéj temu wpływowi podlega, im więcéj umié cenić słodkie zachwyty, które rodzi widok rzeczy pięknéj i szlachetnéj, tym staje się lepszym, tym obyczaje jego delikatniejszemi a cnoty żywszym błyszczą światłem; samo zaś życie przechodzi spokojniéj, piękniéj. Z tego więc widziemy, że wpływu sztuk pięknych unikać nie tylko niepotrzeba, ale właśnie przez kształcenie smaku nabierać pojęcia i poczucia sztuki. My jesteśmy szczodrze pod tym względem obdarowani od natury, jak również przez życie historyczne i społeczne. Mamy serce czułe, przystępne dla wrażeń szlachetnych i podnoszących duszę, a nawet łatwo choć nie na długo zapalamy się do tego co wydaje nam się dobrém. Ten charakter przechowuje się zarówno w klasach oświeconych jak i mniéj jeszcze posuniętych w cywilizacyi, dla braku zamożności i środków ukształcenia. Z piosenką na ustach najmiléj pracujemy przy codziennych zatrudnieniach, muzyka towarzyszy najważniejszym obrzędom w życiu wieśniaka, a nawet wzniosły hymn *Salve Regina* żegna nas u ciemnego grobu. Najuboższa chałupa lub warsztat zdobi swe ściany w obrazy świętych lub ludzi wielkich, a figur pobożnych pełne są rozdroża naszéj ziemi, co nadaje jéj tak właściwe odmienne od innych chrześcijańskie oblicze.

Prawda, nasza ludowa muzyka nie uczona, malarstwo niekoniecznie kształtne, a figury ciosane z drzewa lub kamienia grube: lecz są i świadczą o poczuciu ludu ale zarazem o braku wykształcenia jego w tym względzie, i potrzebie większego zajęcia się tym wykształceniem klas uboższych przez bogatsze, umiejętniejsze i więcéj rozwinięte. Ot wzrasta sobie ta sztuka jak Bóg dał, często z rzemiosła a nie z poczucia Bożego daru. Bo żeby być sztukmistrzem czyli artystą, potrzeba mieć w swém łonie zdolność i natchnienie, które udziela Stwórca. Takie samorodne natchnienie kształcone przez uprawę czyli nauki i doświadczenie, prowadzi dopiéro do utworzenia rzeczy wielkich i pięknych. Otóż ci którzy dla ludu śpiewają, rzeźbią, malują, posiadają często natchnienie i dar, ale im brakuje wykształcenia i umiejętnego użycia różnych środków wynalezionych, aby swym utworom nadać

kształt naturalny i szlachetny, barwy harmonijne lub melodyjnie ułożyć tony.

Przytoczemy tu przykłady dowodzące iż lud nasz posiada takich samorodnych natchnionych artystów, a jak natchnienie ich pochodzi od Stwórcy, tak też ich utwory, wyłącznie na chwałę Stwórcy świata są poświęcone. I nic słuszniejszego a piękniéjszego nad to być nie może: bo w religii, w miłości Boga i ludzi, najwięksi artyści znajdowali swą chwałę, cudownym zachwytom zawdzięczając najznakomitsze swe dzieła. Więc i tym ubożuchnym ale Bożym posłannikom sztuki, religija niech będzie źródłem natchnienia i pracy.

Talent wewnętrzny jest jakby nieprzepartą gwiazdą, która prowadzi wybrańców do celu. Dowodem tego był Wawrzyniec Knapiński. Urodził się on 1771 r. we wsi Płuzie i posiadając zdolności do snycerstwa od młodych lat, trudnił się stolarstwem, bo to dawało kawałek chleba, a Knapiński był synem ubogiego wiejskiego wyrobnika. Lecz chociaż stolarstwo jest rzemiosłem, umiał Knapiński wyrabianym przez siebie przedmiotom nadawać kształt zręczny, zdobiąc je rzeźbą, co robi je pięknemi. Gdy dorósł i został czeladnikiem stolarskim, powędrował jak kazał ówczesny zwyczaj cechowy, do miasta na naukę i dla poznania ludzi, zwiedzenia świata. Kraków był w stronach Knapińskiego największém ogniskiem życia dla rzemieślnika i sztukmistrza. Budowa arcybiskupiego pałacu przez Sołtyka, ściągała mnóstwo ludzi zdolnych, których zacny kapłan szczególną otaczał opieką. U Sołtyka nic nie było małego i pospolitego, co tylko odznaczało się darem, co poczciwie czuło. Rozumiał ten biskup iż każdy w swoim zawodzie może być użytecznym i że każda choćby najskromniejsza zdolność, potrzebuje zachęty. Knapiński choć jako stolarz, z dobréj jednak strony dał się poznać biskupowi. Szczera jego pobożność, otwartość charakteru a nareszcie wielkie jego zdolności samorodne, zyskały uznanie i pomoc Sołtyka. Nie czas już było Knapińskiemu uczyć się snycerstwa, choć do tego miał pociąg, bo nauka taka wymaga odpowiedniego wieku i czasu. A Knapiński po pracy pragnął już i odpoczynku. Więc zacny biskup obdarował go kawałkiem gruntu w Lipowcu niedaleko od Krakowa, gdzie też Knapiński spokojnie osiadł, pracując do późnéj starości. Umarł w 1833 r. Lecz ani na chwilę nie wypuścił z rąk kozika, którym wykonywał najprzeróżniejsze przedmiota, wszystko poświęcone chwale Bożéj. Dlatego też lud nazywał go

bożkiem albo Pituchem, co nie jest dla nas dobrze zrozumiałem. Najwięcéj sztuki Knapiński rozwinął w maleńkich wyobrażeniach męki Pańskiéj, do któréj dołączał wystrugane niezmiernie zręcznie, wszelkie przybory kaźni i pomieszczał wszystko w maleńkich flaszeczkach o ciasnym otworze. Flaszeczki takie do dziś dnia są przechowywane po okolicznych domach. Zajmował się on także wycinaniem większych figur świętych Pańskich.

Knapiński pozostawił ucznia. Był nim młody parobek Bryłka, następnie osiadły w Babicach i żyjący podobno dotychczas. Współzawodniczy z nim chłop Kacper zwany Sztuka, wykonywając postacie świętych patronów i ewangelistów, pomieszczone w kościele w Rybnie pod Krakowem; mieszka w Czernichowie.

Nareszcie w tejże okolicy we wsi Bobrek, przebywa włościanin samouczek, trudniący się drzeworytnictwem. Wyrzyna on na drzewie rysunki świętych i odbija je późniéj na papierze kolorami, i temi obrazkami całą okolicę zaopatruje.

W Skępem w gubernii Płockiéj, znajduje się wyrabiający kozikiem wizerunki statui Najświętszéj Maryi Panny Skępskiéj cudami słynącéj. Ma on odbyt tak wielki, że zaledwo nadążyć może. W tym koziku spoczywa całe i wcale niezłe utrzymanie jego.

Wspomnieć też musiemy iż we wsi Stawianach w powiecie Miechowskiém, chłopi lepią z gipsu znajdującego się tam obficie, różne przedmioty i roznoszą je po jarmarkach na sprzedarz.

Kunszt kamieniarski kwitnie w Chęcinach, sławnych pięknemi marmurami, i w Kunowie, gdzie mnóstwo jest samouczków, wykonywających z pięknego i miękiego piaskowca krzyże, statuy świętych Pańskich, nagrobki i tym podobne przedmioty. Ludziom tym braknie tylko wzorów i umiejętnego nauczyciela rysunków, aby zdolności wrodzone lepiéj spożytkować. Szczęśliwsi są rzemieślnicy w Warszawie, gdzie w r. 1865 otworzona szkoła bezpłatna rysunków wywrzéć może wpływ nietylko na poprawę rysunków w rzemiosłach, ale na wykazanie talentu, jeśliby się zdarzył. Zagranicą istnieje takich szkół czyli sal bezpłatnych rysunku bardzo dużo i niemal w każdém miasteczku, co pozwala kształcić się ludowym malarzom i rzeźbiarzom, z czego krajowa sztuka korzysta.

Pod względem muzyki lud nasz również nie jedną zdolność wydał. Do muzyki zbiorowéj lud także posiada zdolność. Wiadomo iż górnicy nasi tak w zachodnim (Krakowskim) jak i wschodnim (Kieleckim) okręgu górniczym, posiadają muzyki złożone

z samouczków. W Blizynie wsi położonéj w Opoczyńskiem, miejscowi fabrykanci hutniczy sprowadzili sobie nauczyciela i tak wydoskonalili się w grze orkiestrowéj iż w niedzielę grają w miejscowéj kaplicy na chwałę Bożą a często wynajmowani są do domów prywatnych na zabawy. Takich przykładów moglibyśmy przytoczyć więcéj. We Francyi po miasteczkach i wioskach rozwinęło się stowarzyszenie śpiewaków zwane orfeonami. Dziś liczy ono kilkanaście tysięcy członków w całym kraju, odbywa coroczne popisy, koncerta i zjazdy. Zauważano iż stowarzyszenie takie muzyczne bardzo wpływa na umoralnienie robotników po miastach i rozwinięcie zamiłowania do muzyki. Miejmy nadzieję że i u nas stowarzyszenia takie z czasem powstaną i przyczynią się do muzykalnego ukształcenia między ludem.

Adam Wiślicki.

SIEROTA

NA WARSZAWSKIM BRUKU.

Już to dawno, bo lat temu przynajmniéj dwadzieścia, w Warszawie ulicą Chłodną od Wolskich rogatek, przy końcu miesiąca czerwca, przed samym wieczorem szła młoda dziewczynka, schludnie, czysto, lecz nader biednie ubrana, i licząca zaledwie szesnaście lat wieku. Pod pachą trzymała malutkie zawiniątko, zawierające widać cały jéj majątek, a na twarzy ocienionéj prześlicznemi ciemno-bląd włosami, choć schorzałéj, bladéj i nędznéj, znać było rysy piękne, regularne, i odznaczone jakby pewną szlachetnością, która mimowoli każdego oczy ku niéj pociągała. Postępując zwolna, w płócienkowéj staréj sukieneczce, odziana na głowie także starą wyszarzaną chustką, nieśmiało poglądała po przechodzących, a krok jéj niepewny jakby wahający się, jasno przekonywał, że dziewczynka ta musi być nie tutejszą, że nie zna ulic, i że może nawet piérwszy raz jest w Warszawie. Kiedy minęła plac, na którym teraz stoi kościół ś. Karola Boromeusza i weszła w ulicę Elektoralną, przy ulicy Białéj zatrzymała się, spojrzała i w prawo i w lewo, obejrzala się po oknach kamienic, po szyldach, i bardzo się zafrasowała, tak dalece, że aż westchnęła

i z ócz łzę jak groch upuściła. Kiedy tak biedaczka waha się i sama widać nie wie, w którą się ma stronę obrócić, z drugiéj strony ulicy podeszła ku niéj w średnim wieku kobieta otyła wcale porządnie ubrana, i obejrzawszy do koła dziewczynkę, szepnęła do siebie:

— Może to być z tego cóś kiedyś, ale jak dziś, to strasznie zbiedzona. Ha! ale cóż robić?

I domówiwszy tych słów, spójrzała bystro w oczy dziewczynce i rzekła suchym cierpkim głosem, chociaż widocznie starała się, żeby był jak najłagodniejszy:

— A zkąd to jesteś moja panienko?

Na to zapytanie dziewczynka zadrżała, serce jéj mocno uderzyło, obejrzała się a zobaczywszy obcą kobiétę, z krogulczym nosem, z oczami jak dwa węgle rozżarzone błyszczącemi, spuściła bojaźliwe oczy, i odrzekła nieśmiało:

— Ja jestem z Grójca proszę pani.

— A jak pannie na imie?

— Helenka.

— A pocóżeś tu panna przyszła?

— Szukać służby i dalszego dla siebie losu, bo przed tygodniem straciłam oboje rodziców, na cholerę, i przy tych słowach Helenka rzewnym załkała płaczem.

— Toś panna zupełnie sierota?

— Sierota proszę pani, odrzekła przerywanym głosem Helenka, bez ojca, bez matki, bez brata nawet...

— Nawet bez brata, powtórzyła nieznajoma jakby z pewną radością, tak że aż to zwróciło uwagę Helenki, ale w téj saméj chwili przybierając minę smutną, i serdecznie wzdychając, mówiła daléj:

— Nie płacz panno, nie płacz; oj! znam ja, co to być sierotą, co to być samą na tym wielkim świecie, a ocierając oczy chustką i zasłaniając nią całą twarz prawie, mówiła daléj nawpół z płaczem: a świat zły... nie przytuli sieroty, nie poratuje... ale ją odepchnie, i ledwo że nie zatratuje nogami. Oj! znam ja to dobrze, ale panna się nie lękaj, i dziękuj Bogu, żeś mnie napotkała. Ja cię moja Helenko, wezmę naprzód do swojego domu, a jak wypoczniesz, wyładniejesz, wynajdę ci prześliczną służbę, i będziesz szczęśliwą, i na całe życie wdzięczną dla pani Aleksandrowéj. Trzeba ci bowiem wiedzieć, że mnie zna pół Warszawy, a wszystko najwięksi, najbogatsi panowie, znaczniejsi urzędnicy, bo ja się

z biedactwem nie lubię wdawać, bo i cóż z biedaka zarobi? A tu żyć trzeba, nic nie pomoże, życie się o swoje dopomina. Nie płacz więc, nie płacz, za moją pomocą wszystko to Bóg przemieni, będziesz i wesołą i szczęśliwą i prześlicznie ubraną; tylko pomału, potroszku, bo Kraków nie odrazu zbudowano. Teraz chodźmy Helenko.

Przez cały ciąg mowy pani Aleksandrowéj Helenka choć słuchała, ale tak nieśmiało, tak bojaźliwie, że aż to zwracało uwagę przechodzących. Wreszcie w całéj mowie pani Aleksandrowéj, w głosie, w jéj poruszeniu, było tak coś odpychającego, że Helenka kto wie czyby była za nią udała się, gdyby nie ciekawe, a często zbyt śmiałe spójrzenia przechodzących, które biedną dziewczynkę mieszały i coraz więcéj przekonywały, że bez pewnéj opieki trudno jéj będzie radzić sobie w Warszawie, i że gdy takowa zdarza się, niepowinna jéj lekkomyślnie odrzucać, bo tak o chléb codzienny, jak o poczciwe słowo lub poradę równie trudno na świecie. Westchnąwszy więc serdecznie, i przycisnąwszy mały krzyżyk zawieszony u piersi na czarnym sznureczku, obróciła się do swéj nowéj opiekunki i rzekła:

— Gotowam korzystać z dobroci pani, i pójdę, ale pamiętaj pani zastąpić mi matkę, bo ja sierota...

— Dobrze, dobrze moje dziecko, odrzekła pani Aleksandrowa, bądź spokojna, nic się nie frasuj, wszakże mną żaden widok zysku nie powoduje, tylko zwyczajnie miłosierdzie i poczciwość ludzka, bo i cóżbym ci wzięła? Może tę starą sukienkę albo chustkę?

Ostatnie to dowodzenie zupełnie Helenkę uspokoiło, a uznawszy, że pani Aleksandrowa ma słuszność, ucałowawszy jéj serdecznie rękę, jakby z żalu za okazaną cokolwiek nieufność, poprawiła zawiniątka, otuliła się lepiéj w chustkę i pomyślawszy sobie w duchu z oczami w niebo wzniesionemi—Boże! o mój Boże ratuj mnie, poszła razem ze swą opiekunką.

Przez drogę pani Aleksandrowa opowiadała jéj, jak to w Warszawie młodéj panience trzeba być ostróżną, jak nie ufać byle komu, i słuchać jéj we wszystkiem, jako starszéj i doświadczonéj. Jak ona niejednę już dziewczynkę podobną Helence pokierowała dobrze na świecie, że potém i za mąż dobrze powychodziły, i teraz często gęsto obdarzają ją przez wdzięczność dosyć kosztownemi podarunkami. Że i Helenkę ten sam los spotkać może, aby ją tylko we wszystkiem słuchała, kochała jak matkę, i miała

do niéj wszelkie zaufanie, i że wreszcie jest wdową po pewnym obywatelu warszawskim, która utraciwszy i męża i dzieci i wszystko co miała najdroższego dla swego serca na ziemi, wzięła za zadanie swego życia, z funduszu, jaki jéj po mężu pozostał, żyć skromnie, chwalić Boga, i wspierać radą i pomocą biedne sieroty, które w Warszawie pozbawione opieki, bardzo łatwo mogą się obłąkać i przez brak doświadczenia wpaść w sidła, jakieby na nie złość ludzka zastawiła.

Słowa te tak malujące dobitnie poczciwe serce pani Aleksandrowéj obudziły jak największą wdzięczność w duszy młodéj Helenki, a nawet i żal, że mogła na chwilę powątpiewać o szczerości jéj mowy, i jak najlepszych dla niéj chęciach. Uchwyciwszy więc rękę swojéj opiekunki, z uczuciem ją ucałowała, i przyciskając do piersi, rzekła od wzruszenia przerywanym głosem:

— Dobra pani! Bóg ci wynagrodzi za twoję dla mnie dobroć; będę Go codzień prosić za ciebie, a Bóg mnie wysłucha, jak wysłuchał już, kiedy przyszedłszy do Warszawy i nie wiedząc gdzie się mam obrócić, dał mi ciebie za przewodniczkę i opiekunkę. Ja zaś zyskawszy w tobie drugą matkę, stanę się wdzięczną i posłuszną córką. Wierz mi pani... wierz, bo ja nie umiem kłamać.

Tu Helenka już znacznie ośmielona i pokrzepiona na duchu opowiedziała, że ojciec jéj był w Grójcu mularzem, i że mu się bardzo dobrze powodziło, że ona chodziła do miejscowéj szkółki, a późniéj uczyła się robót i różnych innych nauk u pewnéj pani w mieście. Że późniéj ojciec jéj zachorował bardzo ciężko, a pozbawiony przez rok cały zarobku, bardzo zbiedniał, tak że po wyprzedaniu wszystkiego z domu, utrzymywali się prawie tylko z litości mieszkańców, że wreszcie gdy ojciec umarł, matka ze zmartwienia najpierwsza w mieście dostała cholery, wkrótce poszła za ojcem, a gdy epidemia rozeszła się po całem mieście i ofiarą jéj padła ta pani, która ją uczyła, taki strach powstał między mieszkańcami, że każdy lękając się o siebie, stronił od niéj jak od zapowietrzonéj, i ona naraz jeden znalazła się prawie opuszczoną od wszystkich.

— W tak smutnym stanie, mówiła daléj Helenka, Bóg mnie natchnął zamiarem udania się do Warszawy i usposobienia się na szwaczkę; w tym celu przypomniawszy sobie, że mam w Warszawie wuja stolarza Sebastjana, którego nazwiska zapomniałam, udałam się do miejscowego Proboszcza staruszka, bardzo zacnego, który udzieliwszy mi błogosławieństwo i dawszy wiele nauk

bardzo zbawiennych, żebym zawsze bała się Boga, Jemu ufała, kochała skromność, cnotę, pracę i w niéj tylko szukała środków przyszłego utrzymania, zaopatrzywszy małą kwotą pieniężną i obmyśliwszy furmankę przez wracającego furmana, wyprawił mnie w drogę, a sam udał się na miasto, dla niesienia pomocy religijnéj umierającym, i grzebania zmarłych, których z dniem każdym coraz więcéj przybywało. Przytém dał mi list do jednego z księży u Paulinów, ale nieszczęście chciało, żem go gdzieś zgubiła. Zmartwiona, odurzona nieszczęściami, jakie przebyłam, wysiadłam z bryki przed rogatkami, i wszedłszy w miasto, gdy znalazłam się w takim hałasie przejeżdżających powozów, w wirze ludzi przechodzących i niezważających jeden na drugiego, zdało mi się że jestem jakby w lesie, i nie wiem w którą się obrócić stronę.

Zrażona wszystkiem tém coraz więcéj, tracąc odwagę, posuwałam się wolno w miasto, sama nie wiedząc gdzie idę? oglądałam się na wszystkie strony, i gdy mi w milczeniu polecającéj się Bogu, prawie do płaczu przychodziło, nadeszłaś pani, i za jéj pomocą tak niespodziewanie z kłopotu wybawioną zostałam.

To wyrzekłszy Helenka otarła stojące łzy w oczach, przytuliła się do pani Aleksandrowéj, serdecznie ściskając jéj rękę, jakby chciała okazać całą swą dla niéj wdzięczność i zupełną ufność jaką w jéj dobroci dla siebie położyła.

— Dobrze to wszystko moje dziecko, odrzekła po chwili opiekunka, ale z roboty ręcznéj i do tego panience chcieć się utrzymać w Warszawie, to bardzo ciężka praca, i w korzyści dająca tylko nędzne, bez żadnéj przyjemności życie, a na ubranie prawie mało lepsze łachmany, w jakich się dzisiaj znajdujesz.

— Trudno proszę pani, odrzekła Helenka, spuszczając oczy, dziś lepiéj żądać nie mogę, bo jeszcze sama wiele nie umiem, ale jak przekonam ludzi o mojéj zdatności i pracowitości, to...

— To się zestarzejesz, przerwała pani Aleksandrowa, troszkę jakby z niecierpliwością, twarz wychudnie, zmarszczy się, oczy podsinieją i z Helenki będzie zawsze biedna tylko stara panna z jakiemi trzema dziesiątkami lat na przygarbionych od pracy plecach. A jednak, mówiła daléj, odwracając się z uśmiechem do Helenki i głaszcząc ją po twarzy, a jednak szkoda by było tego pięknego buziaka tak zmarnować, blasku twoich oczów osłabić pracą i ślęczeniem nad niewdzięczną igłą, a paluszków naszyć i uczernić niemi, jak szewc dratwą i smołą. Ale o tém po-

tém, ja ci co innego obmyśliłam, i zobaczysz; jak się tem ucieszysz, i jak mi będziesz wdzięczną.

Rzeczywiście Helenka piérwszy raz może w życiu słysząc pochwałę swoich wdzięków, o których nawet dobrze nie wiedziała, czuła jak jéj krew do głowy uderzyła, jak lica jéj pokraśniały, i spuszczając oczy tak się zmieszała, że nie umiała na to ani jednego słowa odpowiedzieć. Mimo to jednak nie wiedząc dla czego dziwny ją strach przejął i do tego tak silny, że niezważała na swoje sieroce położenie, na nieznajomość miasta, ludzi i na niewiadomość, co z sobą daléj pocznie, chciała uciec i skryć się gdzie daleko przed swą świeżo zyskaną opiekunką. Ale w téj chwili, kiedy powzięła tak śmiały zamiar i już prawie jeden krok zrobiła naprzód, rozległ się śpiew chóralny znanéj wszystkim pieśni: *Kto się w opiekę poda Panu swemu.* Helenka wstrzymała się spójrzała w stronę słyszanego śpiewu, a ujrzawszy tłum ludzi z odkrytemi głowami otaczających figurę Ś-go Jana niedaleko kościoła księży Reformatów, oświetloną kilkunastu palącemi się lampami, wspomniawszy sobie lata dziecinne i wspólny z matką pacierz, przy którym zawsze pieśń tę odmawiała, nie powiedziawszy ani jednego słowa, spiesznym krokiem podsunęła się ku śpiewającéj gromadce pobożnych, i padłszy na kolana, rzewnemi zalewając się łzami, z oczami wzniesionemi ku niebu, tak się poczęła modlić gorąco z całem oddaniem się modlitwie, że niewidziała, iż wszystkich na siebie zwróciła oczy; nie czuła, jak ją pani Aleksandrowa trącała, i nie słyszała, gdy ta nachylając się, przestrzegała ją, żeby z siebie nie robiła dziwowiska.

Kiedy tak Helenka modli się, prawie nie widząc co się koło niéj dzieje, przypadek chciał, że naprzeciw niéj zatrzymał się jakiś pan prowadzący żonę swą pod rękę, a gdy po zmówieniu pacierza podniósł cokolwiek nachyloną głowę i spójrzał po śpiewającéj gromadzie, wzrok jego padł na modlącą się Helenkę. Ujęty jéj nabożną postawą i przy młodości niezwyczajnym wyrazem twarzy, bo pełnym smutku, boleści i wiary zarazem, szepnął cóś do żony, ta zwróciła oczy na Helenkę, późniéj cóś także odpowiedziała, a ów pan dojrzawszy panią Aleksandrową, co jak zły duch stała tuż za biedną sierotką, i ciągle ją trącała i szeptała, namawiając do odejścia, zaczął się lepiéj temu przypatrywać. Po chwili oblicze jego zchmurzyło się, błysnął nawet gniew, i przybliżywszy się z żoną do dziewczynki, rzekł łagodnie:

— I czegoż panienko tak płaczesz, i tak modlisz się?

Helenka spójrzała, ale zanim zdobyła się na odpowiedź, opiekunka jéj rzekła:

— To moja siostrzenica, chodź Helenko.

— O! nie panie, odsuwając się z przestrachem, zawołała jakby z odrazą Helenka, nie panie, ja téj pani nieznam, bom ja sierota.

— Sierota jesteś?

— No chodź Helenko, pociągając ku sobie dziewczynkę, odezwała się p. Aleksandrowa, już późno, chodź....

— Ani mi kroku szkaradna babo, wrzasnął ów pan, groźnie wyciągając ręce, ani mi kroku!...

— A to znowu co nowego? zapytała hardo, napadnięta kobieta, co to, rozbój czy co?

— Milczeć! wrzasnął znowu pan, przysuwając się do kobiety dodał ciszéj:

Ja cię znam niegodziwa! ruszaj, póki mi zupełnie nie braknie cierpliwości, a gdy Aleksandrowa nadspodziewanie nie sprzeczając się i bez pożegnania, ruszyła ku placowi Bankowemu, ów pan odwracając się do Helenki, i wypytawszy o niektóre znane nam szczegóły aż do chwili spotkania się przy figurze, rzekł:

— Niegodziwa kobieta, byłaby cię moje dziecko zgubiła, ale jeżeli chcesz nam zaufać, to jest oto moja żona, możemy ci u siebie udzielić przytułek, aż do chwili wynalezienia stosownego dla ciebie miejsca.

W głosie i w całem obejściu się obojga tych państwa, tyle było dobroci i szlachetności, że Helenka nie namyślając się ucałowała ręce obojgu, przyjęła ofiarowaną sobie pomoc, i za staraniem tegoż samego państwa pomieszczoną została u jednéj znajoméj kobiéty, gdzie się między innemi robotami i szycia wyuczyć mogła, otrzymała więc to, czego tak sobie mocno życzyła. Ów nieznajomy opiekun był to majętny obywatel Stanisław J. z pod samego Krakowa, przybyły czasowo ze słabującą mu żoną do warszawskich doktorów.

Od tego czasu, jak wam powiedziałem, ubiegło lat dwadzieścia i Warszawa się zmieniła, i ludzie w niéj; tylko pozostał ten sam trajkot, hałas i wrzawa licznych przechodniów, i ta sama pobożność ludności warszawskiéj, która oby w niéj raz nazawsze równie czystą, zacną i poczciwą pozostała! Otóż w lat dwadzieścia po opowiedzianem powyżéj zdarzeniu, jednego letniego wieczora, tak samo jak przy figurze Ś-go Jana śpiewała gromadka pobo-

żnych przy statui Matki Boskiéj, przed kościołem księży Reformatów znajdującéj się. Kto zna tę statuę, kto ją widział przy zmierzchu nocnym, oświetloną tak dowcipnie urządzonemi latarniami, kto wpatrywał się w pięknie wyrobione oblicze Matki Chrystusa promieniejące otaczającém ją światłem, ten zapewne miejsca tego nigdy nie minął bez uchylenia głowy, i bez tego szczerego westchnienia, które często miléj przez Boga zostaje przyjęte, niż krocie modlitw ustami, a nie duszą i myślą wypowiedzianych. Uczucie to pobożności widocznie się odbijało w postaciach śpiewającéj gromadki; a widząc jak zgromadzeni klęczący na twardym bruku, korzyli się w śpiewie i modlitwie przed Panem nad Pany, to choćbyś miał najtwardsze serce, choćbyś zupełnie zapomniał się modlić, patrząc na nich w téj chwili, ożyłoby w tobie przygasłe uczucie, śpiewałbyś i modlił się jak tamci, i lepszymbyś odszedł niż byłeś przedtem.

Na boku pomiędzy kobietami, jakby dla większéj ułudy, tak samo jak niegdyś klęczała młoda dziewczynka, nie więcéj jak lat trzynaście mieć mogąca, a mając pokornie złożone ręce i oczy wlepione w twarz Boga Rodzicy, w których malowało się głębokie przejęcie modlitwą, tak była podobną do dawnéj owéj Helenki, z którą dziś Bóg wie co się stało, że gdyby nie przedział lat dwudziestu, gdyby nie ta pewność że naturalnie nią być niemoże, każdy znający scenę, którąśmy powyżéj opisali, w piérwszéj chwili wziąłby ją za dawną Helenkę i mimowoli choć po latach tylu zwróciłby ku niéj swe oczy. Tuż przy niéj klęczał już niemłody, ale czerstwy i pełen życia człowiek, przyzwoicie lecz skromnie ubrany, i z rozłożonéj książki wtórował basem śpiewającéj gromadce. O parę kroków stała jakaś żebraczka, oparta na kiju, w łachmanach, z pomarszczoną, opuchniętą twarzą, i trzęsącym zachrzypłym głosem naprzemian śpiewała i odmawiała pacierze, a naprzeciwko z bacznie ku nim zwróconém spojrzeniem stał jakiś pan, cały czarno chociaż wytwornie ubrany, siwy, łysy i z widocznie cierpiącym wyrazem twarzy, noszącym ślady bolów i kolców życia, jakich widać dosyć napotkał w doczesnéj swéj pielgrzymce na ziemi. Kiedy śpiéw ustał, i pobożni śpiéwacy zanuciwszy pieśń pożegnalną, poczęli się rozchodzić ku swoim mieszkaniom, ów pan przybliżył się do dziewczynki i zapytał ciekawie: — Moja panienko! powiedz mi, jak się nazywasz?

— Helenka, odrzekła skromnie dziewczynka.

— Helenka, z zadziwieniem powtórzył nieznajomy, i jakby do siebie dodał, dziwny traf! co za szczególne zdarzenie.

— To jest jéj ojciec, proszę łaski jaśnie pana, odezwała się żebraczka, wskazując na owego niemłodego człowieka, któregośmy poznali przy klęczącéj Helence.

— Idź asani precz! z oburknięciem odezwał się ojciec, bo nawet twoich oczów, twego głosu lękam się, żeby mi nie urzekły dziecka... Żebraczka coś zamruczała pod nosem, ale została w miejscu, a nieznajomy pan sięgając do woreczka, rzekł:

— Mój dobry panie, dla biednych zawsze litość mieć powinniśmy w sercach, a łachmany...

— Zasłużyła na nie panie dobr., przerwał ojciec dziewczynki, bo pani Aleksandrowa gdyby...

— Jakto? z zadziwieniem zapytał ów pan, więc to dawna pani Aleksandrowa?

— Tak, ta sama panie! co może jakie ze sto biednych dziewczynek wprowadziła na drogę błędu i nieszczęścia. Oj! ptaszek to, ale Bóg ukarał, bo złe nie uchroni się Jego sprawiedliwego gniewu.

Żebraczka, dawna Aleksandrowa, na te słowa krzyknęła przeraźliwie, jakby ją kto nożem wskróś przebił, zasłoniwszy twarz rękoma, rzewnym zaniosła się płaczem.

Przykry, bolesny to był widok, a gdy ów pan obdarzywszy jałmużną, usunął się cokolwiek na bok od narzekającéj grzesznicy, ojciec dziewczynki rzekł:

— Kobiéta ta panie dobr. dorobiła się nawet swoją niegodziwością ładnego grosza, ale przyszła choroba długa i ciężka, i grosz jak plewa rozszedł się po świecie, że jak powstała z łóżka, nie było za co najpierwszych obegnać potrzeb. Późniéj odbierając tu i ówdzie po ludziach rozrzucony pieniądz, żyła jakiś czas, ledwo nogi powłócząc za sobą, ale z téj desperacyi, czy téż z wyrzutów sumienia wzięła się do gorzałki, została po prostu pijaczką i resztę straciwszy zdrowia zapuchła, chwyciła za kij żebraczy i włóczy się po mieście, polując na litość ludzką. Oj! znam ja ją dobrze, a moję żonę o mało także nie chwyciła w swoje pazury, i gdyby nie jeden znany pan...

— Czy pańskiéj żonie na imie nie jest czasem Helena? przerwał ów pan z żywością.

— Helena, potwierdził ojciec ze zdziwieniem, a czy pan dobr. zna moją żonę?

— Ja jestem Stanisław J. obywatel z pod Krakowa.

— Pan Stanisław, z radością zawołał ojciec dziewczynki, a mój Boże! a jakże się-téż żona moja ucieszy, a toć my pana zawsze mamy w pamięci, i na Ś-ty Stanisław na intencyą pańską zawsze dajemy na Mszę Ś-tą. Ja się nazywam Mateusz Dubicki, jestem krupiarzem, mam sklep w rotundzie za żelazną bramą, i zdejmując czapkę mówił daléj: Łaskawy i dobry panie, racz odwiedzić moję żonę, a to i ona chyba oszaleje z radości, bo to poczciwa, zacna kobiéta, i choć była tylko biédną szwaczką ale ja poznawszy jéj skromność, pobożność i pracowitość, odrzuciłem nawet posażne marmuzele z djabłem za pazuchą, ożeniłem się z biédną ale poczciwą dziewczynką, i dziś panie jestem szczęśliwy całą gębą człowiek, mam chleba po pas, kawał grosza w szkatule pod kluczem żony, któréj pracy i oszczędności wszystko jestem winien, a to moja córka najstarsza Helenka, a druga z chłopcem wrzeszczą matce w domu nad uszami.

Na drugi dzień rano w mieszkaniu państwa Dubickich, ładnie, schludnie i z pewnym wdziękiem urządzoném, a świadczącém o zamożności i dobrym bycie jéj mieszkańców, siedział na kanapie pan Stanisław, popijając czekoladę, a naprzeciw niego owa dawna Helenka, a dziś pani Dubicka, któréj czas dodał trochę tuszy, więcéj powagi i śmiałości, a nic prawie nie ujął z wdzięku i szlachetności na twarzy; opowiadała dzieje swego życia, przerywając sama sobie z westchnieniami bolesnemi i obcieraniem łzy, pokazującéj się w oczach. Pan Stanisław słuchał opowiadania z wielkiem zajęciem, w końcu którego rzekła dawna Helenka:

— Wdaniem pańskiém zwolniwszy się od narzuconéj mi opiekunki Aleksandrowéj, przekonałam się że dla biédnéj szwaczki i do tego sieroty w Warszawie, najpiérwszym opiekunem jest wiara, ufność w Bogu i szczera do Niego modlitwa. Że ta podnosząc ducha uszlachetnia serce, i taką okrywa skromnością i szlachetnością młodą dziewczynę, że źli ludzie zdaleka ją omijają, a złe i pokusa do złego nie śmieją do niéj nawet przystąpić. Modliłam się téż szczerze i z wiarą, ile razy tylko trwoga lub jakaś niepewność w sercu mojem powstały, i Bóg mnie po sześciu latach ciężkiéj pracy, wynagrodził poczciwym mężem, dostatkiem, szacunkiem ludzkim, zdrowiem, i trojgiem żwawych dzieciaków, które pragnę, by się nauczyły modlić i wierzyć.

Kiedy póżniéj w godzinę szedł p. Stanisław ulicą zamyślony, rozważając sobie los Aleksandrowéj i poczciwéj pani Dubickiéj

i widoczną w tém wszystkiém karę i nagrodę Boską, przyłożył rękę do serca, i rzekł sam w sobie:

Boże! niezbadane są Twoje wyroki, ukarałeś jednę, nagrodziłeś drugą, a mnie po stracie poczciwéj żony i wszystkich dziatek, dałeś dziś taką *pociechę*, taką radość, jakiéj już dawno, bardzo dawno nie doświadczałem. Następstwo to dobrego czynu, które dla takiego jak ja samotnika, jedyną *pociechą* i szczęściem.

BAJKI, STRACHY
I
ZWIERZĘTA PRZEDPOTOPOWE.

Wiadomo wszystkim, że w opowiadanych historyach czyli bajkach, których się każdy dosyć nasłuchał w dziecinnych latach, od ludzi zgromadzonych przy jakiéj robocie, np. przy obieraniu kapusty lub przędzeniu lnu, występują czasem różne przerażające zwierzęta, potwory o kilku czasem o kilkunastu łbach, z pazurami lub szponami, z pyskami lub kłami, które przejmując nieopisanym strachem, najokropniejszych dopuszczają się napaści. Czasami bajki te opowiadają o ludziach tak wielkich i silnych, że mogli góry przenosić z miejsca na miejsce, a wyrwanemi w lesie najwyższemi hojakami, podpierali się jak laskami, zwykle przez starszych do chodu używanemi. Dla lepszéj wiary że rzeczywiście tacy wielkoludzi żyli kiedyś na świecie i nawet zwali się Gigantami, przy niektórych wiejskich kościołach, znajdują się pojedyńcze wielkie kości, przytwierdzone łańcuchem do ściany zewnętrznéj, o które popytawszy, co one znaczą? to najczęściéj można usłyszyć w odpowiedzi, że są to piszczele albo kości z palca Gigantów, czyli ludzi tak wielkich, że każdy z nas choćby naj-

wyższy i najtęższy, to ledwo swoim wzrostem dorównywa ich jednemu palcowi.

Mając takie dowody ich bytności, nikt nie wątpi że kiedyś żyli na świecie; wierząc więc w Gigantów wierzy i w przeróżnych potworów, a nawet w czarownice, czarodziejów, w strachy, duchy, przeszkody, jędzonki, potępieńców, co nietylko że straszą i najokropniejsze wyprawiają psoty, ale czasem, ludzi żywcem porywają i unoszą z sobą w jakieś ciemne i przeraźliwe otchłanie. Baśni takich nasłuchawszy się od młodego wieku, i przejąwszy niemi myśl swoją, przy słuchaniu czując nieraz jak się włosy na głowie jeżyły, a po skórze przechodziło mrowie, człowiek z pamięcią o tém zostaje na całe życie, i niech szczególniéj w ciemności, usłyszy jakieś stukanie, szum, pisk, jakie głosy, to zaraz mu do myśli przychodzą najstraszliwsze wypadki ze słyszanych w młodości bajek, i zdaje mu się że co chwila stanie przed nim jaki nieboszczyk, duch lub potępieniec. I ulegając strachowi, drży, poci się, unika ciemności, w nocy za żadne pieniądze nie pójdzie w miejsce bezludne, do pustego jakiego gmachu lub podziemia, a na cmentarz to choćby szło o życie, nie stąpiłby ani krokiem.

Strach taki jest wprawdzie bardzo naturalny, ale niezmiernie śmieszny i dziecinny, bo dla czegoż w dzień nie podlegamy mu tylko w nocy? Dla czego w dzień usłyszawszy coś takiego, czego sobie nie umiemy wytłumaczyć, staramy się dojść przyczynę i zbadać co to i czemu nas zaniepokoiło. W nocy zaś po ciemności zupełnie przeciwnie postępujemy, bo nietylko na najmniejszy szmer okropnie się niepokojemy, ale nawet nie badając przyczyny, nie oglądając się po za siebie, uciekamy w największym pędzie, niby ptak spłoszony albo zwierz jaki szybki w biegu zestrachany. Wówczas serce bije nam jak młotem, skóra cierpnie, włosy stają słupem, i szczękając zębami z obłąkanemi oczami, uciekamy nic nie widząc przed sobą, choćby w ogień i w niezgłębioną wodę.

Gdyby podobne wypadki zawsze kończyły się tylko na strachu i jakich śmiesznych wydarzeniach, byłoby pół biédy, ale czasami zdarzają się z tego różne nieszczęścia, utraty zdrowia a nawet życia; a czasami oszustwa, kradzieże, morderstwa i różne zbrodnie. Z wypadków tych możnaby spisać grubą książkę i byłaby ona niezmiernie nauczającą, ale któż ich nie zna, kto o nich nie słyszał?

Mimo tego nie ma prawie żadnego pustego gmachu, żadnych starych ruin, ani pustkowia, w którychby według baśni ludzkiéj, nie pokazywały się jakie strachy. Jedni opowiadając różne słyszane i widziane nadzwyczajności, i widząc niezmiernie wytężoną ciekawość w słuchaczach, robią przeróżne z samych siebie dodatki, tworząc takie z tego cudaczne historye, że samemu zmyśleniu dosyć się nie można nadziwić. Drudzy znowu ślepo temu wierzą, i lękając się, bojaźnią przejmują drugich, siejąc trwogę w około siebie. Inni nareszcie korzystają z tego, śmiejąc się cichaczem z łatwowierności ludzkiéj.

Nie dawno w jednym pustym kościołku, otoczonym cmentarzykiem oparkanionym, według opowiadania ludzkiego zaczęły się pokazywać jakieś cienie po nocy, przechodzące się pomiędzy grobami. Czasami w oknach, zawsze w pośród nocy, spostrzegano światło, a często słyszano jakby podziemne dudnienie i jakieś dziwne głosy podobne do jęku, zgrzytania zębami, lub niezwyczajnego warczenia. W całéj więc wsi zaczęli ludzie szeptać że w kościołku coś straszy i zjawiły się jakieś pokutujące dusze, najpewniéj należące do zmarłych około niego pochowanych. Poczęli więc ludzie od miejsca tego stronić, nie tylko w nocy ale i w dzień nawet, i coraz straszliwsze opowiadać historye. Szepty te wreszcie szerząc się coraz bardziéj, doszły do wiedzy ludzi mędrszych a więc nie tyle bojaźliwych, i ci postanowili zbadać właściwą przyczynę tych trwożliwych wieści. Wójt gminy więc z sołtysem i jednym jeszcze gospodarzem, poszli w dzień do kościołka i z wielkim swém zdziwieniem, znaleźli w nim pełno gnoju końskiego, szczątki siana i obroku, kaganek z łojem i knotem, niedogryzione kości, kawałki suchego chleba, papiéru i obrzynki ze skór, postronków i różnych gałganów, właściwych stajni, ale nie miejscu w którém niegdyś oddawano cześć Bogu i śpiewano nabożne pieśni. Przekonano się więc z tego dowodnie, że w kościołku tajemnie bywali jacyś ludzie, i to źli zapewnie, skoro się okrywali tak wielką tajemnicą. Przegląd więc swój w wielkiéj tajemnicy zachowawszy, kościołek w nocy miano na szczególniejszém baczeniu, i dopatrzywszy raz jak dwóch ludzi przyjechało do niego od strony pola i przez zepsuty parkan wprowadzili konie na cmentarz a potém do kościoła, dano znać na wieś, i w kilkunastu ludzi podsunąwszy się cichaczem pod niego, ujrzano rzeczywiście przy słabym blasku kaganka, dwa stojące konie przy obroku i dwóch nieznanych ludzi leżących na barłogu.

Usłyszany szmer ze dworu, zwrócił natychmiast obu uwagę, podnieśli głowy, nadstawili uszów, i przekonawszy się widać o niebezpieczeństwie, zerwali się obadwa szukając w ucieczce ocalenia. Złapano ich jednak, związano postronkami i zaprowadzono do kancelaryi.

Przy indagacyi zeznali, że już od dwóch przeszło miesięcy, w kościołku zawsze odpoczywają w nocy, ze skradzionemi w dalszéj okolicy końmi; i że nakarmiwszy ich w parę godzin ruszają daléj i tym sposobem wszelki ślad gubią za sobą. Strachy więc ukończyły się, ale choć przekonano się, jaka z rzeczy najwyraźniejszéj wyrosła bajka, jednak w możność strachów nie przestano wierzyć. Ludzie zawsze łatwowiernemi pozostaną.

W innéj znowu wsi do chałupy jednego z gospodarzy, codzień prawie jakiś strach przychodził w nocy do izby; tłukł się garnkami, miskami, szurgotał się po szafie, i zawsze zwykle chlipotał jak pies, kiedy pije wodę. Ponieważ to działo się w lecie, gospodarz więc sypiał z końmi na pastwisku, a choć mu żona opowiadała o tych nocnych strachach, i że w czasie awantur dokonywanych, z bojaźni zwykle szczękając zębami, kryła głowę pod pierzynę, mąż śmiał się z tego, przedrwiwał i składał wszystko na kota albo szczura. Ale uważano że po każdém takiém straszeniu, zwykle brakło albo mléka, albo séra, albo barszczu ze sperką, a gdy raz zginęła jedna kiełbasa z komina, gospodarz ów troszkę zafrasował się, że go wyraźnie nawiedza strach i do tego głodem wymorzony, skoro się wykarmia jego pracą. Więc nie mówiąc nic nikomu, wieczorem jak zwykle pojechał z końmi na pastwisko, spętawszy zostawił pod opieką sąsiada, a sam bokami wrócił niepostrzeżenie do domu. W nocy strach nieomieszkał się stawić, a ośmielony kilkorazowém powodzeniem, zaczął między garnkami tak gospodarzyć jak u siebie, coś nawet szeptał, wzdychał, skrobał i napotkawszy wreszcie na mléko, rozpoczął chlipanie, które najbardziéj ową gospodynię przerażało. Mąż cichaczem zsunął się z łóżka, zaszedł z tyłu strachowi, i krzyknąwszy:

— A tuś mi kotku? tak go wyciął kijem przez plecy, że strach wrzasnąwszy z przerażenia prawie nie ludzkim głosem, wypuścił garnek z ręku a sam z bolu wygiął się jak przełamany. Kij warknął znowu raz i drugi, że strach aż przykucnął do ziemi i zawołał płaczącym głosem:

— A bójcie się Boga, Stanisławie, przebaczcie bo mnie chyba ubijecie....

— To wy kumie? ze zdziwieniem zapytał Stanisław, a wy co tu robicie?

— Za próchnem przyszedłem bo chciałem ognia zrobić.... a wy....

— A i utknęliście na garnczku z mlékiem?

— Sam mi wpadł do ręki, i tylko chciałem się przekonać co w nim jest takiego.

Co było śmiechu potém we wsi, to łatwo się domyślić, ale od tego czasu w chałupie Stanisława, przestał strach się zjawiać, a Stanisławowa nie mogła się odżałować, że nie wiedziała iż kijem można go odegnać, bo byłaby to sama zaraz w początku zrobiła.

Mógłbym podobnych przykładów bardzo wiele przytoczyć, ale dosyć i tych dwóch, żeby przekonać się jak to źli ludzie umią z głupstwa ludzkiego korzystać. Strachów więc pukających, ryczących, szurgających, przerzucających gratami, nie ma na świecie, boby to się nie zgadzało z wszechmocnością i mądrością Boską, wreszcie tylu jest złych pomiędzy ludźmi, że ci wystarczą za wszystko. Wprawdzie dusza ludzka jako nieśmiertelna, po śmierci człowieka może czasem potrzebować jakiéj styczności z temi, z któremi niegdyś żyła za życia, ale wchodząc z ludźmi w stosunek, nie robi tego ze strachem, pukaniem lub przeszkadzaniem, ale przeciwnie jak najspokojniéj, nie obudzając najmniejszéj bojaźni nawet, np. we śnie lub w dzień jasny. Takim objawieniom się duszy zmarłych można wierzyć, bo to przytrafiało się ludziom dalekim od wszelkich bajek, poważnym, światłym, szanowanym przez wszystkich, i zgodne jest z wiarą w nieśmiertelność duszy. Ale strachom i straszeniu nie wierzcie, bo to jest bluźnierstwem przeciw miłości i mądrości Boga, a więc grzechem godnym największéj nagany.

Zkąd zaś baśnie powstały o Gigantach czyli wielkoludach, i opowiadania o kościach znajdujących się przy kostnicach lub kościołach, to bardzo to łatwo wytłumaczyć.

Bóg dając człowiekowi rozum, dał mu zarazem ciekawość badania i dochodzenia wszystkiego co mu tylko pod oczy podpada. Każdy więc dochodzi czegoś, i choć to są malutkie odrobiny z tajemnic Bożych, jednak razem połączone tworzą naukę, rozchodzącą się na różne przedmioty. Pomiędzy wielu badaniami, człowiek zwrócił także uwagę i na zwierzęta dziś żyjące,

a szczególniéj na skład ich kości i całe wewnątrz urządzenie. Poznał więc jak najdokładniéj, nietylko skład ich ale i człowieka i to tak szczegółowo, że umie każdą znalezioną przypadkiem kostkę, oznaczyć do jakiego zwierza należy, z jakiego pochodzi członka, i nadto z wydobytych z głębokości ziemi kości, poznał, że dawniéj kiedyś przed potopem jeszcze, były takie zwierzęta, jakich dziś już nie ma, i dokładnie narysował całą ich powierzchowność, jakby patrzył na nie własnemi oczami. Niedowiarki śmieli się z tego, ale gdy w lodach Syberyjskich, znaleziono mamuta, tak dobrze przechowanego, że mięso z niego niezepsute jeszcze psy pożerały z wielkim apetytem, i ten po wydobyciu z odwiecznych lodów w których przeleżał, zupełnie się okazał podobnym do opisanego zwierza przez uczonych ludzi, wówczas przekonano się, że nauka ludzka to nie fraszki, i że człowiek mocą zastanawiania się i rozwagi, może dochodzić wielu tajemnic natury.

Wszystkie zwierzęta żyjące przed potopem, były ogromnych rozmiarów, jakich dziś nie spotykamy; że zaś przez płynące wody, szczątki z nich rozrzucone po różnych stronach świata, nawet i u nas przypadkiem odkrywają, więc znalazłszy jaką, a widząc ją niezmiernie olbrzymią i nie mogącą należyć do żadnego żyjącego tworu, przypuszczono przez niewiadomość, że kiedyś na świecie, musieli się znajdować wielkoludzi czyli Giganty, i że z ich członków koście podobne pochodzą. Więc jako ludzkie, chroniąc od zatracenia, pomieszczono je przy kostnicach albo kościołach na podziw ludzki.

K. G.

ZNACZNIEJSZE JARMARKI KRAJOWE.

GUBERNIA WARSZAWSKA.

Powiat Warszawski. *Warszawa.* Jarmarków 2, w maju w 2gi poniedziałek po ś. Filipie i Jakóbie; w listopadzie w poniedziałek po Wszystkich Świętych. Każdy trwa po 3 tygodnie: z których 1szy tydzień wstępny, drugi właściwy targowy, a trzeci tygodniem wypłat się zowie. Prócz tego jarmark na wełnę od dnia 3 (15) czerwca trwający dni 3. Kontrakty na ś. Jan Chrzciciel.

Powiat Łowicki. *Łowicz.* Jarmarków 6, w poniedz. po Niedzieli Starozapustnéj, we wtorek po Niedzieli Kwietniéj, na ś. Jan Chrzciciel, trzy dni trwać mający, w poniedziałek po Wniebowzięciu N. P. Maryi, na ś. Mateusz, ośm dni trwać mający, w poniedziałek po ś. Andrzeju.

Powiat Kaliski. *Kalisz.* Jarmarków 6, w poniedziałek po Oczyszczeniu N. P. Maryi, w poniedziałek przed ś. Markiem, dnia 16 (28), 17 (29), 18 (30) maja, trzydniowy na wełnę, w poniedziałek przed ś. Idzim, po ś. Jadwidze, po ś. Marcinie.

Powiat Sieradzki. *Widawa.* Jarmarków 6, w poniedziałek po Niedzieli Zapustnéj, w poniedziałek po 3éj Niedzieli postu, 6 dni trwać mający, we wtorek po Zielonych Świątkach, w poniedziałki: po ś. Małgorzacie, po ś. Marcinie, po 3éj Niedzieli Adwentu.

GUBERNIA RADOMSKA.

Powiat Radomski. *Radom.* Jarmarków 2, na ś. Jan Chrzciciel, trwający dni 5, i od d. 28 sierpnia (9 września) trwający także dni 5.

Powiat Kielecki. *Jędrzejów.* Jarmarków 6, we czwartki: po 3ch Królach, po ś. Kazimierzu, we środę po ś. Wojciechu, w piątek po Bożém Ciele, trwający dni 8, na ś. Franciszek Seraficki, trwający dni ośm, we czwartek po ś. Katarzynie.

Powiat Stopnicki. *Busk.* Jarmarków 5, we środy: po 3 Królach, po Niedzieli Środopostnéj, jarmark ciągły cztero-miesięczny przez czas kąpieli letnich, od dnia 20 maja (1 czerwca, od d. 19 września (1 października) trwający, z wyłączeniem Niedzieli i Świąt uroczystych; po Wszystkich Świętych, po Niepokalaném Poczęciu N. P. Maryi.

GUBERNIA LUBELSKA.

Powiat Lubelski. *Lublin.* Jarmarków 6, w poniedziałek po Niedzieli Kwietniéj, we wtorek po Zielonych Świątkach, trzy dni trwający, w poniedziałki: po ś. Bernardzie, trzy dni trwający, po ś. Michale, po Wszystkich Świętych, przed Bożém Narodzeniem.

Łęczna, jarmarków 6, w poniedz. po 3 Królach, we wtorek po ś. Józefie, w piątek po Bożém Ciele, 8 dni trwający, w poniedz. po ś. Magdalenie, na ś. Idzi, 10 dni trwający, w poniedz. przed ś. Mikołajem.

GUBERNIA PŁOCKA.

Płońsk, jarmarków 6, we wtorki: po Niedzieli Kwietniéj, po Zielonych Świątkach, po ś. Piotrze i Pawle, po ś. Bartłomieju, po Wszystkich Św., po Niepok. Pocz. N. M. Panny; wszystkie po większéj części na bydło i konie.

Wyszogród, jarmarków 6, we wtorki: po ś. Jakóbie, po Wniebowstąpieniu Pańsk., po Bożém Ciele, po ś. Jakóbie, po ś. Michale, po ś. Łucyi.

Ciechanów, jarmarków 6, we środy: po ś. Weronice, po Niedz. Środopostnéj, po ś. Stanisławie, po ś. Magdalenie, po Narodz. N. M. Panny, po ś. Marcinie.

Mława, jarmarków 6, we wtorki: po ś. Macieju, przed ś. Filipem i Jakóbem, po ś. Trójcy, po ś. Piotrze i Pawle, po ś. Michale, przed ś. Mikołajem.

Przasznysz, jarmarków 6, we środy: po Oczyszczeniu N. M. Panny, po Niedzieli Kwietniéj, po Wniebowstąpieniu Pańskiém, po ś. Jakóbie, po Narodzeniu N. M. Panny, po ś. Katarzynie.

Pułtusk, jarmarków 6, we wtorki: po trzech Królach, po ś. Józefie, po Zielonych Świątkach, po Narodz. N. M. Panny, po ś. Jadwidze, po ś. Elżbiecie.

Myszyniec, jarmarków 6, we środy: po Trzech Królach, po Zwiastow. N. M. P., po ś. Trójcy, po Wniebowzięciu N. M. P., po ś. Michale, po ś. Marcinie, na konie i bydło, oraz miód i wosk.

Ostrołęka, jarmarków 6, we środy: po ś. Walentym, po ś. Józefie, po Nawiedz. N. M. P., po Podwyż. św. Krzyża, po Wszystkich Świętych, po Niepokal. Pocz. N. M. P.

GUBERNIA AUGUSTOWSKA.

Ciechanowiec, jarm. 6, w poniedziałki: po Oczyszcz. N. M. P., na ś. Wojciech, po Bożém Ciele, przed ś. Wawrzyńcem, po ś. Mateuszu, po ś. Andrzeju; na jarmarki te najwięcéj doprowadzają bydła.

JARMARKI W CESARSTWIE.

Charków, 1-szy na Trzy Króle, od 6 stycznia i 2-gi na Wniebowstąpienie N. M. Panny, od 15 sierpnia, przez 4 tygodnie każdy.

Dubno, jarmarków 2, jako to: 1-szy na śś. Piotra i Pawła, podług ruskiego kalendarza, trwa 3 tygodnie; dwa tygodnie przed tym jarmarkiem zaczyna się jarmark na wełnę. 2-gi na Trzy Króle, gdzie się odbywają różne interesa obywatelskie (Kontrakty), i trwa 4 tygodnie.

Jarmolińce na Podolu, jarmarków 3, jako to: na Przewodnią Niedzielę, dnia 27 czerwca, na ś. Mikołaj, gdzie sprzedają się różne towary, konie ręczne i tabuny, oraz bydło.

Nieśwież, jarmark 1 lipca, trwający przez 3 tygodnie.

Niżegoród, od 15 lipca do 15 sierpnia.

Poczajów miasto na Wołyniu, jarmarków 2, jako to: 4ro-niedzielny na Zielone Świątki ruskie, 2-gi 4ro-niedzielny na Uśpienie ruskie.—*Parycze*, w pow. Bobrujskim: w dzień ś. Parascewii 14 paźdz., trwa 8 dni.—*Romno*, w gub. Połtawskiéj: na Wniebowstąpienie Pańs., i 2gi na ś. Eliasza Proroka 20 lipca, każdy trwa przez 4 tygodnie.

Wilno, od 23 kwietnia do 15 maja vet. styl.

Swisłocz, jarmarków 2, jako to: 1-szy 1 maja, trwający dni 5, 2-gi na ś. Bartłomiéj.

JARMARKI ZAGRANICZNE.

Gdańsk, jarmarków 2, jako to: na ś. Dominik, i na ś. Marcin.

Lipsk, jarmarków 3, jako to: na Nowy Rok, na Niedzielę Jubilatę (Niedz. 3 po Wielk.), po ś. Michale.

Poznań, jarmarków 4, jako to: w Niedzielę Wstępną, na ś. Jan, na ś. Michał, na ś. Łucyą.

JARMARKI ZAGRANICZNE W CESARSTWIE AUSTRYACKIÉM.

Lwów, jarmarków 2, na ś. Jerzego (po małorossyjsku na ś. Jury), od dnia 24 kwietnia przez 4 tygodnie, według star. kalend., szczególnie na sprzęty gospodarskie (bednarszczyznę); i na Opiekę N. P. Maryi (po małoross. na Pokrowę), od dnia 1 października przez dwa tygodnie, szczególniéj na futra baranie czyli kożuchy.

Rzeszów miasto cyrkułowe, jarmark na ś. Wojciech, trwa cały tydzień, trzy dni przed 23 kwietnia i trzy dni po 23 kwietnia, na konie.

Termina opłacania podatków i wnoszenia opłat tak do kass miasta Warszawy, jako i do kass powiatowych.

W STYCZNIU. *Do kass miasta Warszawy.* Czynsz z gruntów w Pradze na raz.—Kanon od zarobk. (miejscowe) na raz.—Subsidium Charitativum, na raz.

Rata 1. Kanony z realności miejskich. Prowizya od kapitałów miejskich. Procent od pożycz. budowl. Szarwark. Kominowe. — Opłata kwaterunkowa.— Ofiara. — Dzierżawy z domów skonfiskowanych.—Zwrot pożyczki za cynk.

Do kass powiatowych. Ofiara z dóbr duchownych ziemiańskich i donatarjuszów, rata pierwsza. Subsidium Charitativum, na raz Kanon, Kompetencya, procent z dóbr przeszłych na własność prywatną, rata pierwsza. Kanon z młynów i wiatraków, rata pierwsza. Konsumcya od rzezi po wsiach, na raz. Opłata gorzelniana, rata pierwsza. Od wyrobu cukru z buraków, rata pierwsza. Dziennik praw i Gubernialny. Opłata od uczniów, rata pierwsza.

W LUTYM. *Do kass miasta Warszawy.* Rata pierwsza latarniowe.—Kontyngens liwerunkowy.

Do kass powiatowych. Kontyngens liwerunkowy od gromad, rata pierwsza.

W MARCU. *Do kass miasta Warszawy.* Rata 1sza. Brukowe.—Kanałowe.—Podymne z dopłatą dwugrosz.

Do kass powiatowych. Kanon z dóbr przeszłych na własność prywatną, rata druga. Kontyngens liwerunkowy z dworów i probostw, zwyczajny i podwyższony, rata pierwsza. Podymne łącznie z opłatą szarwarkową, rata pierwsza. Podatek osobisty od oficyalistów i służących dworskich, na raz. Składka transportowa.

Od 15 marca do 15 kwietnia pobór pierwszéj raty podatku gruntowego.

W KWIETNIU. *Do kass miasta Warszawy.* Opłata kwaterunkowa, rata druga.—Opłata klassyczna, na raz.

Do kass powiatowych. Opłata gorzelniana, rata druga.

W MAJU. *Do kass powiatowych.* Opłata od patentów propinacyjnych, rata pierwsza.

W CZERWCU. *Do kass miasta Warszawy.* Prowizye od kapitałów z legatów, rata druga.—Szarwark.—Ofiara.— Szynkowe od starozakonnych na raz.

Do kass powiatowych. Ofiara z dóbr duchownych, ziemiańskich i donatarjuszów, rata druga. Ofiara podwyższona, na raz. Kanon z dóbr przeszłych na własność prywatną. Kanon z młynów i wiatraków, rata druga. Dzierżawy czasowe i wieczyste z dóbr rządowych, po-jezuickich i suprymowanych, rata pierwsza. Kwarta i przewyżka intraty z dóbr rozdarowanych, rata pierwsza. Opłata od wyrobu cukru z buraków, rata druga. Szynkowe od starozakonnych, na raz. Prowizye od kapitałów po-jezuickich i po duchowieństwie suprymowaném, po-pruskich i po-instytutowych, od legatów, — prowizye i amortyzacye od kapitałów ze Skarbu wypożyczonych, rata pierwsza.

W LIPCU. *Do kass miasta Warszawy.* Rata druga. Kanony z realności miejskich.—Prowizye od kapitałów miejskich.— Procenta od pożyczek budowl.— Kominowe.— Dzierżawy z domów skonfisk.— Zwrot pożyczki za cynk.

Składka ogniowa i na wodociąg na raz. — Opłata kwaterun. trzecia rata.

Do kass powiatowych. Opłata gorzelniana, rata trzecia. Opłata od patentów propinacyjnych, rata druga. Składka ogniowa, na raz.

W SIERPNIU. *Do kass miasta Warszawy.* Rata druga. Latarniowe.

Do kass powiatowych. Opłata od uczniów.

WE WRZEŚNIU. *Do kass miasta Warszawy.* Brukowe druga rata.—Kanałowe.—Podymne z dopłatą 2-grosz.

Do kass powiatowych. Kanon z dóbr przeszłych na własność prywatną, rata czwarta. Kontyngens liwerunkowy od dworów, zwyczajny i podwyższony, i od probostw, rata druga. Podymne łącznie z opłatą szarwarkową, rata druga. Dzierżawy wieczyste i dziesięciny wytyczne, rata druga.

W PAŹDZIERNIKU. *Do kass miasta Warszawy.* Opłata kwaterunkowa, czwarta rata.

Do kass powiatowych. Opłata gorzelniana, rata czwarta.

Od 15 października do 15 listopada pobór drugiéj raty podatku gruntowego.

W LISTOPADZIE. *Do kass miasta Warszawy.* Czynsz z gruntów w Warszawie, na raz. — Czynsz z attynencyi zamków

na raz. — Kontyngens liwerunkowy, druga rata. — Czynsz z gruntów skarbowych, na raz.

Do kass powiatowych. Kontyngens liwerunkowy od gromad, rata druga.

W GRUDNIU. *Do kass miasta Warszawy.* Prowizye od kapitałów z legatów, rata druga.

Do kass powiatowych. Kanon z dóbr przeszłych na własność prywatną, rata piąta. Dzierżawy, czynsze, dziesięciny i procenta od kapitałów, jak w miesiącu czerwcu. Czynsze włościańskie. Zwrot pożyczek z funduszu żelaznego.

Wyciąg z taryffy opłat stemplowych.

Metryki chrztu z ksiąg parafialnych wydawane, na papierze stemplowym za złp. 1.

Paszporty i różne świadectwa przez Wójtów Gmin wydawane, na stemplu za złp. 1.

Prośby do Wojtów Gmin na stemplu za złp. 1.

Prośby do Konsystorza, do Naczelnika powiatu i *do Gubernatora* na stemplu za złp. 2.

Prośby do Rady Stanu, Rady Administracyjnéj i *Namiestnika Królestwa Polskiego*, na stemplu za złp. 6 gr. 20.

Prośby do Kommissyjów Rządowych, na stemplu za złp. 5.

Uwolnione są od opłat stemplowych:

1) Pisma i czynności dotyczące wyjednywania wsparć i wynagrodzeń, udzielanych z powodu klęsk włościanom, wtenczas, jeżeli te wsparcia i wynagrodzenia udzielone zostaną.

2) Prośby i pisma osób ubogich, jeżeli o ich ubóstwie zaświadczy Władza najbliższa.

3) Metryki, świadectwa i inne dowody, do spisu wojskowego składane.

4) Książeczki legitymacyjne.

5) Świadectwa na bydło i konie, wyprowadzane na targi i jarmarki.

6) Środkowe arkusze do próśb i wszelkich innych dowodów z wierzchu stemplem obłożonych.

SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W KALENDARZU LUDOWYM OBRAZKOWYM

na rok 1866.

strona

1. Część kościelna i astronomiczna, ozdobiona obrazkami od 1-16
2. Z okoliczności rozpoczętego roku, wyjątek z kazania . . 17
3. Nauka Ewangeliczna 20
4. Pokłon Trzech Króli (z obrazkiem) 22
5. Jezus w gronie mędrców (z obrazkiem) 24
6. Zesłanie Ducha Świętego 26
7. Iłżyckie bory i ruiny zamku Iłżyckiego, wspomnienie historyczne, przez Janka z Bielca 28
8. Wolnoć Tomku w swoim domku, przez Faustyna Swiderskiego (z obrazkiem) 42
9. Szymel Jankielowicz Kaftan, wspomnienie pośmiertne, przez J. K. Gregorowicza 46
10. Siostrzyczki, przez Maryję Ilnicką 50
11. Trzy skarby, przez Janka z Bielca (z 3 obrazkami) . . 51
12. Do kukułki, przez Sewerynę z Żochowskich D. 68
13. Wieczór w kuźni, przez Józefa Jakubowicza 69
14. To nieprzelewki! Obrazek wiejski, przez Janka z Bielca. 72
15. Szopka, tłumaczenie z Longfellowa przez J. Szyca . . 90
16. Sztuka u ludu naszego, przez Adama Wiślickiego. . . 102
17. Sierota na warszawskim bruku, powiastka 106
18. Bajki, strachy i zwierzęta przedpotopowe, przez K. G. . 116
19. Różne wiadomości 122

Nakładem i drukiem wydawcy niniejszego kalendarza wyszły:

HISTORYA POLSKA

DLA DZIECI,

opowiedziana w 35 lekcyach przez *E. Leję.*

Cena egzemp. złp. **1** gr. **15** (kop. 22½).

Jest to najtańsze wydawnictwo téj treści.

Krótkość opowiadania i rozłożenie treści na łatwe pytania i odpowiedzi ma na celu utrwalenie w pamięci dziecka głównych faktów dziejów ojczystych.

Dostać można we wszystkich znaczniejszych księgarniach Królestwa i Cesarstwa; Expedycye i Urzędy pocztowe przyjmują zapisy po powyższéj cenie. — Skład główny w księgarni *M. Glücksberga.*

ŻYWOTY ŚWIĘTYCH RZEMIEŚLNIKÓW

tudzież

KSIĄŻECZKA DO NABOŻEŃSTWA DLA RZEMIEŚLNIKÓW.

Wydanie trzecie ozdobione wielu obrazkami. Cena egzemp. złp. 3, oprawnego zaś ozdobnie w szagrin złp. 4. — Dzieło to zyskało wielką pochwałę Dostojnych Osób Duchownych. Dostać go można w każdéj znaczniejszéj księgarni.
